

Bodil Malmsten  
Moje pierwsze życie  
Ukochany przez bogów  
nie umiera  
PRZEŁOŻYŁA

Beata  
Walczak-Larsson  
Wydawnictwo Literackie  
Tytuł oryginału  
Mittfirsta liv

© by Bodil Malmsten. All rights reserved

© Copyright for the Polish edition

by Wydawnictwo Literackie, Kraków

© Copyright for the Polish translation

by Beata Walczak-Larsson

Ilustracje © Bodil Malmsten, 2004

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-04322-6

Przedmowa:

O CO TU CHODZI

Przypuśćmy, że każdy człowiek ma trzy życia. Moje  
wyglądają tak:

1. Pierwsze — od poczęcia do dwudziestu lat.
2. Drugie — od dwudziestu do pięćdziesięciu lat.
3. Trzecie — to, co pozostało.

"liJUSBAHKEM

"fTETSKOfi

O moim trzecim życiu traktuje książka pod tytułem  
Cena wody w Finistere.

Ukończywszy i wydawszy Cenę wody w Finistere,  
postanowiłam, że już nigdy nie napiszę ani słowa  
o swoim życiu.

Nigdy więcej.

Ani słowa.

A teraz siedzę tutaj z Moim pierwszym życiem.

„Chcieć a musieć — to dwie sprawy, życie nie jest  
do zabawy” — mawiała moja babcia z Jamtlandii,  
gdy byłam dzieckiem, i to była prawda niepodwa-  
żalna. Oczywista i niezmienna jak wystająca z pola  
skała.

Fakt, że chodzę po ziemi sześćdziesiąt lat, niczego  
tutaj nie zmienia. Świat pozostał taki, jakim widziała  
go moja babcia.

Wszystko inne to wygłupy i zarozumiałość.

Mojemu pierwszemu życiu nic nie brakuje, oprócz tych  
przewidywalnych braków.

Tu nie chodzi o to, co jest dobre, a co złe. Chodzi  
raczej o to, że chcę napisać powieść o kimś, kto nie  
jest mną.

O kimś takim, jak Maurycy Lind, rozpieszczo-  
ny aktor z mojej pierwszej powieści Tego dnia, gdy  
zakwitną kasztany, będę daleko stąd. O kimś takim, jak

Johnny z powieści o Johnnym, którą mam gotową w głowie i którą napisałabym, gdybym umiała postawić na swoim.

6

O kimś żyjącym w innych warunkach niż ja,  
o kimś, kogo nurtują inne myśli, kto ma inny charakter i inne życie.

O człowieku, którego krewni nie są moją rodziną  
i za którego nie muszę ponosić więcej odpowiedzialności niż za słowo pisane.

Pisząc, pragnę odchodzić od siebie, a nie wchodzić  
do wnętrza, coraz głębiej.

Chcę do przodu i na zewnątrz, nie z powrotem.

Kiedy pracowałam nad tekstem Tego dnia, gdy zakwitną kasztany, będę daleko stąd, nie miałam żadnych innych powinności niż pisanie jak najlepszej i jak najprawdziwszej powieści, a jeżeli faktycznie miałam inne, to widocznie je zaniedbałam.

Żeby sprostać wymaganiom, które stawia się piszącemu powieść o Maurycym Lindzie czy o Johnnym, trzeba umieć uchylać się od codziennych obowiązków i odpowiedzialności wobec swoich bliskich, trzeba mieć kogoś, kto zatroszczy się o rzeczywistość. Niezbędni są kamerdyner, sekretarz, opiekun, grupa wsparcia i pielęgniarka, jednym słowem — niezbędna jest żona. Kiedy pisałam Tego dnia, gdy zakwitną kasztany, będę daleko stąd, miałam Kjella.

Dzięki niemu mogłam zająć się w pierwszym rzędzie pracą, siedząc w pierwszorzędnym pokoju, w najjaśniejszym i najpiękniejszym pomieszczeniu w całym mieszkaniu, z łukami okien do samego sufitu i z widokiem na kwitnące lipy.

7

Jeżeli szczęście polega na tym, żeby — oddając się jakiemuś zajęciu — zapomnieć o bożym świecie, to pisząc tę powieść, byłam szczęśliwa.

Było mi też dane szczęście innego rodzaju; miałam niezwykle bogate życie, choć przecież ono jeszcze prawie wcale się nie zaczęło.

Obecny brak dostępu do Kjella wynika z tego, że:

1. Kjell został zużyty.
2. Przeprowadziłam się do Finistere.

Bez Kjella nie powstałaby żadna pierwsza powieść, w każdym razie nie moja.

Powtarzam to tak uparcie nie dlatego, że należę do pokolenia i klasy społecznej, w których od kobiety oczekuje się braku wiary we własne siły. Nawet jeżeli to też ma znaczenie. Ale bez Kjella nie powstałaby książka Tego dnia, gdy zakwitną kasztany, będę daleko stąd. Dlatego tutaj pojawi się rysunek przedstawiający Kjella.

(KJELL CZYTA)

Przeprowadzka do Finistere nie oznacza wyprawki ze Szwecji. Każdy, kto chodzi po świecie wystarczająco długo, wie, że człowiek nigdy nie opuszcza czegoś do końca. Niezależnie od tego, ile razy uda się po nowe, stare nigdy go nie odstąpi.

Człowiek nigdy nie zostawia gdzieś swego życia, ma je ciągle ze sobą. Nie porzuca siebie samego, a tym samym — swoich najbliższych.

Mój dziadek z Jamtlandii całe życie walczył o ustrój społeczny, w którym potrzebujący otrzyma opiekę i pomoc niezależnie od tego, czy ma troskliwych krewnych, czy nie.

Istniejąca w mojej głowie powieść o Johnnym nigdy nie została spisana na papierze między innymi dlatego, że musiałam poświęcić czas i siły na to, w czym według mego walecznego dziadka miało pomóc społeczeństwo, które powinno zapewnić opiekę i wsparcie. Każdemu według potrzeb.

Pragnę pisać powieści o ludziach do mnie niepodobnych, o mężczyznach. Nie piszę ich nie z winy Kjella, tylko z winy rządu.

Mój dziadek wyskoczyłby z grobu i popędził na swoim mopedzie prosto do Rosenbad\*, gdyby usłyszał, jak siedzący w telewizyjnym studio minister kłamie w żywe oczy, twierdząc, że dzisiaj w Szwecji każdy ma zagwarantowaną opiekę według indywidualnych potrzeb.  
\* Rosenbad — siedziba rządu szwedzkiego w Sztokholmie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

dualnych potrzeb. Jeżeli w Szwecji A.D. 2004 faktycznie zapewniono niezbędną opiekę każdemu potrzebującemu, to stało się tak za sprawą przypadku i/albo obecności pomocnych krewnych.

Niniejszym podpisuję się pod stwierdzeniem, że troskliwy krewny nie tworzy wielkich dzieł z mężczyzną w roli głównej.

#### BODIL MALMSTEN, FINISTERE; SIERPIEŃ 2004 BJARME

Przyszłam na świat we wsi, która nazywa się Bjarme. Nie wiem, dlaczego nazywa się Bjarme, i nie zamierzam tego dociekać, tak jak nie planuję żadnych badań genealogicznych. Nie dopadła mnie jeszcze ta — przychodząca ponoć z wiekiem — zmiana usposobienia i zainteresowań. Gdy jadę samochodem, w dalszym ciągu słucham płyt Rolling Stonesów, a nie Julia Iglesiasa czy fletni Pana.

Mój charakter jest równie niezmienny jak pejzaż we wsi, w której przyszłam na świat, równie odporny na bodźce zewnętrzne, równie kamienisty i równie nieubłagany.

Latem, gdy porywisty wiatr daje się we znaki tylko ponad górną granicą lasu, nie ma nic bardziej zadziwiającego niż górską wioska w środkowej Norlandii, a ze wszystkich górskich wiosek w środkowej Norlandii najbardziej zadziwiająca jest ta, w której przyszłam na świat.

To nie jest jakiś wytwór egzaltowanej pisarskiej wyobraźni; wszyscy, którzy widzieli tę wieś, są tego samego zdania.

11

Bjarme leży na grzbietach trzech wzniesień. Wsparte o spadające do leśnej doliny zbocze, przed sobą ma jedynie otwartą przestrzeń. Jakieś sto, sto pięćdziesiąt kilometrów.

W pogodne dni można dojrzeć Are.

Nie sposób minąć tę wieś i nie dostrzec jej pięknego położenia; wszyscy mieszkańcy Bjarme dostrzegają je każdego dnia. To nieprawda, że — jak sądzą turyści z wielkich miast — trzeba pojechać do Wenecji, żeby doznać olśnienia. Nie trzeba żadnych pałaców, żadnych kanałów.

Niebo nad Bjarme to uderzenie obuchem w głowę; firmament jest tu wyższy, zorza polarna bardziej dzika, a gwiazdy liczniejsze niż gdziekolwiek indziej. Rozmigotane oświetlenie dróg błyszczy o zmroku jak aleje wielkich miast nocą, jak Pola Elizejskie w Paryżu.

Ale Paryż nie ma widoku na Nakten — jezioro z 365 wyspami, jedną na każdy dzień roku i każdą z własnym blaskiem.

I nawet gdy smaga deszcz i siecze śnieg, a listopad redukuje dni do cienkich kresek, nawet gdy w okolicach kwietnia nadchodzi odwilż, wszystko się błoci, śnieg topnieje, zamarza i jeszcze raz się rozpuszcza, nawet gdy nadchodzi burza albo wiatr z zachodu przeszywa do szpiku kości — pogoda w Bjarme zawsze jest ładna.

Ładna.

12

Jak z obrazka.

Ale to nie jest obrazek. Nie dla kogoś, kto ciągnie pług czy sunie kosiarką po kamienistym polu przy zakręcie ślepej kiszki; nie dla kogoś, kto haruje przy odśnieżaniu i morduje się z ogrodzeniem.

Nie dla tych zasmarkanych dzieciaków, które bez przerwy gubiły rękawiczki, a raz do roku przebierały się i — chodząc od zagrody do zagrody — śpiewały Dutki i klymki.

Dutki i klymki, dutki i klymki,  
dutki i klymki to moje skarby som.

A później za dutki, pieniądze, kupowaliśmy łakocie i jedliśmy klymki, karmelki, a jeszcze później znów

nastawał dzień powszedni. Ale to nieprawda, że na co dzień nie zwracaliśmy na to uwagi; nie wiedząc o tym, postrzegaliśmy rzeczywistość tak, jak przedstawiała się ona w Bjarme, bo tak wyglądała i taka na zawsze pozostanie.

Wszystko inne jest tymczasowe i błędne.

Bjarme to niezwykle piękna wieś z niezwykle piękną pogodą.

Nic dodać, nic ująć.

Nie myśląc o tym, widzieliśmy to na co dzień; nie wiedząc, że dostrzegamy, dostrzegaliśmy tę niezaprzeczalną prawdę: Bjarme to niezwykle piękna wieś z niezwykle piękną pogodą.

13

I moja rzeczywistość wygląda tak, jak wyglądała w Bjarme, kiedy byłam dzieckiem, i tam jest mój dom.

TAK JAK ŚLIMAK

Myślałam, że zatytułuję tę książkę następująco:  
(UPRZEJMIE, ACZ STANOWCZO UPRASZA SIĘ  
O NIEŚWIĘTOWANIE MOICH URODZIN,  
BO NIE BĘDZIE MNIE W DOMU)

Ale stało się inaczej.

Nie dlatego, że zmieniłam zdanie co do sensu tej wypowiedzi, ale dlatego, że to tytuł po części za długi, a po części wymagający objaśnienia, które znajduje się w książce o moim trzecim życiu, Cena wody w Finistere. A to z kolei oznacza, że fałszywe jest samo założenie, na którym opiera się Moje pierwsze życie.

15

Nie da się rozróżnić poszczególnych żywotów.

Każdy człowiek ma nie trzy życia, ale około trzech tysięcy żyć, które przecież nie nakładają się na siebie warstwami — pierwsze, drugie, trzecie i tak dalej — i nie tworzą w ten sposób coraz bardziej chwiejnego stosu. Ciało nie mówi prawdy o procesie starzenia. Wiek każdego człowieka to zdecydowanie więcej niż przeżyte lata. I nigdy nie ma nic wspólnego z wiekiem, który zdradzają pierwsze cyfry PESEL-u.

Bo w takim razie powinnam mieć sześćdziesiąt lat, a to przecież zwyczajnie niemożliwe.

Wiek człowieka wciąż oscyluje między setką a półtora roku.

I tylko w stosunku do rodziców stoi w miejscu. Dla swoich rodziców zawsze jesteśmy w okresie przekory. Te różne okresy wirują jak kulki w ruletce i nikt nie ma wpływu na to, w którym momencie i w którym okresie koło się zatrzyma.

Kilka dni temu znalazłam zeszyt z wierszami, które — jeśli wierzyć księgom parafialnym — ułożyłam w wieku trzynastu lat.

Jest tam sporo wierszy o starzeniu się, śmierci

i przemijaniu. Wszystkie napisane niedzisiejszym charakterem pisma, w napuszonym, staroświeckim i patetycznym stylu.

Te wiersze są smutne na wszelkie możliwe sposoby.

16

Strojenie sobie z nich żartów byłoby czymś łatwym, tanim i niewybrednym. Świadczyłyby o braku szacunku dla poważnej i przedwcześnie dojrzałej poetki.

W pewnym okresie życia nie słyszałam niczego innego, jak tylko ludzi z mojego pokolenia natrząsających się ze swej młodości. Przekroczywszy pięćdziesiątkę, zaczęli dystansować się wobec swoich rewolucyjnych wystąpień studenckich z roku 1968.

Ponieważ nie mam matury, nigdy nie czułam potrzeby takiego dystansu, ale wiem, że z każdym dniem coraz bliżej mi do ideałów tych splamionych buntem mieszczańskich dzieci; ideałów, od których

17

moi rówieśnicy odcinają się teraz w tani i niewybredny sposób.

Siedziałam więc z rówieśnikami na kolejnych przyjęciach urodzinowych w zamożnych dzielnicach pod Sztokholmem, jadłam sałatkę z kurczaka, podawaną na papierowych talerzykach, wznosiłam toasty białym winem w plastikowych kubeczkach i słuchałam przemówień zawierających protokoły ze studenckiego buntu w sześćdziesiątym ósmym, w których dzisiejsi pięćdziesięciolatkowie zapewniali o swojej solidarności z ludźmi pracy i uciśnionymi tego świata. Po czym wszyscy śmiali się do rozpuku, by później kompletnie się zalać.

Ponieważ teraz mieszkam w Finistere, nie wiem, z czego śmieją się moi rówieśnicy, zanim upiją się do nieprzytomności, i to mnie martwi.

Jak już wspomniałam, człowiek nigdy nie opuszcza swojej ojczyzny, zawsze ma ją ze sobą.

Tak jak ślimak nosi na grzbiecie swój dom, tak ja dźwigam moją Szwecję. I gdziekolwiek jestem w Finistere — czy to w ogrodzie, czy na skalistym brzegu Atlantyku, czy na targu w mieście — wszędzie zostawiam za sobą lepki i błyszczący ślad.

Wyraźny i łatwy do odczytania. Ślad, którego nikt nie przeoczy.

Oto idzie ta ze Szwecji, zdradzają niewidoczne litery.

Oto idzie Madame de la Suede.

18

(HERB JAMTLANDII: KUNGENS KRONA — KORONA KRÓLA,  
FAGEL — PTAK, ALG — ŁOŚ, VERKTYG — NARZĘDZIA,  
ALGEN AR SKOGENS KONUNG — ŁOŚ JEST KRÓLEM LASU)

## SŁABI LUDZIE

Mój dziadek był socjaldemokratą. Praktykującym. Nie pisał żadnych programów partyjnych i nie kandydował do Riksdagu, ale był członkiem rady gminnej w Hackas. Nie jestem pewna, czy pełnił funkcję przewodniczącego, czy tylko tak mi się zdawało. Sam ani się nie chwalił, ani nie zmyślał.

Mój dziadek zajmował się prozą życia i robił, co mógł, dla potrzebujących bliźnich. Nie bił się o to, co nazywamy „domem ludowym” czy też państwem dobrobytu — mój dziadek w ogóle się nie bił. Wystarczająco dużo czasu zajmowało mu objeżdżanie gminy i doglądanie samotnych, schorowanych i umierających.

Według mojego dziadka potrzeba pomocy nie jest oznaką słabości.

Słabi w społeczeństwie to nie dzieci, starcy, bezrobotni, chorzy, obłąkani, mieszkający na odludziu, uzależnieni od pomocy społecznej, alkoholicy czy narkomani.

Słabi ludzie to owi biedni dyrektorzy, którzy nie mogli oprzeć się pokusie, by obdarować siebie samych tak wysokimi premiami, że po dziś dzień nikt w Jamtlandii nie jest w stanie ich sobie wyobrazić.

20

Mojemu dziadkowi nie była obca ludzka słabość. Ale uznał za oczywiste, że być starym, chorym czy upośledzonym to nie to samo, co być słabym. Wiek i stan zdrowia nie mają nic wspólnego ze słabością. Mój dziadek wiedział, że społeczna nędza jest dzielectwem, a nie cechą.

Nawet mu do głowy nie przyszło, że pewnego dnia pojawi się socjaldemokratyczna elita, która wpadnie na pomysł udzielania pomocy słabszym w społeczeństwie bez:

— udzielania pomocy,

— przemyślenia pojęcia „słabość”.

To tak jak z etyką i moralnością. Za każdym razem, gdy słyszę premiera, jak mówi na temat etyki i moralności, muszę zajrzeć do słownika.

Etyka jest powszechna, a moralność prywatna.

Albo może na odwrót.

Mój dziadek nigdy nie używał takich słów, jak etyka, morale, empatia czy solidarność.

Być może dlatego, że tego typu wyrazów nie ma w jamtlandzkim słowniku, brakuje tam nawet pojęcia „słownik”; być może również dlatego, że dziadek uważał je za zbędne.

On ich nie wypowiadał, tylko wcielał w życie.

Właśnie tym zajmował się mój dziadek, gdy objeżdżał gminę.

## NA MARGINESIE NOWEL O DZIADKU

Istnieją trzy nowelki o moim dziadku.

Jeżeli jest ich więcej, to nie wyszły spod mojego pióra. Gdyby było ich więcej, na pewno bym o nich wiedziała, ponieważ nikt nie czyta tak dużo jak ja. Moje nowele o dziadku powstały w latach osiemdziesiątych, kiedy usiłowano wskrzesić ideę wydawania książek przez FiB\*, to jest zrealizować projekt oświatowy według starego, wypróbowanego modelu. Specjalni agenci mieli sprzedawać niedrogie i przyzwoicie wydane książki bezpośrednio w zakładach pracy. Lud pracujący miał zyskać dostęp do dóbr kultury. Wtedy już nie używano takich pojęć, ale mniej więcej o to chodziło.

„Jeżeli udało się w latach pięćdziesiątych, powinno się udać również w osiemdziesiątych”, sądzą autorzy projektu. Ale ponieważ sami byli ludźmi lat osiemdziesiątych, nie pomyśleli, że akurat ta dekada nie jest dekadą oświaty ludowej.

Zmieniły się ogólne przesłanki i uwarunkowania.

Społeczeństwo, w którym znów postawiono na ma-  
\* FiB, „Folket i Bild” („Ludzie w Obrazach”) — szwedzkie lewicowe czasopismo kulturalne, 1933-1963.

23

sową produkcję dobrych książek, nie było tym samym społeczeństwem co kiedyś, gdy tak zwani ludzie pracy czytali powieści Moy i Harry'ego Martinsonów, Eyvinda Johnsona czy Larsa Ahlina, wydawane w ogromnych nakładach.

Można by oczywiście oskarżyć socjaldemokrację o upadek powszechnej oświaty, ale ponieważ sama socjaldemokracja znacznie podupadła, byłoby to nie fair. Oskarżany zazwyczaj tylko odpiera zarzuty. Jeśli chce się podnieść upadłego, należy raczej przyjść mu z konstruktywną pomocą.

Nowele o dziadku to rodzaj artystycznej pomocy, jakiej udzieliłam dzisiejszej socjaldemokracji.

Ale żeby dopasować teksty do aktualnych warunków, do tego, co tu i teraz, trzeba było je wygładzić, zrewidować i uwspółcześnić.

Trzeba było uformować je na nowo, by ładnie wtopiły się w otoczenie, czyli w tę nową książkę.

Nowele o dziadku musiały zostać zharmonizowane.

Tyle tylko, że to było niewykonalne.

Każda próba ich modyfikacji kończyła się niepowodzeniem. Nowele o dziadku nie pozwalały się przeformować.

Gdy wycinałam jedną linijkę, kulała całość. Gdy dokładałam jedną myśl, psuła się reszta.

Te teksty były jak stary traktor, który działa tylko pod warunkiem, że nie zacznie się przy nim majstro-



wać. Wystarczy wymienić pasek klinowy czy oponę i wszystko nagle nadaje się na złom.

24

Jeszcze gorzej — nowele o dziadku były jak pogoda, jak szczyt Areskutan i góry Oviksfjallen.

Nie miałam na nie wpływu, nie mogłam z nimi nic zrobić, nie przynosiły żadnych korzyści i — w porównaniu z traktorem — były zupełnie zbędne.

Zharmonizowanie nowel o dziadku nie doszło więc do skutku.

Dziadek 1

## DZIADEK I ALKOHOL

Mój dziadek był całkowitym abstynentem.

Był templariuszem dobrym w łoży Lyran (parafia Nas, gmina Hackas, region Jamtland z literą „Z”<sup>\*</sup> i symbolem łosia).

Miał młotek przewodniczącego z wygrawerowanym w srebrze nazwiskiem i datą. Dostał go na pięćdziesiąte urodziny. Miał też wieczne pióro, liczydło i biurko z zieloną podkładką, ale nigdy przy nim nie siedział, jak postrzelony jeździł bowiem na mopedzie od jednej czynności urzędowej do drugiej.

Nigdy nie było go w domu, ciągle w rozjazdach, nieustannie zajęty biednymi albo posiedzeniami.

Często wyobrażałam go sobie, jak razem z innymi dziadkami wysiada na tych posiedzeniach, niczym ptaki na drzewach, gdy wysiadują jajka.

Mój dziadek zasiadał w radzie gminy i pracował w opiece społecznej. Pomagał niewinnym dzieciom i starcom, doglądał maluczkich, troszczył się o inwalidów, alkoholików i słabych na umyśle.

\* Szwecja dzieli się administracyjnie na 21 regionów (lan), każdy z nich oznaczony jest literą lub dwoma literami alfabetu.

26

W naszej części kraju zazwyczaj panowały: zima, ciemność i zasy śnieżne, wysokie jak drapacze chmur w Ameryce, do której wyemigrowali bracia dziadka.

Jeden został bogaczem, drugi znalazł Boga.

W naszym zakątku świata zawodził lodowaty wiatr z zachodu, duło przejmująco od Trondheimu, gleba była licha, ziemia — nieurodzajna.

Grube głazy wystawały z pola, pług zahaczał o kamienie.

Życie w naszej wsi było ciężkie, ukojenie i osłoda nie wchodziły w rachubę. Jeżeli czyjeś życie było ciężkie, to widocznie dlatego, że takie właśnie miało być.

Nikt we wsi nie raczył się lampką wina do obiadu, nie jadalśmy bowiem obiadów, tylko kolacje. Tak

27

czy owak nikt nie raczył się lampką wina do posiłku w czasach, gdy dziadek był członkiem zakonu tem-

plariuszy dobrych.

Jeżeli już ktoś we wsi pił, to złopał gorzałkę, i nie wychylał mizernych kieliszków na cieniutkich nóżkach, tylko walił porządne lufy z musztardówki.

W naszej wsi nikt nie słyszał o lekkim rauszu czy humorku pensjonarki.

Jeżeli ktoś pił, to miał wyższe cele: zalać się w trupa, schlać się bardziej niż bardzo, zaznać przerwy w życiorysie.

Nie mieliśmy we wsi alkoholików.

Alkoholicy siedzieli w specjalnych zakładach na obrzeżach wielkich miast, alkoholicy mieli poszarżane dzieci, płaczące w czynszówkach pełnych szczurów, alkoholicy mieli żony alkoholików w kapeluszach z filcu.

Nie, nie było u nas alkoholików.

Mieliśmy parę moczymord, no i oczywiście kawalerkę z Paker.

Kawalerka z Paker to czterej legendarni bracia, znani w okolicy ze swej niesforności i opilstwa.

Każdy miał ponad sto dziewięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i kiedy najmłodszy stawał na barkach najstarszemu, mierzyli co najmniej cztery metry.

Najstarszy miał na imię Karl, białe włosy i czarne wąsy

Żadnego z braci nie widziano nigdy z kobietą, gospodarzyli sobie sami. Mieszkali w zagrodzie Paker, lichym obejściu pełnym pustych butelek i grubo sie-

28

kanej machorki; przeżuty tytoń zdołił i sufit, i ściany. Po jedzeniu wciskali sztućce do szuflady; to była „najprawdziwsza prawda”, jak mówiono we wsi, w której nikt nie miał odwagi odwiedzić kawalerów, z wyjątkiem mojego dziadka, wypełniającego im deklaracje podatkowe.

Gdy Pakerowcy balowali z okazji ważnych świąt — sylwestra, Wielkanocy, sobótki czy sobotnich wieczorów — pili z gwinta, nie angażując w to innego sprzętu.

W naszej rodzinie, której głową był dziadek — absolutnie tego nie wykorzystujący, świątek i piątek piliśmy napój słodowy. Piliśmy napój z okazji chrzcin i pogrzebów, do kiszzonego śledzia i pieczeni z łosia, w Wigilię i na przyjęciach urodzinowych.

Dziadek zamawiał napój słodowy w browarze; przywozili go do domu ciężarówką, w brązowych butlach z drewnianym uchwytem i porcelanowym korkiem.

Napój słodowy był słodki, złocisty i pieniący się śmietankową pianką. Nalewało się go ostrożnie, żeby osad leżący na dnie butli nie dostał się do dzbanka, z którego później dziadek powoli rozlewał napój do szklaneczek. Równie niespiesznie, jak Irlandczyk

nalewa stouta w Dublinie, gdzie dublińczycy piją guinnessa litrami i harczą, przygrywając sobie na flecie i śpiewając.

W porównaniu ze schłodzonym napojem mojego dzieciństwa stout Guinnessa smakuje jak kozie siki.

29

Nasza rodzina nigdy nie piła napojów wysokowych, popyt na napoje wysokowe istniał tak czy inaczej, dbały o to chłopaki z Paker.

Pakerowcy żyli z wyrębu lasu. Minus czterdzieści stopni w zimie, przemarznięte sosny i świerki, lodowate brzeszczoty, a jeżeli jakieś piły motorowe — to kiepskie. Kiedy przychodziło lato, bracia musieli rozmrozić zdrętwiałe ciała, a do tego celu nadawała się tylko wódka. Wszyscy czterej jechali więc do monopolowego w Óstersund, by wykupić cały przydział, a gdy wracali autobusem podmiejskim, byli już na gazie, i nikt koło nich nie siadał.

Tego roku, w którym miałam zacząć szkołę w Bjarmelund, w święto przesilenia letniego dziadek rozbił nam, dzieciakom, namiot w zagrodzie. W tę świętojańską noc mogliśmy w nim spać, albo i nie spać, leżeliśmy więc bez dozoru dorosłych, odgradzeni jedynie cienkim płótnem od tańczących elfów.

Piliśmy napój słodowy i bekaliśmy na wyścigi — wygrał mój kuzyn Kurt. W zawodach na puszczenie bąków wygrał mały Stig, a później prawie sikaliśmy ze śmiechu.

I wtedy przyszli Pakerowcy.

Zarośnięte olbrzymy o łapskach niczym wyrwane z ziemi korzenie i ramionach jak rozcapierzone konary. Nadciągnęli niby flisacy z potokiem wódki i padali jak sosny, bo nie potrafili zgiąć nóg w kolanach. Jak łosie podnosili się na czworaki i ryczeli, czując w gard-

30

łach topniejącą zmarzlinę. I powiało gorącym czystej gorzałki, gdy—bez siedmiu kwiatów pod poduszką\* — wyrzucali z siebie sobótkowe marzenie o kobiecie, czy może raczej o kobietach.

Karl otworzył na oścież swoją przepastną gębę i zagrzmał sobótkowo:

— A teraz, kurwa, sprowadzimy tu całą furę dziwek ze Sztokholmu!

Nagle na ziemię poleciały stówki i pięćdziesiątki. Pakerowcy nie skąpili nam banknotów. Jakbyśmy mogli spełnić ich sobótkowe marzenia. Jak gdyby smarkacze naszego pokroju powinni je spełniać, jeśli by tylko umieli.

Karl obsypał małego Stiga potarganą na strzępy pięćdziesiątką.

A później z bulgotem podlał litrem wódki grządkę, na której jeszcze później wyrosła pijana stokrotka.

Następnie wyjął z kieszeni nieotwartą flaszkę i odkapslował zębami.

Pobiegliśmy do domu na skargę, mały Stig piszczał jak leming, a Kurt prosił dziadka, żeby zadzwonił do prokuratora i na policję.

— Głupiś — powiedział dziadek.

Rozłożył nam ławę w kuchni i wymościł kołdrą po cioci Zosi.

\* Wedle szwedzkiej sobótkowej tradycji dziewczęta pragnące ujrzeć oblicze swego przyszłego męża powinny w noc świętojańską zebrać siedem rodzajów kwiatów i włożyć je pod poduszkę.

31

Ułożył nas na posłaniu jak drwa na podpałkę.

Nie wspomniał ani słowem o dziwkach i wódce

Pakerowców — zarówno tej wypitej, jak i tej wylanej.

I o ile wiem, nie usiłował też wprowadzić czterech braci do łoży Lyran.

Pewnego razu pojechaliśmy do Hackas. Dziadek miał pomóc komuś w ważnej sprawie, wziął mnie ze sobą, bo bardzo się przy tym upierałam.

Okazało się, że tym kimś była kobieta, która przeprowadziła się tu z Karlshamn. Chuda i wymalowana jak nieszczęście.

Poczęstowała dziadka zieloną szklaneczką ponczu marki Carlshamns Flagg — nigdy nie zapomnę etykiety na butelce i kobiety o nylonowych nogach, którymi pocierała pod stołem, aż leciały iskry.

Buty na obcasie w środku tygodnia.

Poncz.

Dziadek odmówił z błyskiem w oku i jestem pewna, że później ją uwodził, albo na odwrót, to ona go bałamuciła — utopić by ją w alkoholu!

Kiedy babcia usłyszała o ponczu (resztę grzecznie przemilczałam), zaczęło się gderanie, biadolenie i skaranie-boskanie.

Jak tak można wciągać ludzi w pijaństwo i zepsucie! Mnie — nieszczęsne dziecko! No i dziadka, biedaczysko! Olaboga, koniec!

Że coś takiego mogło się zdarzyć w naszych stornach, że wodzono nas na pokuszenie, mówiła.

— Wódczane orgije!

32

Dziadek nie mówił nic o wódczanych orgijach, ale od tamtego dnia, nie zważając na mój nawet najbardziej ośli upór, nie pozwalał mi na udział w czynnościach urzędowych.

Orgije.

Po dziś dzień wydaje mi się dziwne, że prawidłowa forma brzmi: orgie.

Po dziś dzień nie brałam udziału w żadnych orgiach, przynajmniej z tego, co pamiętam.

Wiele lat później, już jako studentka uczelni artystycznej w Sztokholmie, przyjechałam na letnie wakacje do rodzinnej wioski, żeby razem ze swoją cyganyjną paczką malować krajobrazy i pędzić żywot

33

artystów w przybrudzonych islandzkich swetrach oraz z mnóstwem taniego wina.

Dziadek przyjeżdżał do nas codziennie na swoim mopedzie. Pokonując wertepy, kamienie i pastwiska, jechał z pocztą, niezależnie od tego, czy coś do nas przyszło, czy nie. Wtedy zawsze chowałam Vino Tinto.

I nie chodziło o to, że mój dziadek nie zniósłby widoku butelki czy kilku butelek wina. To ja nie dawałam sobie z tym rady, to ja nie potrafiłam i może dalej nie potrafię. Wstyd i hańba — skąd one się biorą? Myślę, że skażona jest nimi wioska i ta skała w polu. Na pewno nie odziedziczyłam wstydu i hańby po dziadku, bo odkorkowując teraz wino, widzę go wyraźnie w niebie, jak nalewa napój słodowy. Robi to powoli i ostrożnie, żeby nie wyciekła piana, uśmiecha się do mnie szelmowsko, wznosi toast i wychyla szklaneczkę.

A później wsiada na moped i pędzi po niebie jak wariat, tak jak to czynił na ziemi.

Częstuje Pakerowców napojem, wypełnia ich deklaracje podatkowe i ma dla nich furę kobiet (a może dla każdego po jednej) prosto ze Sztokholmu, by mogli je kochać przez całą gorącą wieczność — równie gorącą jak czysta wódka. Mój dziadek zna się na takich rzeczach.

### ZŁOŚĆ KREWNYCH

W pierwszej opublikowanej wersji nowelki Dziadek i alkohol wymieniłam Pakerowców z nazwiska.

W lokalnej prasie podniósł się krzyk. Wcześniej nieobecni dalecy krewni braci sportretowanych przeze mnie — jak sądziłam — z ciepłem i zaangażowaniem zaczęli rozsyłać listy do redakcji, wyrażając swoje oburzenie z powodu mojej bezczelności.

Wystraszyłam się nie na żarty, ciągle się boję i nie widzę wyjścia z sytuacji. No, chyba że już nigdy nie napiszę o kimś rzeczywistym, że zawsze będę wszystko wymyślać, że będę tworzyć nowe nieba, nową ziemię i nowych ludzi. Ale do tego potrzebne są — jeżeli nie jest się Bogiem — czas i koncentracja, którymi chwilowo nie dysponuję.

Nie piszę z zamiarem rozdrażnienia ani krewnych braci z Paker, ani nikogo innego.

Pisząc, nie potrafię ocenić dystansu między wspomnieniem a fałszem. Słowo pisane przekształca się w historię żyjącą własnym życiem i prawdziwi Pakerowcy czy ich krewni nie mają na to wpływu.

Pisząc o braciach z Paker, nie piszę o braciach z Paker, wobec których jako dziewczynka czułam respekt zmieszany ze strachem. To są bracia napisani na no-

35  
wo, ich zagroda jest nową wiejską zagrodą w świecie stworzonym od początku.

Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. W każdym razie zapominam o konsekwencjach — złości krewnych, krytykach, kręgu czytelników.

Tyle znam się na pisaniu, co na życiu, a może jeszcze mniej. Swoje biologiczne istnienie potrafię wytłumaczyć tym, że kiedyś spotkali się moi rodzice, ale dlaczego siedzę nad klawiaturą, wpatrzona w ekran, dziesięć godzin dziennie? W tej kwestii ciągle trwam w błogiej niewiedzy.

Nie dlatego, żeby unieśmiertelnić własne imię. Jeżeli samej nie będzie mi dane żyć, to co mi po nazwisku.

Jeśli chodzi o mnie, to krewni Pakerowców mogą nawet podłożyć ogień pod moje książki, byleby tylko nie spalili na stosie mnie samej.

TA CHWILA W ZACISZU

Istnieją rozpieszczone dzieci — sama byłam takim dzieckiem — które napotkawszy najmniejszą przeszkodę, mówią swoim rodzicom, że nie prosiły się na świat.

— Nie prosiłam się na świat!

No właśnie.

Przyjście na świat to dar, o który nikt nie prosił i na który nikt nie zasłużył.

Przyjście na świat nie jest prawem wpisanym w Powszechną Deklarację Praw Człowieka, której pierwsze trzy artykuły — znane wszystkim — brzmią następująco:

1. Wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi pod względem swej godności i swych praw. Są oni obdarzeni rozumem i sumieniem oraz powinni postępować w stosunku do siebie wzajemnie w duchu braterstwa.
2. Każdy człowiek posiada wszystkie prawa i wolności zawarte w niniejszej Deklaracji bez względu na jakiegokolwiek różnice rasy, koloru, płci, języka, wyznania, poglądów politycznych i innych, narodowości, pochodzenia społecznego, majątku, urodzenia lub jakiegokolwiek innego stanu.

37

3. Każdy człowiek ma prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa swej osoby.

Stwierdzając w artykule trzecim, że każdy ma prawo do życia, twórcy Powszechniej Deklaracji Praw Człowieka nie mieli na myśli prawa każdego plemnika do przeobrażenia się w myślącą istotę, artykuły de-

klaracji mówią bowiem o prawach osób narodzonych. Deklarację ustanowiono 10 grudnia 1948 roku i — o ile mi wiadomo — nigdy jej nie odwołano. Nie jest szczególnie przestrzegana, ale istnieje jako dowód na dobrą, choć bezradną wobec rzeczywistości i sił rynku wolę człowieka.

Osoba z pamięcią do liczb wie, jak dużo plemników nie dociera do jajeczka, jak minimalna jest szansa przyjścia na świat i jak niewielki wpływ mamy na ten cały proces.

Z pewnością nikt z nas nie prosił się o przyjście na świat, ale powinniśmy być wdzięczni za ten czas rozpięty między narodzinami a śmiercią, za tę krótką chwilę, która minie szybciej, niż zdążymy powiedzieć „kawalerka z Paker”. Podziękujmy za ten nieproszony prezent, przyjmijmy go i pielęgnujmy z największym szacunkiem.

Przyjście na świat to łaska pozostająca na łasce losu. Wiem to od mommy — mojej babci. To po mommie mam wygląd i widzenie świata, wielki niepokój i dłonie.

38

Lada moment mogą przyjść Ruscy, lada moment przymrozek zwarzy jęczmień i ziemniaki. Zagrożenie będzie zawsze większe niż ulga, niebezpieczeństwo — większe niż ratunek, górski wiatr — zimniej szy niż przebłysk światła.

To dlatego momma nie zwlekała ani minuty, by wykorzystać każdy najmniejszy promyk słońca. Myk, myk — i już na dworze, jak łasiczka. Z kawą i kostkami cukru.

Chwila osłonięta od przejmującego wiatru, zapach rozgrzanych bali w ścianie domu, filiżanka kawy i sucharek w towarzystwie moffy — mojego dziadka. Moffa w fotelu turystycznym, a nie w trakcie załatwiania spraw w gminie czy w mieście.

Ta chwila w zaciszu to tak niewiele — a przecież tak dużo.

#### MLECZNE WSPOMNIENIE

Pewnego razu napisałam wiersz pod tytułem Mleczne wspomnienie. Rymuje się jak piosenka i brzmi tak:

W mróz srogi szłam przez lód szrenią pokryty,  
a gwiazdy spadały na Ouiksfjallen szczyty,  
a rytm dojarkijak bicie serca był miarowy,  
a krowy stały spokojnie, jak to krowy,  
a z radia płynęła szlagierów rzeka,  
by krowy dawały więcej mleka,  
a mleko było ciepłe w nie-opakowaniu  
i nikt wtedy nie mówił o pasteryzowaniu,  
a gdyś czegoś nie wiedział, boś nowy,  
to szedłeś po wiedzę prosto do krowy.

Nie napisałam go z wewnętrznej potrzeby, by wy-

razić zawarte w nim treści.

Napisałam go na zlecenie Centrali Mlecznej Aria w Sztokholmie. Poproszono wtedy kilku pisarzy, między innymi mnie, o tekst nadający się na opakowanie mleka w całym regionie. Napisałam więc mleczny wierszyk.

To że wiersz nie powstał z wewnętrznej potrzeby, nie oznacza, że nie musiałam go napisać. Część mojej twórczości powstaje z wewnętrznej potrzeby, część — z zewnętrznej, ale sama praca jest bardzo podobna.

40

•ba" .---

Czasami jest to przyjemne zajęcie, a czasami potworne.

Pracę nad mlecznym tekstem wspominam z przyjemnością.

Napisany wierszyk wysłałam, reprezentanci Arii byli zadowoleni, rymowanka miała ukazać się na opakowaniach w rejonie sztokholmskim, ale się nie ukazała. Nigdy nie wypiąłm tyle mleka, co wtedy. To właśnie od tamtej pory borykam się z wysokim poziomem cholesterolu.

W końcu zadzwoniłam do Arii z pytaniem, co się stało z wierszem i czy nie powstał jakiś problem. Powstał. Jeden z szefów działu informacji nie zaakceptował wiersza z powodu fragmentu, który — w jego mniemaniu — przedstawiał mleko w niekorzystnym świetle. Jako człowiek odpowiedzialny za pozytywny wizerunek mleka w rejonie stołecznym nie mógł więc dopuścić do publikacji.

Poproszono mnie o wykreślenie albo zmianę kontrowersyjnego wersu, ale każda próba kończyła się niepowodzeniem. Nie potrafiłam znaleźć innych słów, które równie dobrze oddawałyby klimat i prawdę mojego mlecznego wspomnienia. Wycofałam swój wiersz i nigdy nie wypłacono mi pięciuset koron, bo chyba tyle miało wynieść honorarium.

A później wiersz wylądował razem z innymi w szufladzie, czyli tam, gdzie nigdy i tak ich nie ma, gdy są człowiekowi potrzebne.

42

Zapomniałam o mlecznym wspomnieniu. Aż do dnia, w którym zaproszono mnie na wieczór autorski do Lyransgarden w mojej rodzinnej gminie.

Jest takie zdjęcie z tego wieczoru, na którym Kjell i ja siedzimy ze złączonymi głowami i patrzymy w obiektyw.

Wyglądamy tak młodo, że aż serce się kraje.

Tak, aż serce się kraje. Patrząc na tę prasową fotografię w plastikowej kieszonce, mam wrażenie, że ktoś kroi mi serce na kawałeczki i układa na tacy.



Nie dlatego, że Kjell i ja od dawna nie jesteśmy razem, i nie dlatego, że posunęliśmy się w latach, ale dlatego, że tak na mnie działa przeszłość. Niezależnie od tego, czy miniona chwila była wspaniała, czy paskudna, boli konfrontacja wspomnienia z utrwalonym na papierze obrazem. Ponieważ obraz tak nieznośnie kłóci się z uczuciem, ponieważ obraz jest tak okropnym uproszczeniem.

Zdjęcie prasowe nie ukazuje nic innego niż efekt rastrowania w określonym formacie. To tylko prostokąt o rzadziej lub gęściej rozmieszczonych punktach. Ciemne i jasne plamy. Takie zdjęcie nie ma z niczym nic wspólnego i przedstawia jedynie coś, co nie było tym, na co wygląda.

Niepokojące jest to, że ludzie za pomocą telefonów komórkowych zaczęli przysyłać sobie nawzajem zdjęcia teraźniejszości. Według producentów komórek jakość tych fotografii jest tylko przejściowym pro-

blemem. nierozwiązany natomiast pozostaje problem ludzi, którzy co chwila muszą udowodniać swoje istnienie, więc rozsyłają na lewo i prawo swoje zdjęcia. Czego im brakuje?

Nie cierpię spoglądać wstecz.

Już sama myśl o tym, co robiłam wczoraj, wywołuje we mnie niemiłe uczucie. Ważne jest tylko to, czego jeszcze nie znamy.

Nie chcę wiedzieć, że przeszłość zawsze dogoni, a nawet wyprzedzi to, co ma się zdarzyć. Ta książka to moje ostatnie słowo o czasie minionym.

Z okazji spotkania w Lyransgarden odkurzyłam młeczny wiersz i opowiedziawszy jego historię, zakończyłam nim wieczór.

W trakcie oklasków jakaś kobieta podniosła rękę. Okazało się, że reprezentuje Związek Producentów Południowej Norlandii, czyli odpowiednik sztokholmskiej Centrali Mlecznej Aria, i chciała zapytać, czy w zamian za 500 koron nie pozwoliłabym owemu związkowi na wydrukowanie wiersza na opakowaniach mleka w tamtejszym rejonie. Pozwoliłam.

Wszyscy w Lyransgarden byli zgodni co do poprawności wersu: „i nikt wtedy nie mówił o pasteryzowaniu”. W tamtych czasach „nieopakowane” mleko w butelkach nie było poddawane pasteryzacji i to jest historyczny fakt, którego nie musi zatwierdzać żaden szef działu informacji w Sztokholmie.

44

Ale że krowy miały dawać więcej mleka tylko dlatego, że słuchały szlagierów z lat pięćdziesiątych... to przecież czyste wariactwo! Tak przynajmniej uważała większość publiczności. Nie był to jednak powód, by odrzucić młeczne wspomnienie, w końcu to tylko

wiersz.

Wszyscy zebrani w Lyransgarden uważali też, że żądanie przerobienia czegoś, co jest niezrozumiałe albo niezgodne z własnym obrazem świata, to typowe wielkowiejskie fochy i najzwyczajniejsza dyktatura.

Później przeczytałam wierszyk jeszcze raz, później zrobiono mnie i Kjellowi zdjęcie ze złączonymi głowami, a jeszcze później zakończył się wieczór autorski w Lyransgarden, więc teraz możemy o nim zapomnieć.

Tutaj miało się pojawić to rozdzierające serce zdjęcie z Kjellem, ale nie mogę go znaleźć.

Leży gdzieś na pewno, pieczołowicie przechowywane w plastikowej kieszonce, ale gdzie położyłam tę kieszonkę? Nie mam pojęcia.

Przeszukałam dom, przejrzałam teczki i koperty, wybebeszyłam wszystkie kartony i pudełka.

Czasami wydawało mi się, że to już, już, że za chwilę dotrę do celu, czułam wyraźnie, że „parzy!”, a mimo to nic nie znalazłam.

Gdy człowiek szuka czegoś w sposób, w jaki szukałam tej przyprawiającej o ból serca fotografii, to owo coś nabiera szczególnego znaczenia.

45

Im bardziej szukam tej fotografii, tym bardziej wydaje mi się niezbędna do życia. Jak gdyby bez niej moja egzystencja nie mogła trzymać się kupy, jakby to zdjęcie było niezbędnym spoiwem, które połączy moje życia. Jak gdyby wszystko miało się rozsypać, jeżeli nie przypomnę sobie miejsca, w którym je położyłam. Życie w Finistere legnie w gruzach, ponieważ nie mogę odszukać fotografii, na której Kjell i ja gruchamy jak dwa gołąbki.

Myślałam, że między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką przeżyję najszcześniejsze chwile w życiu, ale dopóki nie znajdę zdjęcia z Kjellem, dopóty jest to niemożliwe.

Znalazłam!

TAJEMNICA ŹRÓDŁA

Tam gdzie w Finistere kończy się moja ulica i zaczyna przybrzeżna ścieżka, płynie źródelko, zatopione w cieniu potężnych drzew o pniach porośniętych bluszczem.

Źródło nadało nazwę ulicy. W jego wilgotnym pobliżu kumkają żaby, woda jest mętna i zielona.

Każdego lata odbywa się tu wieczór gawędziarzy. W anegdotach i mitach przypomina się historię rejonu. Opowiada się legendy i bujdy na resorach. Wyjawia się tajemnicę źródła.

I tysiącem koni nie zaciągnięto by mnie na wieczór gawędziarzy.

Nie cierpię niestworzonych historii i nie chcę po-

znać tajemnicy wody.

To, co mnie interesuje, to tajemnica sama w sobie,  
mistyka samego źródła.

W pobliżu mojej wsi znajduje się zamek. Otacza go  
wysoki, kamienny mur, obrośnięty pnączami róż  
i wiciokrzewu.

Od furki w głąb ogrodu prowadzi topolowa aleja.  
Same wrota zamku nie są widoczne, nigdy nie widzia-

47  
łam też jego mieszkańców. Tylko światła majaczące  
wieczorem między topolami.

Ukryty i tajemniczy zamek, refleksy na źródle  
w ciemności — więcej nie chcę ani wiedzieć, ani zo-  
baczyć.

To samo dotyczy mego życia i jego sekretów.

Moje opowieści są jak mgliste zarysy, odbłaski  
w ciemności. Opowiadam legendy, a nie życie, bo ży-  
cia nie można opowiedzieć.

ZANIM PRZYSZŁAM NA ŚWIAT.

LEGENDA O MOICH RODZICACH

Jest takie zdjęcie z młodości mojej mamy. Istnieje  
oczywiście wiele zdjęć, ale to należy do mnie.

Mama ma czarne włosy i ciemne oczy, wygląda  
dumnie i elegancko; to początek lat czterdziestych.

Nie jest jeszcze moją mamą, nawet nie ma mnie  
w planach, mój tato jeszcze jej nie zobaczył, jeszcze  
nie doszło do ich spotkania.

Wyprężona jak struna i wiotka jak trzcina. Nikt nie  
zaprzeczy, że była piękną młodą kobietą. Tak właśnie  
musiała wyglądać, gdy pewnej soboty w 1943 albo na  
początku 1944 roku ujrzał ją mój tato.

Dla legendy nie ma znaczenia, czy spotkali się na  
tańcach w Furufród, czy gdzieś indziej.

W mojej wersji spotkali się na pewnym dancingu  
w południowej Jamtlandii.

Moja przyszła mama stała na parkiecie otoczona  
rojem wielbicieli. „Miała w sobie coś szczególnego”,  
powiedział tato.

Tak czy owak odważył się podejść i poprosić ją  
do tańca. Nie wiem, czy miał na sobie ten paskudny  
mundur, czy rekrutom na przepustce wolno było za-  
kładać cywilne ubrania.

49

Jakże wielką musiał się wykazać odwagą, by po-  
dejsć do — przynajmniej według niego — najbardziej  
obleganej kobiety w lokalu i wypowiedzieć słowa:

„Czy mogę panią prosić?”.

Mój ojciec nie był dobrym tancerzem i nie grze-  
szył muzykalnością. To po nim mam znikome poczu-  
cie rytmu.

Gdyby tamtego wieczoru nie odważył się popro-  
sić mojej mamy do tańca, to nie ja odziedziczyłabym

jego znikome poczucie rytmu.

Nie powstałoby dziecko o moim wyglądzie i charakterze, nie powstałaby nastolatka ani ta niemłoda kobieta, którą teraz jestem — nie byłoby żadnego JA. Nie dla mnie.

Gdyby zabrakło mu tej szalonej odwagi, bez której przecież trudno poprosić do tańca piękną nieznaną w obcym lokalu, nie powstałoby ani moje pierwsze, ani żadne inne życie.

Nigdy bym nie zaistniała; byłabym jedną z tych przez nikogo nie zauważonych nieobecności, jedną z nieskończonej liczby nieszczęsnych osób, które nigdy nie zostały poczęte.

Zmarli mają swoje cmentarze. Brakuje natomiast miejsc kultu dla ofiar tego okropnego losu, jakim jest niepoczęcie. Dla tych wszystkich, których rodzice się nie spotkali, dla tych nieszczęśników, których ojcowie nigdy nie mieli szansy dotrzeć ze swymi plemnikami do komórek jajowych ich matek.

50

Miałam ponad czterdzieści lat, gdy ojciec opowiedział mi o tym, jak zwrócił uwagę na kobietę, która później została moją matką. Miała na sobie dopasowaną garsonkę.

„Była piękna i otoczona rojem amantów”, powiedział. I miała w sobie coś szczególnego. Coś, co sprawiło, że właśnie wtedy się w niej zakochał.

Nie jestem pewna, czy użył właśnie tych słów — „otoczona rojem amantów”, ale to bardzo prawdopodobne, ponieważ mój przyszły ojciec pochodził ze Sztokholmu. W mojej rodzinnej wsi nikt tak nie mówił. Jeżeli mówiono o młodych, pięknych kobietach, które miały powodzenie, to za ich plecami, niepochlebnie i szeptem.

Właśnie wtedy, gdy opowiadał mi o swoim pierwszym spotkaniu z mamą, mój tato jeden jedy-ny raz podał własną wersję zdarzeń.

Pobrali się w maju, a w sierpniu przyszedł na świat.

Mówię „w maju”, jakbym była pewna. Ale na ślubnej fotografii ziemia jest goła, brzozy są bezlistne, a młoda para stoi przed furtką na macie ze świerczyny, przy niepomalowanej ścianie domu.

Ona jest smukła i piękna w białej sukni, welonie i białych butach.

On wygląda jak konfirmant.

Po prawej stronie stoi łudząco do mnie podobna momma. Druga babcia podtrzymuje tańczący na wie-

51

52

trze welon panny młodej, a obok uśmiecha się dzia-

dek w siwych lokach. Po lewej stronie stoi rodzeństwo mojego ojca, a po prawej — przystojny wujek. Drugiego brata mamy widocznie tam nie było.

Na tym zbiorowym portrecie en face nie widać, czy mama jest w ciąży. Ale chyba jest, i w takim razie ja też zostałam uwieczniona. Mam wszystko, co będzie mi w życiu potrzebne, gdy tak leżę do góry nogami w jej łonie.

Zadziwiające jest to, że w moich rodzinnych stronach, które cechował nieustanny wstyd, gdzie każdą ładną i cieszącą się powodzeniem pannę obmawiano brzydko za jej plecami, dzieci przychodziły na świat, kiedy chciały.

Czasami rodzice zdążyli się pobrać, a czasami nie. To było zupełnie naturalne i nikomu nie przynosiło wstydu.

W stronach niepodzielnie opanowanych przez wstyd ten wyjątek brał się chyba stąd, że — w przeciwieństwie do prowincji Vasterbotten — u nas nigdy nie zadomowił się fundamentalizm religijny. Asa i ja chodziliśmy do szkółki niedzielnej, babcia czytała Biblię, a nam nie wolno było grać w karty w dni świąteczne. I na tym kończyła się nasza religijność, jeśli nie liczyć czworokątnego zboru zielonoświątkowców w Faker.

Przyjęty był zwyczaj, że narzeczony zostaje u dziewczyny na noc.

Młodzi byli razem na próbę.

53

Mój tato nie potrzebował żadnych prób, od pierwszego wejrzenia przekonany, że pragnie tylko tej kobiety.

Tylko ona, a nie żadna inna, miała zostać moją mamą.

Przytaczam tutaj wersję mojego ojca, ponieważ jego opowiadanie jest zakończone, a mojej mamy — ciągle trwa.

Ponieważ historia ojca dobiegła kresu, próbuję z największym możliwym szacunkiem zarządzać podarowanym mi przez niego opisem pierwszego spo-

54

tkania. Tyle tylko, że każda próba przeniesienia tego opisu na papier przekształca go coraz bardziej w opowieść, mit i legendę.

Powtarzam przyjęte przez moją świadomość i zapamiętane słowa ojca, ale to moje zrozumienie i moja kiepska pamięć decydują o tym, co i jak przekażę innym.

Opowiadanie musi przejść przeze mnie, a to przecież nie pozostaje bez wpływu na jego formę.

Każde odtworzenie opowiadania oddala je od prawdy i przybliża do opowiadania jako takiego.

I chyba to właśnie mamy na myśli, gdy stwierdzamy, że opowieść powinna mówić sama za siebie. Nie musi opierać się na czymś, co można skontrolować, zweryfikować, czemu można zaprzeczyć i przeciw czemu można zaprotestować. Sama w sobie powinna wystarczyć jako opowieść, baśń, legenda. I może dlatego w tej książce więcej mowy jest o moim ojcu niż o mamie. Albo po prostu ojciec na odległość przybiera bardziej mityczne proporcje niż mama z bliska.

Matka musi bowiem spełniać podstawowy warunek: być obecna. Traktujemy ją jako coś oczywistego, inaczej nie potrafimy.

Jeżeli matka nie ugotuje obiadu, nie ogrzeje, nie opierze, nie obszyje i nie pójdzie na zakupy — to kto to zrobi?

55

Kto oprócz matki zatroszczy się o to wszystko, o co trzeba się zatroszczyć, żeby dzieci wyszły na ludzi? W każdym razie mniej więcej tak to wyglądało, kiedy byłam dzieckiem.

Istnieje dużo zdjęć mojego taty z czasów jego młodości. Ojciec był niezwykle przystojny. Na starych fotografiach wygląda jak gwiazdor filmowy, wygląda jak Gregory Peck. Opadający na czoło lok, tajemniczy uśmiech, drwiące spojrzenie. Ach, te nie istniejące już drwiące spojrzenia! Wysportowana sylwetka i wyssana chyba z mlekiem matki, niewymuszona elegancja.

Mój tato pachniał w specjalny sposób: cierpko i ciepło. Wełna, mydło i bawełna. Wokół niego zawsze unosiła się przyjemna woń. Nie znosił perfum i szminki, w żadnym wypadku nie skropiłby się wodą toaletową, jak jego ojciec, czy Aqua Vera, jak czynił to mój drugi dziadek.

Gdy myślę o tacie, najpierw czuję jego zawsze przyjemny zapach. On był tym zapachem. Zapachem i głosem. Nie potrafił śpiewać, ale nikt inny nie recytował tak donośnie i pięknie Dana Anderssona, Fródinga i Ferlina.

Nie wiem, co zobaczyła moja mama, gdy ujrzała go po raz pierwszy. I jaki doleciał ją zapach.

Nie wiem, co słyszała, co czuła i co sprawiło, że pozwoliła mu zostać moim ojcem.

56

To jest jej historia i jej legenda.

A do okoliczności mojego poczęcia mam podobny stosunek jak do tajemniczy źródła i zamku. Nie chcę wiedzieć i nie jestem w tym osamotniona.

Żadne dziecko na świecie nie chciałoby wiedzieć, jak doszło do czegoś tak niedorzecznego.

ZUPEŁNIE BEZDRADNA

Asa i ja urodziłyśmy się w odstepie jednego roku i pięciu dni, a więc nasze urodziny dzieli zaledwie pięć dni.

Dopóki bycie starszą przynosiło mi korzyści, podkreślałam ten rok i pięć dni przy każdej nadarzającej się okazji. Później przestało mnie to interesować, a teraz już od dawna nie obchodzę urodzin.

Jako dzieci świętowałyśmy wspólnie, jednego roku — w dniu urodzin Asy, następnego roku — w moim. Dwa mniejsze przyjęcia łączono w jedno wielkie. Tak było praktycznie i dobrze, i nikt nie zgłaszał protestów.

Oprócz mnie. Nie przepadałam za praktycznymi względami, chciałam postawić na swoim i potrafiłam się dąsać przez cały kolejny rok. I pięć dni.

Siła mojej woli była utrapieniem wszystkich, którzy mieli ze mną do czynienia, i tak jest po dziś dzień. Pruję do przodu jak kosiarka marki International Harvester, pozostawiając po sobie tylko ściernisko. Chcę postawić na swoim, ale osiągnąwszy cel, momentalnie tracę pewność. Zaczynam wątpić, czy faktycznie moim największym marzeniem było to, co właśnie udało mi się przeforsować. Okrutnie żałuję i mam ochotę

58  
przepraszać cały świat, ze szczególnym uwzględnieniem Asy.

Nie pamiętam, jak to było z przyjęciami urodzinowymi, nie wiem, czy udało mi się postawić na swoim, ale jedna rzecz jest pewna — gdybym osiągnęła swój cel, żałowałabym przez cały następny rok. I pięć dni.

Skrucha nie była widoczna na zewnątrz, błąkała się gdzieś w środku. Była jak nieprzyjemne uczucie, jak brzęczenie uwięzionej w pokoju muchy. Trudno wytrzymać ten dźwięk, ale jeszcze trudniej złapać owada.

Postawić na swoim — to trochę umrzeć, i podobnie jest z urodzinami.

Nie cierpię urodzin.

Nie dlatego, że nie chcę się starzeć, tylko z powodu śpiewania „Sto lat, sto lat”, z powodu toastów i radosnych okrzyków. Zbiorowy śpiew i jednogłośnie wrzaski — brakuje tylko jeszcze wyciągniętych rąk i wąsików Hitlera.

Nie podoba mi się to. Uprzejmie, acz stanowczo uprasza się o nieświętowanie moich urodzin.

Asa i ja urodziłyśmy się jesienią.

Nie pamiętam, jakie kwiaty uświetniały nasze przyjęcia urodzinowe. Przepych jesiennych kwiatów był tak ogromny, że nie potrafię ich sobie przypomnieć. W mojej przeciążonej pamięci wysiadają korki.

Pamiętam natomiast wiosenne kwitnienie. Każdy poszczególny rodzaj kwiatów pojawiał się pojedynczo i ostrożnie, by ułatwić potwierdzenie nadejścia. Najpierw podbiały. Podbiały były punktem wyjścia. Zakwitały na nasypach kolejowych i odurzały swą wonią końskich kopyt, jeszcze nim stopniał śnieg. Od ich zapachu kręciło w nosie, ale w końcu przekwitały, nie narobiwszy szkody.

I wtedy nadchodziły przylaszczki.

Troskliwie stulone, aż do dnia, w którym delikatne płatki rozchylały się w wiosennym słońcu. Każdy wiedział, gdzie rosną przylaszczki, tak jak każdy wiedział, że nigdy nie wypuściłyby pędów w towarzystwie podbiałów. Przylaszczki i ich upajający zapach. Łagodny, ale wyraźnie uchwytny, intensywny, a przecież nie nachalny.

Przylaszczki potrafiły być sobą, nie robiąc wokół siebie zbyt dużo szumu.

A później przychodziła kolej na pierwiosnki, dominujące pierwiosnki i ich natarczywą cierpkość. Pierwiosnkowe wzgórze było tak szczelnie obrośnięte prymulkami, że powinien był tam kiedyś przyjechać Sven Jerring i skomentować w swoim niezapomnianym stylu.

— Proszę państwa, pierwiosnki, wszędzie pierwiosnki, proszę państwa, pierwiosnki wyciągają się jak struny, to niesłychane, proszę państwa, pierwiosnki, pierwiosnki...

60

Każdego roku obowiązywała ta sama procedura.

Wtykałam nos w prymulki, nos puchnął jak balon, uszy też, wyglądałam jak słońiętko Babar. To samo nieszczęście każdego pierwiosnkowego sezonu. Nie poświęcałam ani jednej myśli konsekwencjom, które przecież nigdy nie dotyczyły tylko mnie, ale całej rodziny, a przede wszystkim mommy.

— Olaboga, stulko! — mówiła momma.

„Stulka” znaczy dziewczynka, a „olaboga” — wiadomo.

— Olaboga! — mówiła momma, zupełnie bezdradna.

„Być bezdradną” oznaczało „nie wiedzieć, co począć”. Przymiotnik „bezdradny” występował najczęściej w połączeniu „zupełnie bezdradny” i nie miał nic wspólnego z przeniecierstwem, a jeżeli miał, to dlatego że sprzeniewierzyłam się rodzinie, będąc tak nieuleczalnie sobą.

— Olaboga! — mówiła momma, zupełnie bezdradna.

Na mój temat było dwa razy więcej „olaboga!” niż na temat Asy.

Asa wspinała się na wierzchołki osik, ale to ja z nich



spadałam.

Pewnego razu wisiałyśmy na trzepaku, zaczeplone kolanami, z głową w dół.

Nagle doszłam do wniosku, że przecież nie mogę tak tu zwisać jak nietoperz, i rozluźniłam uchwyt.

61

I tylko szczęśliwym zrzędzeniem losu nie doznałam wstrząsu mózgu i nie skręciłam karku.

— Olaboga, stulko! — powiedziała momma.

Tylko tyle: „Olaboga, stulko!”.

'HUWALiGEN!

(OLABOGA! STODUŁA CHŁOPOKI STULKA KESMUSA

BAGNIUCHA OLABOGA! UOWIECKJ CHŁODNICA

STOLA DŁUGAŚKIMUĆKI)

MOJA BABCIA I JEDZENIE

U MARCELA PROUSTA

Zawsze wszystko zjadałam.

W domu i w gościach. Można było przeglądać się w talerzu i zaoszczędzić na zmywaniu.

Moja siostra była dobra we wszystkim, ale ja byłam najlepsza w zjadaniu do ostatniego okruszka, nie-nasycona.

Wielu czytelników Prousta — my do nich nie należeliśmy — odczuwa wręcz zmysłową tęsknotę przy opisie kucharki wyszukującej składniki do swoich wyśmienitych potraw.

Jak gdyby wybór świeżych produktów dobrej jakości był zastrzeżony wyłącznie dla lepszego towarzystwa we Francji z przełomu XIX i XX wieku. Jak gdyby nasze produkty nie były o wiele bardziej świeże.

Czas, miejsce i klasa społeczna Prousta zyskały nieśmiertelność, ponieważ miały swojego piewcę, który potrafił opisać różne doznania smakowe. U nas jedzenie miało zamykać usta. Oczywiście na tyle, na ile to było możliwe.

W powieści W poszukiwaniu straconego czasu kucharka kupiła „błękitną flądre, bo kupczyni zaręczyła,

63

że świeża; indyczkę, bo Franciszka zobaczyła ładną na targu w Roussainville-le-Pin”.

W naszej rodzinie jedliśmy to, co było dostępne o danej porze roku.

Ryby były wtedy, gdy wujowie złowili je w górskim potoku albo jeziorze. Oprawione na miejscu, wkrótce trafiały na patelnię; te bajeczne palie o złotawym i jędnym mięsie, czerwone złoto strumienia.

Od czasu do czasu szczupak.

Zimą — miętus z ikrą. Uśmiercony pałką, wyciągnięty spod grubej warstwy niebieskiego lodu i uduşzony przez mommę w śmietanie.

U Prousta to pani domu ustalała menu, a Fran-

ciszka dokonywała wyboru produktów. To właśnie jej wybór i sposób przetwarzania składników decydował o tym, czy na stole gościły posiłki czy dzieła sztuki kulinarnej.

U nas decydował produkt, a za kulinaria i menu odpowiadała momma — nawet jeżeli nie myśleliśmy w takich kategoriach.

Momma czyściła, patroszyła, smażyła, dusiła, gotowała, piekła, blanszowała albo mieszała. W ten sposób zamieniała produkty w jedzenie, cały czas korzystając z aktualnych zasobów.

Podaż określała popyt zgodnie z zasadą gospodarki samowystarczalnej, a nie rynkowej.

\* M. Proust, W poszukiwaniu straconego czasu, przeł. Tadeusz Boy-Żeleński.

64

Przesądzał sezon.

Po świniobiciu jedliśmy sine kluski z wieprzowiną albo schabowe, po polowaniu na łosie — mięso łosia, i tak dalej.

Rydze przy źródle, pomarańczowe złoto świerkowych lasów, to bogactwo, którego nie przebiją żadne akcje i obligacje.

Rydze trzeba było zbierać błyskawicznie, nim zrobaczywieją blaszki. Dokładnie wypłukać, oczyścić, a później nawlec na nitkę i wysuszyć na strychu.

Oprócz tych niewielu świeżych, które smażyło się na prawdziwym maśle.

Równie wyśmienite były smardze, choć nie smażone, tylko duszone w śmietanie.

Skąd brała się ta wiedza, że rydze najlepiej smakują z patelni, a smardze — spod przykrywki?

Czy człowiek wiedział o tym od zarania dziejów, czy wpadła na to momma?

Jako dziecko zdawałam sobie sprawę, że życie ludzi i zwierząt kończy się śmiercią. Pytanie o kres było jedynym pytaniem, które miało odpowiedź. Nie licząc oczywiście pytania, czy mam ochotę na dokładkę, ale ono należało do tych — jak to się mówi — retorycznych.

Produkty rolne uprawiano regionalnie. To było oczywiste, mieszkaliśmy w Jamtlandii, więc jedzenie było jamtlandzkie, a nie szwedzkie.

65

Kwaśne mleko było szwedzkie. My jedliśmy gęste mliko, zakwaszone tłuszczką. Tłuszczka to rodzaj bardzo cennej podpuszczki, którą dzieliły się wiejskie baby i która pochodziła z tłustosza, niepozornej lepkiej rośliny o liliowych kwiatuszkach, rosnącej na torfowiskach. Wymieszane z tłustoszem letnie mleko wstawiano na noc do ziemianki.

Rozłożone na klepisku piwniczki gałęzie jałow-

ca i zapach mokrej ziemi nadawały mleku tak specyficzny aromat, że nawet pamięć nie potrafi go polepszyć.

I tylko bielusieńkie kryształki zgrzytającego w zębach cukru.

Żadnych tam wielkowiejskich szklanych miseczek z niebieskim szlaczkiem, żadnego cynamonu.

Nasze jedzenie nie było pierwszym lepszym domowym wiktem. Nie robiło się klopsików śledziowych w sosie z koryntkami, nie znaleźmy lekko wędzonej białej kiełbasy.

U nas jadło się świeże sezonowe potrawy, typowe dla górskiego rejonu środkowej Norlandii.

Bulion z łosia z zimnymi kluseczkami z kardamonem.

Gotowanekę.

Tjalknul — dziesięciogodzinna pieczeń.

Sine kluski z pozostałą po uboju krwią, kiszkę z flaków i jęczmienia, zmielonego na kaszę w maszynce do mięsa.

66

Kleik jęczmienny z masłem, kapuśniak z pieprzem, rórost — słodki ser z niepasteryzowanego mleka, różyczki kalafiora i surową, utartą brukiew, wyszorowaną najpierw dokładnie specjalną szczoteczką do warzyw.

W czasach, gdy świnia była świnia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, że nadejdą takie czasy, w których kotlety będą transportowane tam i z powrotem po całej Europie.

Babcia opiekowała się prosiętami odtrąconymi przez maciorę. Umieściwszy je w pudełku po butach, w pobliżu pieca, poila rozcieńczonym krowim mlekiem. Ale niezależnie od tego, jak dużo dolewała wody, krowie mleko ciągle było zbyt ciężkostrawne dla delikatnych prosięcych żołądków.

Zamiast apetycznych różowych prosiaczeków wyrastały w kuchni zielonkawe chudzielce; niektóre z nich, puszczające niestrudzenie bąki, odwdzięczały się mommie za jej troskę i przeżywały do kolejnego uboju, po którym przerabiano je na kiszkę albo mielone.

Do czasu, gdy w 1957 roku w naszej wiejskiej szkole pojawiły się obiady, nigdy nie jadłam czegoś, co nie dorastało na moich oczach. Oprócz plastrów ananasa w syrapie, marki Del Monte. W syrapie — tak było napisane i tak go nazywaliśmy. I oprócz kiełbasy Fału.

Najpierw podbiegało do ogrodzenia jagnię i lizało w zapamiętaniu klatkę piersiową głaszczącego je

67

człowieka, a później role się zmieniały. Taka była naturalna kolej rzeczy. Najpierw Sture beczał, a później

zamieniał się w mielone.

Kury znosiły jajka.

Obserwowanie skorupki wysuwającej się powoli z tyłka noski było jedną z niewielu dziecięcych rozrywek w górach środkowej Norlandii w latach pięćdziesiątych.

Weselej być nie mogło.

No, chyba że zaliczyć tu również jedzenie jajek.

Ugotowanych na miękko, z płynnym żółtkiem, z roz-tartym w moździerzu pieprzem i z solą. Ugotowanych na twardo, nieodzownych w torebce z suchym pro-wiantem. Siedzieliśmy na płocie i połykaliśmy obra-ne jajka w całości.

Mleko przynosiło się w bańce prosto z obory.

W zależności od sezonu miało różny wygląd i smak.

Z początkiem lata było zielonkawe i chwyciła po nim kolka, tak jak po agreście, leśnych malinach, su-rowej brukwi i kalafiorze. Zjedzenie zbyt dużej porcji surówki mogło skończyć się skrętem kiszek i wizytą w szpitalu.

To było oczywiste, że z każdą przyjemnością szło w parze niebezpieczeństwo utraty życia.

Arnljot, koń ardeński dziadka, nasz ukochany

Arnljot, pewnej listopadowej nocy w 1951 roku za-jadł się na śmierć owsem, ponieważ ktoś zostawił przy zwierzęciu niezawiazany worek.

68

Mleczarnia leżała w Faker.

Zwożono tam mleko ze wszystkich gospodarstw w gminie i zlewano do jednego basenu. A później bełtały się w nim ciągliwe grudki twarożku zwanego kesmusa. Nikt go nie jadł.

Oprócz mnie.

Miód pochodził od Lindblomów, ponieważ mieli pa-siekę.

Pewnego dnia rój pszczół wplątał się w moje war-kocze. Spanikowane owady żądliły jak najęte. W cią-gu paru sekund moja głowa dwukrotnie powiększy-ła objętość.

Takie rzeczy były wliczone w cenę miodu, gdy by-łam dzieckiem.

Nie mówiono o wykorzystywaniu dzieci do pracy.

Pomagaliśmy w gospodarstwie, podobnie jak po-magała kiedyś mama, gdy była mała, i jak mamma, kiedy — jako ośmioletnia dziewczynka na służbie — każdego ranka maszerowała dziesięć kilometrów do najbliższej wsi.

Do wszystkiego każdy z nas dokładał niewielką cegielkę, zawsze było coś do zrobienia.

Łapanie uciekających przed ubojem świń. Grabie-nie siana, układanie drewna w stos, zaganianie krów do obory. Łuskanie groszku, przerywanie marchewki,

pielenie, okopywanie, podlewanie. Zbieranie brusznic i jagód w lesie, poziomek wzdłuż drogi 81 i malin na porębach.

69

Pomagaliśmy we wszystkim, z wyjątkiem zbierania bagniuchoy, czyli maliny moroszki. To bagicienne złoto rosło na podmokłych torfowiskach na wschód od jeziora; dziecku wciągniętemu przez bezdenne mokradło groziła pewna śmierć.

Wnosiliśmy swój wkład we wszystko, co trzeba było zrobić przed nadejściem srogiej zimy. Kto bez naszej pomocy zdażyłby bowiem odśnieżyć dróżkę do ziemianki, w której na półkach stały ozdobnie opisane słoiki z przetworami, a w specjalnej skrzyni leżały ziemniaki?

Nie działa nam się krzywda, nie głodowaliśmy, mieliśmy ciepłe łóżka i co najmniej trzy posiłki dziennie. Kiedy momma była mała, zdarzało się, że wygłodzone dzieci umierały z przejedzenia, gdy poczęstowano je nagle sinymi kluskami.

Tak łatwo przekroczyć granicę.

Nigdy nie dotknęła nas klęska głodu.

Wręcz przeciwnie.

Gdy wyprawiono stypę po śmierci dziadka mojej najlepszej przyjaciółki, Desire, ochrzczonej tak po książce Desire, na deser podano: ażurowe faworki, wafelki z kardamonem, fińskie paluszki, całuski, maślane precelki, cynamonowe serduszka, migdałowe babeczki, czekoladową krajankę, kruche ciasteczka z cukrem, ciasto francuskie, babkę piaskową i łaciatą oraz siedem rodzajów bułeczek drożdżowych. Tak było na każdym pogrzebie, dożynkach, weselu i zapowiedziach.

70

Wszystkie te wymyślone przez ludzkość wypieki cukiernicze, niezliczone rodzaje ciasteczek, które przyszło pokolenia unicestwią w imię piramidy zdrowego żywienia, a do tego bułeczki z nadzieniem migdałowym.

Że też tyle szumu robi się wokół jednej magdalenki, kiedy równie dobrze może ją zastąpić migdałowa drożdżówka. Całe społeczeństwo, cała kultura kulinarna — stracone i odnalezione w smaku migdałowej bułeczki z odrobiną zielonego marcepanu w samym środku.

Kiedy byłam dzieckiem, nie istniały uprawy bez chemii. Każdy wysypywał na pola tyle trucizny, na ile go było stać. Jeżeli gdzieś coś rosło bez pomocy środków chemicznych, to tylko dlatego, że chłop był zbyt biedny albo zbyt skąpy.

Etyki jeszcze nie wynaleziono, a jedzenie było ważniejsze niż moralność.

Surowce pochodziły z obory albo chlewu, z lasu,

z malinowego chruśniaku i grzybnych poręb, z ogrodu i rozsadnika, zrobionego przez mamę ze starych okien.

Zjadanie co do okruszka było jedyną rzeczą, za którą w dzieciństwie zbierałam pochwały. Wszystko inne uważano za coś oczywistego albo krytykowano. Chwaliła mnie nawet momma. Szczególnie momma, nasza nachmurzona babcia, która na co dzień uważała, że wszystko jest jednym wielkim nieszczęściem,

71

a Titanic to tylko potwierdzenie tezy, że życie dla takich jak my ma w zanadrzu wyłącznie niedolę.

A przecież jednocześnie była dumna ze mnie i z mojego apetytu.

Ja też.

Nie zjadałam co do okruszka, by wkraść się w czyjeś łaski. To nie było żadne poświęcenie. Raczej wrodzony talent i świadomość, że można rozkoszować się każdym kęsem jedzenia, nawet najmniejszą gałązką koperku.

Doroczna premiera kiszzonego śledzia przypadała w trzeci czwartek sierpnia. W Sztokholmie niektórzy zaczynali już w czerwcu; siedząc na balkonie, pochłaniali niesamowite ilości ryby, by później w oparach wódki i piwa intonować pijackie przyśpiewki.

Ale to nie tak ma wyglądać!

Kiszonym śledziem trzeba umieć się delectować.

I my to umieliśmy.

Nadawał się tylko jeden gatunek: Róda Ulven.

Róda Ulven i ziemniaki migdałowe, mogły być nawet ubiegłoroczne.

Pamiętam, że nie mieliśmy serca jeść młodych, ale pamięć najwyraźniej mnie zawodzi.

Tak się u nas przyjęło, że wspomnienie starych ziemniaków zwycięża nad wspomnieniem młodych delicji, parujących spod kołderki świeżego kopru.

Trzeba było wyprzeć to, co dobre i smaczne, by zrobić miejsce dla nieszczęścia i biedy.

72

W przeciwnym razie może załęgłyby się w naszych głowach jakieś głupie myśli.

U Marcela Prousta jest na odwrót. Tam przyjemne wspomnienia przelewają się leniwie przez kolejne strony, tam pozwala się temu, co dobre, być dobrym.

Ale nie mają kiszzonego śledzia.

Dziadek otwierał puszki, jedną po drugiej. Odgłos ulatujących gazów i siła pierwszego psyknięcia decydowały o tym, czy aktualny rocznik zaliczy się do niezłych czy do fantastycznych. Niezły był niezły, ale na określenie fantastycznego istniało nieskończenie wiele epitetów.

— W tym roku będziemy jeść powoli — mówili-

śmy co roku.

— W tym roku nie będziemy, jak zwykle, połykać śledzia, w tym roku będziemy przeżuwać powoli i spokojnie.

A później zaczynały się zawody w obieraniu ryby. Pozbawialiśmy ją wnętrzości i ości bardzo dokładnie, można było wręcz ulec złudzeniu, że one nigdy nie istniały. Na cienki placek chleba posmarowany prawdziwym masłem nakładaliśmy trzy części ciepłych ziemniaków i jedną część oczyszczonego śledzia, po czym zwijaliśmy całość w rulonik i pochłanialiśmy ze smakiem.

Niewtajemniczonemu woń kiszzonego śledzia mogła wydawać się potworna, ale smak wysmienitego rocznika Róda Ulven był niebiański. Nawet jeżeli określenie „niebiański” jest typowo miejskie i prawdopodobnie nigdy nie przeszłoby nam przez usta.

73

Ileż kiszzonego śledzia nigdy nie znalazło się w literaturze światowej!

Mama oraz mała Karin i momma (duża Karin) piekły cienkie placki, z których później robiliśmy śledziowe ruloniki. Mieszały w dzieży mąkę jęczmienną i serwatkę. Pewnym ruchem ręki wylewały trochę ciasta na rozgrzaną płytę specjalnego pieca w stajni, przewracały łopatką na drugą stronę i ściągały.

Takich ciepłych placków prosto z pieca nie można kupić za pieniądze. Już podczas transakcji straciłyby na wartości.

Był taki czas, kiedy każde gospodarstwo we wsi sprawiało sobie wybuchający szybkowar.

My kupiliśmy swój akurat w okresie polowań na łosie. W naszym lesie zastrzelono kłepę, szykowała się gotowanka.

Gotowanka to gotowane razem brukwie, marchew, kilka cebul i mięso łosiowe, które kruszało niespiesznie na słabym ogniu. Równie pomału gotuje Franciszka u Prousta, „żeby mięso zrobiło się jak ta gąbka; wówczas pije wszystek sok aż do dna”<sup>\*</sup>.

Kiedy państwo pytają Franciszkę, dlaczego jej potrawy są smaczniejsze niż te podawane w luksusowych paryskich restauracjach, kucharka odpowiada: „One gotują zanadto na łap-cap”<sup>\*\*</sup>.

<sup>\*</sup> M. Proust, W poszukiwaniu straconego czasu.

<sup>\*\*</sup> Tamże.

74

My też.

Bo teraz, gdy już mieliśmy szybkowar, mięso nie musiało gotować się w nieskończoność. Teraz wszystko miało iść szybko, taka nastała moda. Szybkie jedzenie było u nas pojęciem nieznanym do momentu, w którym mama zapięła kłamry szybkowaru i posta-

wiła go na ogniu. Trudno o bardziej zawrotne tempo. Szybciej niż błyskawicznie mięso łosia wbiło się w sufity kuchni jak łodzikiem w skałę.

Choroby wieku dziecięcego szybkowarów przebiegały podobnie u wszystkich.

Jedną z wielu teorii tłumaczących dużą przylepność mięsa łosiowego była jego wysoka zawartość białka.

Skrawaliśmy łosinę na miejscu i jedliśmy w podobny sposób, w jaki dzisiaj ludzie jedzą kebab w barze szybkiej obsługi.

Wszystko mi smakowało, ale najbardziej cielęcy taniec, prawdziwy delikates, którego dzisiaj na próżno by szukać. Odszedł razem z mamą, a w dzisiejszych ogromnych farmach, przypominających stalinowskie kołchozy, brakuje niezbędnego know-how.

Nazwa deseru pochodzi stąd, że przyrządzano go z młodziwia, czyli pierwszego mleka wydzielanego przez krowy po ocieleniu. Nie wiem, czy młodziwia starczało i na taniec, i dla cielaka. Ma pewno ktoś na tym tracił. Wszystko miało swoją cenę, a waluta nie miała nic wspólnego z pieniędzmi.

75

Cielęcy taniec to misterium mommy. Nikt oprócz niej nie znał jego tajemnicy, nie istniał też żaden przepis. Nie było decylitrowych miarek i wagi. Momma odmierzała składniki na oko z niezachwianą precyzją. Długo i dokładnie mieszała młodziwo ze zwykłym mlekiem z dodatkiem cukru, kardamonu i laski cynamonowej, by później wszystko przelać do wysmarowanej masłem i syropem formy. Następnie wstawiała formę do naczynia z wodą i zapiekała w piekarniku do chwili, gdy taniec ścinał się jak jajecznicą, a na powierzchni powstawała złotobrazowa skórka.

Cielęcy taniec stanowił własną krainę szczęśliwości i nie miał sobie równych.

Dostawałam trochę do spróbowania na talerzyku. Na opisanie tej próbki Proust potrzebowałby stu stron, a i tak nigdy by mu się to do końca nie udało. Gdy chodziłam do trzeciej klasy, a Asa do drugiej, w naszej szkole pojawiła się stołówka z potrawami, o których nawet nie śniłam. Zupa czekoladowa na ciepło i chleb z pastą kawiorową.

Potwierdziła się opinia, że jestem dobra w jedzeniu. Wkrótce dowiedziała się o tym cała parafia. Teraz momma była naprawdę dumna, nie dało się zaprzeczyć.

Tak jak Snoddas był dobry w śpiewaniu, tak ja byłam dobra w zjadaniu do ostatniego okruszka. I równie sławna w parafii Hackas.

76



Podobnie jak dzisiaj wtedy też było łatwo zostać sławną. I równie trudno. Dziś można zyskać rozgłos dzięki jedzeniu pajaków przed kamerami telewizyjnymi, a o mnie stało się głośno z powodu zupy czekoladowej i chleba z pastą kawiorową w stołówce szkolnej. Jedzenie obiadów w szkole jawiło mi się jako chodzenie do luksusowej restauracji sześć dni w tygodniu. Żyłam w tym przekonaniu do 1987 roku, od którego przez jakiś czas faktycznie dane mi było jadać w ekskluzywnych lokalach.

Pewna gazeta poprosiła mnie o artykuł na temat sztokholmskich restauracji z gwiazdką w przewodniku Michelin. Na pierwszy rzut oka to wymarzone zlecenie, ale po trzech dniach w luksusach byłam skłonna zrobić wszystko, żeby tylko zostać w domu i utrzymać sobie trochę brukwi.

Jadłam ślimaki z Prowansji, solę z Zelandii, pierś kurczaka z nieszczęśnika tuczonego kukurydzą, odwłoki homarów norweskich, mus z białej czekolady z trufkami wykopanymi przez szkoloną świnię we francuskich Alpach. Piłam burgunda z Burgundii, wino bordeaux z Bordeaux i prawdziwego szampana z Szampanii.

Dokładnie tak jak rodzina Prousta.

Tylko że to było ich jedzenie, a nie moje.

Nie odpowiadało mi towarzystwo trufli, po ślimakach czułam się nieswojo, a wina upajały mnie alkoholem. Zateęskniłam za talerzem rosółu z łosia i zimnymi kluseczkami z kardamonem. Jakże próżna to

77

tęsknota! Nie ma już mommy, która potrafiła nadać I rosółowi niepowtarzalny aromat, a kluseczkom z kardamonem — specjalny smak i konsystencję.

Gdy skończyłam jedenaście lat, zostałam niejadkiem. Nagle przestałam być najlepsza w zjadaniu do ostatniego okruszka, skończył się kulinarny raj na ziemi. Jak to się stało?

Nikt nie wie do dziś.

Na pewno nie z powodu zdjęcia wychudzonej modelki w jakimś czasopiśmie, tego typu wojna prowadzona przeciw sobie samej nie przychodzi z zewnątrz. Przyczyna, dla której jedzenie zamieniło się z przyjaciela we wroga, jest głęboka jak bezdenne torfowisko. I równie nieodgadniona.

Jakkolwiek do tego doszło, właśnie wtedy wybuchła moja wojna trzydziestoletnia z kaloriami. Konflikt był mój, to ja go zaczęłam i ja prowadziłam walkę, ale na wojnie zazwyczaj ginie więcej cywilów niż żołnierzy.

Pierwszą ofiarą była moja babcia.

Nie zaszkodziłby jej bardziej nawet strzał ze sztucera prosto w podbrzusze.

— Nie dam rady — mówiłam.

— Nie jestem głodna, już jadłam, nie chcę więcej.

Gdy przestałam zjadać wszystko co do okruszka, wyrządziłam babci największą krzywdę, jaką kiedykolwiek mogłam wyrządzić drugiemu człowiekowi.

78

Można by sądzić, że rodzina Prousta z rządzącą w kuchni Franciszką jest tak bardzo odmienna od mojej rodziny, w której *momma* krzątała się między piecem a spizarnią, że nawet trudno to wyrazić. Ale to błąd.

Te same uczucia, które żywiła Franciszka do prostaków zostawiających jedzenie na talerzu, żywiła również moja babcia.

Jedyna różnica polega na tym, że Marcel Proust potrafił emocje Franciszki ubrać w słowa.

„Ten, kto by się uchylił od skosztowania, mówiąc: «Skończyłem już, nie jestem głodny», ściągnąłby się natychmiast do rzędu prostaków, którzy nawet wówczas, kiedy artysta ofiaruje im swoje dzieło, zwracają uwagę jedynie na wagę i na materiał, gdy tu wyłącznie znaczy intencja i podpis. Zostawić bodaj jedną kroplę na talerzu świadczyłoby o takim samym braku wychowania, co wstać przed końcem produkcji pod nosem kompozytora"\*.

M. Proust, W poszukiwaniu straconego czasu.

## BEZDENNY MIĘTUS

W zbiorze pochodzącym z tego życia, w którym pisałam wiersze, ponieważ to był jedyny sposób, żeby się ich pozbyć, jest wiersz zatytułowany: To było wtedy. Wiersz traktuje o mojej przeszłości, o intensywnych i mistycznych doznaniach związanych z kwitnieniem czeremchy, o tym, jak owe doznania szybko mijają, i o tym, jak potężna i niezrozumiała jest długa zima.

Wyszukałam ten wiersz, żeby sprawdzić, czy nadaje się do Mojego pierwszego życia, i przeczytałam następujący wers:

W leśnym jeziorze bezdenny miętus pływa.

Każdy, kto zna się choć odrobinę na języku, powie, że zdanie „W leśnym jeziorze bezdenny miętus pływa” jest niepoprawne. Że to jezioro może być bezdenne, a nie miętus.

Każdy, kto zna się choć odrobinę na poezji, wie, że chodzi o bezdeń, głębię i tajemniczość. Spoczywająca na dnie jeziora ryba symbolizuje to, co zagadkowe i groźne.

W rzeczywistości jezioro nie było bardziej bezdenne niż balia. Ale sprawiało takie, a nie inne wrażenie.

81

Zimą Asa i ja jeździliśmy po nim na łyżwach, a pod

nami pływał miętus.

Życie człowieka płynie, zatacza pętle i wylania się w najmniej oczekiwanych momentach.

W poezji albo we wspomnieniu dnia, w którym straciłyśmy z siostrą rachubę czasu i spóźniłyśmy się na kolację.

Obiecałam mamie, że będziemy na podwórku, ale wpadłam na pomysł, że mogłybyśmy pojechać na łyżwach, i zaciągnęłam Aśkę nad leśne jezioro.

Metalowe płozy, tak zwane półrurki, przypinało się do butów narciarskich rzemiennymi paskami.

Trzeba było je porządnie zacisnąć, żeby nie zgubić łyżew w czasie jazdy. Staralam się, jak mogłam, ale nigdy nie udało mi się ich przymocować wystarczająco mocno. A to ześlizgiwały się z buta, a to przekrzywiały, a ja razem z nimi, i bęc! I znów musiałam się podnosić, i jeszcze raz zapinać klamerki.

Z racji starszeństwa spoczywał na mnie obowiązek pilnowania czasu i oczywiście powinnam była nad tym czuwać. Przecież na każdym kroku podkreślałam, że jestem starsza, cały rok i pięć dni. Obiecałam mamie, że nie opuścimy podwórka i że nigdy więcej się nie spóźnimy.

Ale tęsknota za jazdą na łyżwach była silniejsza ode mnie. Choć trudno mi było utrzymać równowagę i raz po raz łapałam zajęcia, bawiłam się tak dobrze, że straciłam rachubę czasu.

82

To było jak trans, jak upojenie. Nie mogłam przestać, stawałam na nogi, ruszałam do przodu jeszcze raz i jeszcze raz, zmuszałam się do granic wytrzymałości.

Czas płynął w świetle gwiazd, a spod lodu leśnego jeziora łytał na nas okiem miętus.

Spocone dziewczynki i nie istniejący czas. Naraz zespoliłyśmy się z kosmosem i wpadłyśmy — przynajmniej ja — w seksualną ekstazę.

Czas przestał istnieć dla nas, ale nie dla mamy.

Wieczór był coraz późniejszy i czarniejszy, w lesie czyhały na nas niebezpieczeństwa z góry, z dołu i z boków. Mama czekała w kuchni. Chodziła po niej tam i z powrotem, od ściany do ściany. Wybiegała na dwór, wbiegała do domu i znów dreptała wte i wewte, coraz bardziej wściekła.

Na kakao gęstniał kozuch.

Tak długo byliśmy poza domem i tak późno wróciłyśmy.

Nie wróciłyśmy do domu wcześniej, niż faktycznie wróciłyśmy, a kiedy w końcu to się stało, wszystko w mamie skręcało się z niepokoju, i za karę poszłyśmy spać bez kakao i bez całusa na dobranoc.

To było trochę tak jak wtedy, gdy ojciec wymierzył

mi policzek, dlatego że powiedziałam, że nie mogę. — Nie istnieje coś takiego, jak „nie mogę” — powiedział i chlast!, ku obopólnemu zdziwieniu jego dłoń przykleiła się do mojego policzka.

83

Ani mama, ani tato nie wierzyli w karę jako metodę wychowawczą, i opisane tu zdarzenia to tylko wypadki przy pracy, nieszczęśliwe pomyłki, których rodzice niezmiernie później żalowali.

Dla ośmioletniej dziewczynki to było jak najbardziej zrozumiałe, że mama umierała z niepokoju.

Posunęliśmy się za daleko, po prostu.

Czas przestał istnieć, Asa i ja znalazłyśmy się w szczelinie kosmicznej ekstazy, to się zdarza. Nie ma wokół czego robić szumu.

Jeżeli czułam się winna, to tylko dlatego, że faktycznie byłam winna.

A to nie znaczyło, że obarczałam się większą odpowiedzialnością niż ta, którą w tej sytuacji ponosiłam, to naprawdę nie było nic wielkiego.

Nie czułam się ofiarą z winy innych.

Dopiero gdy zamieszkałam pod Sztokholmem, dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych i na progu sześćdziesiątych zetknęłam się z tym fatalnym zwyczajem zrzucania winy na rodziców.

Przekonanie, że wszystko jest winą rodziców i że nikt zrodzony z kobiety nie ponosi odpowiedzialności za swoje życie, było błędną i jakże zgubną w skutkach interpretacją psychologii. Z odpowiedzialnych jednostek ludzie z mojego pokolenia przeobrazili się w ofiary.

Ofiara ma na kogo zrzucić winę, sama zwolniona z jakiegokolwiek odpowiedzialności za swoje życie.

84

Ofiara jest barankiem losu. Z ofiarą świat może zrobić, co tylko zechce.

Pamiętam, jak po raz pierwszy doznałam tej przyjemnej strony bycia ofiarą.

To było w domu koleżanki z grupy confirmacyjnej w Johannelund, zbieg okoliczności sprawił, że rodzina nazywała się Johansson. Zaczęło się od tego, że mama owej koleżanki, pani Johansson, w falbaniastym fartuszkach i z zaróżowionymi policzkami, typowa mama z przedmieścia lat pięćdziesiątych, zapytała mnie uprzejmie, gdzie mieszkam i czym zajmują się moi rodzice.

Wszystko się wydało, gdy odpowiedziałam grzecznie, że nie mieszkam u rodziców, tylko w rodzinie zastępczej, ponieważ moi rodzice się rozwiedli i rozproszyli po kraju. Pełna przerażenia reakcja pani Johansson i promieniujące ku mnie ciepło jej współczucia pozwoliły mi po raz pierwszy zrozumieć, że

z bycia ofiarą można odnieść korzyść. Co za doskonały sposób zjednywania sobie sympatii!

Nigdy wcześniej nie uważałam się za ofiarę. Nigdy nie myślałam, że trafiłam do rodziny zastępczej z czyjejsz winy, tak po prostu wyszło.

Bycie ofiarą było dla mnie czymś nowym. Nagle poczułam, że jestem ważna, lubiana i interesująca.

Zostałam ofiarą na cały etat.

Stałam na skrzyżowaniu dwóch kultur: mojego dzieciństwa, kiedy to dorośli wiedzieli wszystko naj-

85  
lepiej, podczas gdy widzialne, ale niesłyszalne dzieci miały zatykać usta jedzeniem, i wielkomijskiej kultury lat sześćdziesiątych, w której wszystko było winą rodziców.

Moje pokolenie to pokolenie ofiar, a ponieważ jestem reprezentatywną przedstawicielką swojego pokolenia, stałam się wzorcową ofiarą.

To trwało od młodości w Vallingby mniej więcej do moich pięćdziesiątych piątych urodzin. Nie znałam osoby, która byłaby większą ofiarą, nad którą można by było bardziej się użalać i która ponosiłaby mniej odpowiedzialności za swoje życie niż ja.

Dopiero kiedy w wieku pięćdziesięciu pięciu lat zrobiłam pierwszy samodzielny krok i poniosłam jego konsekwencje, zrozumiałam, co straciłam.

Sympatia, którą obdarzano mnie jako ofiarę, była niczym w porównaniu z tą sympatią, którą teraz czuję do siebie samej. Swoim samozadowoleniem mogłabym obdzielić wszystkich ludzi na Ziemi. Nie potrzebuję współczucia innych, wystarczy mi własne; a w szacunku dla siebie samej zawiera się cały świat. Szczególnie moi rodzice, którzy mnie na ten świat powołali. Dwie pierwszoplanowe osoby, które dały mi istnienie i wszystkie te rozwijające się jedno po drugim życia.

**CZY JA JUŻ TEGO**

**NIE OPOWIADAŁAM?**

Moja mama twierdzi, że z racji wieku coraz więcej zapomina. Ma osiemdziesiąt jeden lat i nie jest bardziej zapominalska niż ja.

A ja mówię, że jej roztargnienie nie ma związku z wiekiem, ono jest częścią gigantycznego roztargnienia, które ogarnęło cały świat. Cały świat cierpi na utratę pamięci i zapasć informacyjną. Otaczają nas zewsząd nieustanne komunikaty i obrazy — reklama, wiadomości, reality show — tego nie da się przebrać; nie wiadomo co, kto, gdzie i komu powiedział.

Wieczorne wiadomości, „Wyprawa Robinson”, „Klub Przygód”, długoterminowa prognoza pogody — coraz szybciej, człowiek nie nadąza z selekcjonowaniem i w ostatecznym wyniku uprzywilejowana

część ludzkości nic nie pamięta.

Nawet jeżeli tylko moja mama i ja nie pamiętamy niczego dokładnie w ten sam sposób.

Jestem klonem matki, jestem niepodważalnym biologicznym dowodem na zwycięstwo genetyki nad środowiskiem. To przekonanie, w którym żyło moje pokolenie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, to błędne przekonanie, że człowiek jest produktem środowiska, zostaje natychmiast podane

88  
w wątpliwość przez ludzi, którzy poznali mnie i moją mamę.

Tego nie widać na pierwszy rzut oka, ale wystarczy, że otworzymy usta, że wykonamy choćby najmniejszą czynność, i od razu wiadomo: te dwie kobiety są wyciosane ze wspólnego pnia, te dwie kobiety zachowują się identycznie. Przykład z bliźniaczymi bejsbolówkami to tylko jeden z wielu, ale za to klasyczny.

Pewnego dnia, niezależnie od siebie, kupiłyśmy na wyprzedaży takie same czapeczki z daszkiem.

W dwóch różnych miejscach i dwóch różnych punktach czasowych. A później każda z nas, każda w innej części Europy, z bejsbolówką na głowie, zachowała się dokładnie w ten sam sposób. Ujrawszy sąsiada, każda w swoim kraju, zdjęła czapeczkę za rogiem domu. Całe my! Najpierw spontaniczny zakup bejsbolówki, a po chwili — uczucie zażenowania z powodu jej obecności na głowie.

Takie zachowanie ma swoje dobre i złe strony. Dobre — bo zdążymy dużo działać, złe — bo często tych działań żałujemy.

Robimy wciąż te same błędy, nic się na nich nie uczymy i niejednokrotnie popełniamy tę samą gafę.

Większe jest poczucie winy niż zadowolenie. Tak było ze stodołą, stołą.

Kiedy Asa i ja byliśmy dziećmi, południową część naszej zagrody Ol Ers stanowiła stara stodoła z po-  
89

szarżanych bali. Ponieważ uprawialiśmy rolę tylko na własne potrzeby, mogliśmy obejść się bez pomieszczenia do przechowywania snopowiązałki, traktorów i innych maszyn rolniczych.

Stodoła świeciła pustką, psuła ogólne wrażenie i zasłaniała widok.

Ciągle mówiło się o tej nędznej stole, o tym niezmiernym marnotrawstwie materiału, o tym, ile zimna można by palić w piecu drewnem rozbiórkowym, i jak wypiękniałaby okolica, gdyby stoła zniknęła z pola widzenia.

Nagle stoła zaczęła reprezentować wszystko, co błędne, zbędne i szkodliwe. Nie było innego wyjścia,

musieliśmy ją zlikwidować.

Pewnego dnia stoła została rozebrana, pewnego dnia przestała istnieć.

I wtedy zaczęliśmy żałować decyzji o rozbiórce z taką samą intensywnością, z jaką wcześniej narzekaliśmy na stodołę.

Usłyszawszy tę opowieść, moja mama zgłasza protest i ni stąd, ni zowąd jesteśmy w trakcie jednej z dyskusji, w które widocznie matki i córki wdają się automatycznie i nieuchronnie.

A szczególnie moja mama i ja.

To trochę tak, jakbym ganiła samą siebie. Dochozimy tylko i wyłącznie do kłótni, nigdy do jakichkolwiek wniosków.

A później zapominamy o wszystkim — do następnego razu.

90

Od pewnego czasu zaczynam każde zdanie od pytania: „Czy ja już tego nie opowiadałam?”, ale ponieważ nikt nic nie pamięta, nigdy nie otrzymuję twierdzącej odpowiedzi. Fakt, że ciągle piszę to samo, ma oczywiście pewien związek z owym wielkim światowym roztargnieniem, ale jako pisarka zawsze mogę powiedzieć, że to mój temat przewodni.

Temat powtarzający się w każdej książce, niezależnie od jej treści.

W porównaniu z rzeczywistością w twórczości pisarskiej istnieje większa swoboda powtórzeń. I dlatego bardziej cenię pisarstwo jako formę życia.

Prawdziwe życie stawia bowiem zdecydowanie za wysokie wymagania i człowiek nie jest w stanie im sprostać. Z powodu zalewu informacji cały czas zdajemy sobie sprawę z tego, czego nie robimy, i żeby móc żyć, musimy tę wiedzę wyprzeć ze świadomości.

Nic nie pamiętamy, ponieważ wiemy zbyt dużo.

NA GRANICY NOSTALGII

Zaprezentuję teraz kilka krótkich, napisanych z różnych powodów, tekstów na granicy nostalgii.

Nie mają specjalnej chronologii, nie istnieje ich wewnętrzna klasyfikacja. To fragmenty mojego dzieciństwa, w którym główne role odgrywali: momma i moffa, tata i mama oraz Asa.

Wieś, w której przyszłam na świat, i szczyty gór na horyzoncie mają też swoje niezastąpione role, bez nich moje dzieciństwo nie byłoby moim dzieciństwem, a życie — życiem. Wspomnienie należy tylko do mnie, nie można go z nikim dzielić i tym właśnie różni się od nostalgii.

Moje dzieciństwo jest tylko moje, tak jak dzieciństwo Asy jest jej — i zupełnie inne. Tak jak nie istnieją dwa identyczne włosy, tak nie mogą istnieć dwa jednakowe wspomnienia.

Nie ma czegoś takiego jak wspólne wspomnienie z dzieciństwa.

Kiedy ludzie zaczynają łączyć swe wspomnienia ze wspomnieniami innych i twierdzą, że ich domniemane wspólne wspomnienia z dzieciństwa są podstawą tożsamości, wtedy, szcękając zbroją, przekraczają granicę tęsknoty.

92

Pamięć jest czymś najbardziej osobistym. Zbieranie swoich reminiscencji i łączenie ich ze wspomnieniami innych to rozmywanie własnej tożsamości, swojego najgłębszego ja.

Jeżeli czegoś się obawiam, to właśnie tego wypaczenia rzeczywistości, tego lepkiego filtra tęsknoty, który — nałożony na przeszłość — pozbawia ją ostrości, rozmiękcza i rozmazuje. W procesie filtrowania zanika słoność, w końcu wszystko emanuje tylko słodyczą, wyklucza się czerń i zostaje jedynie uwodnicielska poświata.

Tęsknota to zabijanie prawdziwych wspomnień.

Dlatego tak bardzo mi zależy na tym, żeby pozostać po mojej stronie granicy nostalgii.

#### ZUPA CZEKOLADOWA

Kiedy piszę o swoim dzieciństwie, czasami mam ochotę zadzwonić do siostry, by sprawdzić, czy naprawdę było tak, a nie inaczej.

Ale gdy kiedyś w końcu zadzwoniłam, rozmowa z Asą przysporzyła mi tylko kłopotów.

Zapytałam ją między innymi o zupę czekoladową i kanapkę z pastą z kawioru. I nigdy więcej już czegoś takiego nie zrobię.

Opowiadam przecież o swoich wspomnieniach i nie ma nic do rzeczy, jak było naprawdę. Czasami Asa pamięta dokładnie to samo co ja i to napawa mnie poczuciem bezpieczeństwa, ale niekiedy przedstawia zupełnie inną wersję zdarzeń, a wtedy mój obraz świata chwieje się w posadach, a nad moją historią zawisa miecz Damoklesa.

Czasami jestem święcie przekonana, że brałam w czymś udział, lecz gdy Asa twierdzi, że absolutnie mnie tam nie było, muszę jej wierzyć.

Nie zmyślam świadomie, ale unikam kontrolowania dobrych historii. Po tym incydencie z zupą czekoladową nie będę już nigdy niczego sprawdzać.

Moja siostra jest rzetelniejsza niż ja. Niewiele osób wie, że ma również o wiele bardziej interesujące życie.

95

Nie musi opowiadać o jakimś zdarzeniu, by je urzeczywistnić. Moja siostra nie cierpi na tę ułomność.

Asa pamięta zupę czekoladową i kanapkę z pastą z kawioru. Tę gęstą, zaprawianą zasmażką zupę o sy-



całym smaku czekolady, tak bardzo odmiennym od słonego i chrupkiego doznania chleba. Takich pyszności się nie zapomina.

— Dostawaliśmy ją w soboty — mówi.

A mnie pozostał w pamięci zupełnie inny obraz.

Zupa czekoladowa i chleb z pastą kawiorową jawi mi się jako danie powszednie, a nie odświętne, podawane tylko w soboty. Nic specjalnego, nic bardziej świątecznego niż kiszka czy krwista maczanka z białym sosem.

Myślę, że Asa się myli, ale ponieważ prawdopodobnie ma rację, nic nie mówię. I najzwyczajniej w świecie podejmuję decyzję, że już nigdy o nic nie zapytam.

Istnieje sposób, żeby rozstrzygnąć, kto ma rację.

Wystarczy znaleźć kogoś, kto skontaktuje się ze wszystkimi osobami, które chodziły jednocześnie ze mną i z Asą do szkoły w Bjarmelund, zbierze wszystkie wspomnienia dotyczące zupy czekoladowej i chleba z pastą z kawioru i na podstawie tych opinii osądzi, czy to było jedzenie powszednie, czy nie.

Zdecyduje wówczas to, co stanowi podstawę demokracji pośredniej, czyli wola większości.

96

I wtedy każdy, kto chciałby do owej większości należeć, będzie wiedział, co powinien sądzić o zupie czekoladowej.

Tego typu konkluzje skłaniają do refleksji nad problematycznością demokracji. A przecież nie można powierzyć władzy jakiemuś szaleńcowi tylko dlatego, że ma mnóstwo pieniędzy. Potrzebne jest demokratyczne, praworządne i przyjazne człowiekowi społeczeństwo ze służbą zdrowia, szkołami i odpowiednią infrastrukturą.

Jednym słowem: społeczeństwo respektujące osobę, której wspomnienie zupy czekoladowej nie zgaźda się ze wspomnieniem większości.

**DESKI W TANDSBYD**

Moim pierwszym wspomnieniem teatralnym mogłaby być wizyta w Królewskim Teatrze Dramatycznym przy Nybroplan w Sztokholmie, gdzie ubrana w odświętną sukienkę, siedząc w pluszowym fotelu, oglądałam z tatą rosyjską, nigdy nie kończącą się sztukę, i gdzie w czasie przerwy w marmurowym foyer piłam Pommac pod monstrualnym żyrandolem, który w każdej chwili mógł runąć, roztrzaskać tacie głowę i zniszczyć moją paradną sukienkę oraz nowe lakierki, jeszcze takie malutkie.

Ale nie jest.

Moje pierwsze wspomnienie teatralne to występ grupy Kvartetten Synkopen w świetlicy wiejskiej w Tandsbyn, dokąd pojechałam razem z Asą, mom-

mą, moffą, wujkiem J. i mamą. Nie pamiętam, czy Asa była w sztokholmskim teatrze, ale na pewno była w Tandsbyn.

Jechaliśmy samochodem wujka J., opatuleni w wełnę od łapci po grzywki, ponieważ na dworze panował trzydziestostopniowy mróz. Ale w świetlicy było ciepło i siedzieliśmy na drewnianych ławkach, spragnieni wspaniałych przeżyć, ponieważ cały świat lokalnej parafii wiedział, że centrum kultury w Tandsbyn słynie ze swoich rewii noworocznych.

98

A także z tego, że występował tutaj objazdowy Teatr Państwowy z Karin Kavli w roli panny Julii i Ake Grönbergiem jako służącym Jeanem. Ale teraz nie mieliśmy oglądać dramatu Strindberga, tylko Kvar tetten Synkopen.

Na deskach scenicznych, mających symbolizować świat w Tandsbyn, pokazało się czterech jegomości, których znaleźmy z radia, a którzy teraz stali przed nami na żywo i z chustkami zawiązanymi na głowach udawali baby, na długo przed pojawieniem się drag show czy homoseksualistów.

Jeden po drugim śpiewali w świetle reflektorów: „To pani Nilsson. To pani Karlsson. To pani Persson. I pani Levin”.

Ostatni wers wyśpiewywał basem mężczyzna grający panią Levin.

Mojej młodszej siostrze i mnie poczerwieniały policzki, jakbyśmy to my stały na scenie; nigdy wcześniej nie przypuszczałyśmy, że coś takiego przypadnie nam w udziale, a przecież przypadło.

Klaskałyśmy, aż puchły nam dłonie, i byłam święcie przekonana, że śpiewający basem jegomość patrzył właśnie na mnie, gdy razem z kolegami dziękował za brawa, ale Asa twierdziła, że na nią, i nigdy przedtem nie spotkało nas nic podobnego, a ja nie przeżyłam czegoś takiego po dziś dzień.

A teraz Asa mówi, że w ogóle nie pamięta Kvar tetten Synkopen w świetlicy w Tandsbyn, i pyta mnie, czy jestem pewna, że naprawdę tam była.

#### ANNA W CENTRALI

Czasami, kiedy moffa zajmował się w terenie swoimi czynnościami urzędowymi, zostawiał Asę i mnie u Anny w centrali. Czekając na jego powrót, siedziałyśmy w ciepelku i czytałyśmy o kocie Jónssona w „Siewcy” oraz o Hansie i Fritzu w „Tygodniku Domowym”.

Ani w naszym domu, ani u moffy (mówiło się „u moffy”, chociaż mieszkała tam również momma) nie kupowało się tygodników. Pewnego razu tato przyniósł ze sobą „Wiadomości ze Związku Radzieckiego”, ale tam nie drukowano żadnych komiksów.

Centrala była centralą telefoniczną w Faker, Anna

w niej zarówno pracowała, jak i mieszkała. Nikt wtedy o tym nie myślał, ale Anna była kobietą pracującą, w odróżnieniu od mamy, która tylko harowała.

Sama centrala wyglądała jak coś w rodzaju wbudowanej w ścianę tablicy z otworami na specjalne sznurowe wtyczki, które Anna podłączała do odpowiednich gniazdek, gdy dzwoniły, i wyjmowała, kiedy oddzwaniały. W ten sposób łączono rozmowy.

U nas telefon znajdował się w tej części domu, którą można by nazwać salonem, nawet jeżeli nikt w naszej okolicy nie używał tego słowa.

Ludzie we wsi mówili „sala”. Nie mam pojęcia, dlaczego my tak nie mówiliśmy. Nie dlatego, żeby

100  
wywyższać się z racji pochodzenia ojca — tato i tak był w Sztokholmie, a nie u nas. W stolicy mówiło się „pokój dzienny”. Ale właśnie ten pokój z telefonem był pomieszczeniem, w którym nigdy nie przebywaliśmy na co dzień. Panował tam największy chłód, a drzwi prawie zawsze były zamknięte. Nie miał jakiejś szczególnej nazwy; bywaliśmy w nim w lecie, zimą — prawie nigdy.

Mieliśmy tam kominek, nie zaś powszechny we wszystkich innych gospodarstwach piecyk, ale wzorem innych mieszkańców wsi paliliśmy w nim nie częściej niż na Boże Narodzenie i inne ważne święta.

Kuchenny piec na drewno był zawsze ciepły, ale w kominku nie palono wiele razy w roku.

Telefon wisiał na zachodniej ścianie, obok okna z widokiem na szczyt Areskutan. Z południowego okna widać było góry Ovixsfjallen, a ze wschodniego — dom moffy. Na północ nie wychodziło żadne okno.

Aparat telefoniczny miał korbkę po prawej stronie.

To za pomocą tej korbki wychodziło się na linię, telefon nie miał tarczy z cyframi. Trzeba było pokręcić korbką, podnieść słuchawkę, poczekać, aż Anna w centrali odpowie: „Centrala Faker”, i dopiero wtedy podać numer, pod który chciało się zadzwonić.

Bjarme 30 było do moffy.

My mieliśmy 54, Bjarme 54.

Później odkładało się słuchawkę i kręcąc korbką, sygnalizowało telefonistce zakończoną rozmowę.

101

Kiedy dzwonił telefon, odbierałyśmy z Asą na wyścigi. Jeżeli dzwonił. Rozmowy telefoniczne były wtedy równie rzadkie, jak teraz list w kopercie ze znaczkiem, osobisty list napisany ręcznie na papierze listowym, list, w którym opowiada się o swoim samopoczuciu i pogodzie.

Kiedy dzwonił telefon, najpierw przez sekundę się bałam, że ktoś umarł, a później biegłam podnieść słuchawkę.

Asa i ja byłyśmy się jak dzikie zwierzęta o to, która z nas ma odebrać albo zadzwonić, jeżeli zachodziła taka potrzeba.

Dopóki mieszkaliśmy razem w zagrodzie Ol Ers, byłyśmy się o wszystko.

Dlatego też zrobiło się tam tak pusto, gdy przestałyśmy mieszkać razem. Zabrakło kogoś, z kim mogłam się mierzyć i kto zawsze był dokładnie tam gdzie ja. Zabrakło dowodu na własne istnienie.

To że któraś z nas dobiegła pierwsza do telefonu, nie oznaczało, że będzie jej dane rozmawiać. Zazwyczaj to ja rozmawiałam. Choć bardzo rzadko telefon był do mnie albo do Asy. I w ogóle bardzo rzadko dzwonił, i kropka.

Kiedy jako nastolatka w Vallingby zaczęłam czytać „Fickjournalen” i zobaczyłam zdjęcia młodych dziewcząt, które odziane w rybaczki leżały na miękkich so-

102  
fach w salonach pokrytych włoszczakami i rozmawiały w nieskończoność z przyjaciółkami albo ze swoimi chłopakami, nie myślałam o tym, jak zmieniło się telefonowanie.

Myślałam wyłącznie o tym, że te nastoletnie dziewczyny są szczupłe, a ja jestem gruba.

Kiedy moffa zostawiał mnie i Asę u Anny w centrali, jeszcze nie wiedziałam, że przeświadczenie o wartości życia zależy w dużej mierze od tego, czy jest się grubym, czy chudym.

Mama mierzyła Asę i mnie dwa razy w roku. Jak zawsze wszczynałyśmy kłótnię. Chociaż obie wyprężyłyśmy się jak struna, zawsze jedna uważała, że druga wypręży się bardziej. Podobnie było z sokiem w szklankach i porcjami jedzenia — wystarczała najmniejsza różnica i momentalnie wybuchała walka.

Więc nie tylko moffa przyczynił się do naszego szczególnego poczucia sprawiedliwości. Podczas gdy Asa je praktykuje, ja jestem dobra w teorii. Asa pracuje z niepełnosprawnymi dziećmi i zawsze aktywnie działa w swoich miejscach zamieszkania, ja zaś — jak zawsze — tylko dużo mówię.

Po wewnętrznej stronie drzwiczek kuchennej szafy ciągle jeszcze widać znaczki zapisane lubryką, niezniszczalne.

Data i wzrost.

Zawsze byłam wyższa od Asy, tak jak zawsze będę starsza. To że osiągnęłam przeciętny wzrost kobiety z mojego pokolenia, stanowi jeszcze jeden z wielu

103  
pojawiających się ciągle dowodów na to, że jestem typową przedstawicielką tego pokolenia.

Telefon był z bakelitu, który nie pachniał niczym innym niż bakelitem. W porównaniu z plastikiem ba-

kelit łatwiej się kruszył i przez nieostrożność powstawały tu i ówdzie odpryski, ukazujące czarne wnętrze materiału. Na szczęście odłamki dawało się przykleić klejem Karlssona.

„Wszyscy używają kleju Karlssona oprócz mnie, bo ja jestem osłem” — głosił napis na tubce.

Każda opowieść z mojego dzieciństwa prędzej czy później przeradza się w nostalgiczne wspominki wspólne dla całego pokolenia. Ale gdy odejmiemy zapach bakelitu, reklamę kleju Karlssona i czynności związane z telefonowaniem, kiedy pominiemy szczegóły, pozostaniemy tylko Asa i ja, moffa i momma, i mama, i ciągle nieobecny tato.

Powstanie antyczny dramat grecki, który — jak wynika z nazwy — zupełnie do nas nie pasuje.

Gdy odejmiemy wspomnienie centrali telefonicznej, w której siedziałam z Asą, czytając o kocie Jónsona oraz o Hansie i Fritzu, wymażemy pewien okres z historii Szwecji. Przesuniemy go i wypaczymy. Owo wypaczenie dokonuje się centralnie w Sztokholmie i nie muszę go — w panicznym strachu przed tęsknotą — przejawskrawiać z Finistere.

Przesuwanie zaczęło się jeszcze przed wprowadzeniem przez Telię usług dodatkowych, ale wraz z nimi niewątpliwie zyskało na powadze.

104

Dzięki usługom dodatkowym abonenci telefoniczni mogą na przykład przerwać jedną rozmowę na korzyść drugiej albo rozmawiać z paroma osobami jednocześnie.

Usługi dodatkowe były wstępem do wielkiej wolności wyboru, owej wolności, która w dobrze sytuowanej części świata powoduje specyficzny rodzaj niezadowolenia — nie ma na nie rady. Im więcej możliwości, tym większe prawdopodobieństwo, że dokonasz złego wyboru. Dobrobyt, o który tak ciężko walczyły wcześniejsze pokolenia, okazuje się niewiele wart w obliczu dokuczliwego podejrzenia, że może jednak faktycznie zdecydowałeś się na nieodpowiedni fundusz emerytalny albo na niewłaściwego operatora telefonii.

Usługi dodatkowe były początkiem końca pewnej epoki i wstępem do kolejnej, w której wszyscy walczą o to, żeby nieustannie znajdować się w zasięgu ręki. Jeśli nie jesteś w zasięgu ręki, nie istniejesz. Jeżeli nie można się z tobą skontaktować, zostajesz zastąpiony kimś innym, wyeliminowany, usunięty.

Usługi dodatkowe były pierwszym krokiem w kierunku prywatyzacji Telii i ruiny publicznej infrastruktury.

Załatwiwszy swoje czynności urzędowe — dlaczego właściwie nas ze sobą zabierał? — moffa przychodził

po nas do centrali. Dziękując Annie, zakładałyśmy pionierki i czapki z królika.

105

Później biłyśmy się o to, która będzie siedziała na przodzie mopedu, w objęciach moffy, a która z tyłu, a jeszcze później jechaliśmy do domu i pokonywali-śmy wzniesienia w Bjarme i zakręt ślepej kiszki.

SKRZYNKA

W KAŻDYM HOŁMIE

Zdarzyło się, że amerykański brat moffy, wujek Ed, wzbogaciwszy się w Kanadzie, przyjechał w rodzinne strony ze swoją żoną, ciocią Anne, która chodziła po wsi w butach na wysokich obcasach i w futrze z szynszyli.

W Vancouverze mieli dwa teriery, które zostały w domu ze względu na obowiązującą kwarantannę. Od wujka Eda dostałyśmy dwa niewielkie, plastikowe teriery, które trzymane po jednej stronie szyby — poruszały się za pomocą magnesu z drugiej strony. Ciocia Anne przywiozła nam bezwartościowe bączki, sztuczne bransoletki ze sztucznymi breloczkami i brzydkie jedwabne chusteczki do nosa, za które musiałyśmy wyrażać nieproporcjonalnie głęboką wdzięczność.

Pewnego lata ciocia Anne zaniemogła i zwymiotowawszy, upadła bez czucia. W najbliższym szpitalu lekarz zdiagnozował wakacyjnego wirusa, który wkrótce okazał się nowotworem mózgu. Pojechała więc szpitalnym wagonem do kliniki w Sztokholmie, gdzie operował ją sam Herbert Olivecrona. Herbert Olivecrona był sławnym chirurgiem, który — podobnie jak Snoddas — również grał w bandy. Nie je-

107

stem pewna, czy to właśnie on operował ciocię Anne, ale ponieważ wyzdrowiała, nie można tej informacji uznać za pomówienie.

Ciocia Anne przeżyła wujka Eda, lecz — o ile pamiętam — nigdy już nie przyjechała do Szwecji.

Pewnego razu szłam przez wieś z wujkiem Edem; nie było z nami ani cioci Anne, ani Asy.

Powiedział, że w Ameryce w każdym hołmie jest skrzynka z obrazkami i dźwiękiem.

Skrzyneczka, którą można włączyć i wyłączyć.

„Skrzynka w każdym hołmie”, powiedział.

„Skrzynka w każdym hołmie, z ruchomymi obrazami i prawdziwym dźwiękiem, z wiadomościami i rozrywką, jak w radiu”, powiedział.

Kiedy przekazałam to innym, drwili ze mnie tak bardzo, że prawie musiałam się wycofać. Ale nawet jeżeli sama podejrzewałam, że wujek zmyśla, bo taki jak on może sobie pozwolić na wierutne kłamstwo, nawet wtedy obstawałam przy swoim. Tak powiedział!

W każdym domu skrzynka w każdym hołmie.  
„Nigdy nie będzie mi dane tego przeżyć”, myślałam.  
Pamiętam, że gdy szłam wtedy z wujkiem Edem  
przez wieś, właśnie tak myślałam. Wyraźnie jak neon.  
„Nigdy nie będzie mi dane tego przeżyć”.  
Wujek Ed miał dwóch synów, którzy walczyli w woj-  
nie koreańskiej.  
Jeden z nich zginął.

108

I tak mi się to zlewa w całość — skrzynka w każ-  
dym hołmie i zastrzelony syn, kuzyn Ted.

Śmierć i skrzynka w każdym hołmie.

Skrzynka w każdym hołmie i śmierć.

#### OD MESZKI DO LISZKI

Jako że byłam dzieckiem mieszkającym w górach  
środkowej Norlandii, w lecie chodziłam z mamą do  
koleby, czyli szałas pasterskiego. Mama miała sześć  
lat, gdy — przerażona ciemnością i malutka — pierw-  
szy raz pasła krowy w lesie, razem z ciocią Reginą.  
Asa i ja nie pasaliśmy krów, chodziłyśmy do szała-  
su dla rozrywki. Plecaki z drugim śniadaniem, zrolo-  
wane placki ze słodkim serem. Sok domowej roboty.  
„Olejek dżunglowy”.

„Olejek dżunglowy” to okropny środek przeciw ko-  
marom, do dziś dnia uważany za najskuteczniejszy.  
Smarowałyśmy się nim od stóp do głów, u nasady  
włosów, we włosach, za uszami i między palcami stóp.  
Przed komarami trzeba się było chronić. Te głośno  
bzyczące i szybkie jak strzała owady dokuczały naj-  
bardziej w rowach melioracyjnych i w porębach. Ko-  
mary były paskudne, ale meszki jeszcze bardziej.  
W porównaniu z chmurą górskich meszek ze środ-  
kowej Norlandii robactwo w dżungli to pikuś.

Meszki są tak małe, że pojedynczo trudno je do-  
strzec gołym okiem, ale razem—jak to bywa ze stwo-  
rzeniami w grupie — stanowią śmiertelne zagrożenie,  
110

Kiedy Asa i ja narzekałyśmy, że olejek szczypie  
w oczy i śmierdzi jak kozie siki, mama pytała nas, czy  
chcemy skończyć jako ścierwo łośia; nie chciałyśmy.  
Łoś, który zamienił się w ścierwo łośia, przeżył po-  
lowanie na łośie, ale później padł ofiarą roju meszek.  
Oskar ze Skute widział biedaka, obrzydliwie objedzo-  
nego. Rany po ukąszeniach wielkie jak spodki, za-  
puchnięte oczy i pysk napęczniały jak zeppelin Hin-  
denburg z encyklopedii dziadka.

Jedna z najważniejszych nauk wyniesionych z dzie-  
ciństwa była następująca: nigdy nie należy lekcewa-  
żyć wroga w postaci meszek.

(MESZKI. JAK TO BYWA ZE STWORZENIAMI  
W GRUPIE — ŚMIERTELNIE GROŹNE)

Koziulki umierają same z siebie. Te nieważkie koziulki

bez substancji, ze względu na swoją wielkość, nazywano w moim języku dłużeńkami.

111

Wszyscy w moich stronach znali piosenkę o dłużeńkach; teraz ta przyśpiewka istnieje w pamięci niewielu żyjących osób i razem z nimi pójdzie do grobu. To że jestem jedną z tych osób, nie daje żadnych gwarancji, że przyśpiewka przetrwa, zważywszy na moją pamięć. Pierwsza zwrotka:

Po wysokim niebku latajom dłużeńki,  
Majom dłużeńki, Majom dłużeńki.  
Po wysokim niebku Majom dłużeńki,  
Latajom dłużeńki, Majom dłużeńki.

A ty śpiwosz tralalala!

A ja śpiwom tralalala!

To śpiwojmy tralalalalalalala!

Zarówno chłopskie pochodzenie, jak i znajomość piosenek o dłużeńkach za moich czasów nie stanowiły o wysokim statusie społecznym, dlatego też przez większą część życia starałam się wypierać tego rodzaju wiedzę. Nie żebym teraz w jakimś archiwum muzyki ludowej chciała nagrać piosenkę o dłużeńkach. Nie, nigdy w życiu! Ani w Jamtlandii, ani tym bardziej w Finistere, gdzie obowiązuje okropna muzyka celtycka.

Odległość między folklorem a nacjonalizmem bywa mniejsza niż krok mrówki.

Gdy byłam dzieckiem, góry środkowej Norlandii zamieszkiwało dużo mrówek. Czarne osiłki i boleśnie kąsające, czerwone wścieklice. W odmarzających pod

112  
koniec kwietnia mrowiskach pojawiały się jednocześnie z przylaszczkami.

A wtedy strugaliśmy patyczki i pogrzebawszy nimi w mrowiącym się mrowiu, oblizywaliśmy jak lizaki.

Młodzi nie dają teraz temu wiary, ale to prawda.

W czasach mojego dzieciństwa nie było dużo słodczy. Jeżeli istniały, to jako luksus dla miejskich dzieci, nie dla nas.

Kiedyś Asa i ja miałyśmy oswojoną liszkę. Jeżeli w ogóle można mówić o oswojonych robakach.

Liszka była półprzeźroczystą, różowawą larwą, tłustą jak kiełbasa, o długości siedmiu, ośmiu centymetrów.

Mieszkała w słoiku z ziemią.

Ponieważ wydzielala dokuczliwy zapach, mama nie była nią szczególnie zachwycona.

Nazwałyśmy ją Charlie i próbowałyśmy traktować z ckliwością, z jaką dzieci w książkach dla dzieci obchodziły się z osobliwymi formami życia, takimi jak liszki i pająki.

Ale nam nie wyszło.



## PŁONAĆCA WDOVA W KOLORZE

Nie pamiętam, który był pierwszy. Dzieci z gór Frostmofjallet czy Czarnuszek i Linuszek. Czy film o niszczących zęby trollach — Próchniaczku i Bakteryjce. Czy może kolorowy obraz o indyjskiej wdowie w jedwabnym sari, spalonej żywcem, ponieważ jej męża rozszarpał na strzępy i zjadł tygrys, ten wszechobecny w Indiach drapieźnik.

Nie pamiętam, który film zobaczyłam jako pierwszy, ale na pewno był to horror i obejrzałam go w towarzystwie Asy, mojej młodszej siostry.

To był początek lat pięćdziesiątych, siedziałyśmy w świetlicy w Lyransgarden w króliczych czapkach, reniferowych botkach i wełnianych rękawicach i szczękałyśmy zębami ze strachu i zimna, chociaż żeliwny piecyk był rozżarzony do piekielnej czerwoności. Zabrakło cenzora, który sprawdziłby dawkę tolerowanej przez nas przemocy, oglądałyśmy więc film o Próchniaczku i Bakteryjce, szkaradnych trollach i potworach siejących spustoszenie w buzi każdego dziecka. Potwory na moim języku, potwory, które pojechały później z nami do domu i nocą grasowały po zębach, wdzierały się do głowy i mózgu, by później wylatywać uszami, uzbrojone w łom i pogrzebacz.

114

Nigdy nie rozmawiałyśmy z siostrą o strachu, ale żyłyśmy w nim od pierwszego pokazu filmowego w Lyransgarden.

Przenigdy nie zapomnę tej płonącej żywcem wdowy w jaskrawym sari. Ani Czarnuszka i Linuszka, ani dzieci z gór Frostmofjallet, ani istniejących, choć przecież nie istniejących, Próchniaczka i Bakteryjki.

Kiedyś Asa poprosiła mnie, żebym jej zajrzała do buzi, chociaż wiedziałyśmy, że trolli nie widać gołym okiem, i zobaczyłam Próchniaczka, a może Bakteryjkę, jak smyrza za języczkiem w gardle.

Ale nie powiedziałam tego Asie; przecież nie chciałam śmiertelnie wystraszyć swojej jedynej młodszej siostry, jak to robiły filmy o Frostmofjallet i Indiach, o nie istniejących wcześniej i kompletnie niepotrzebnych miejscach, które teraz byłyśmy zmuszone oglądać, tak jak oglądałyśmy tygrysa skradającego się w dżungli wokół naszego domu i tę kobietę, która musiała umrzeć tylko dlatego, że to było w Indiach i w kolorze.

Wtedy właśnie zrozumiwałyśmy, że musimy umrzeć.

Tak jak umierali jedno po drugim rodzice dzieci z Frostmofjallet, którzy zostawiali je na pastwę losu, żeby obudzić w nas lęk przed śmiercią naszych rozwiedzionych rodziców, a szczególnie taty — był on tak daleko, że równie dobrze mógłby umrzeć w Indiach albo w górach Frostmofjallet.

I przymykałyśmy oczy, chociaż wiedziałyśmy, że  
to nic nie zmieni — jeśli człowiek umarł, to go nie ma.  
I świata też nie ma.

115

Nasz świat zawalił się i rozpadł w gruzy w Lyrans-  
garden, gdzie terkoczący nieubłagane projektor w ta-  
jemniczy sposób ukazywał nam kolejne klatki filmu  
— czort wie, z czyją pomocą. Prawdopodobnie tego  
samego mężczyzny, który karmił drewnem rozgrza-  
ny do czerwoności piecyk i dłubał w żarze pogrze-  
baczem.

Dreszcz zgrozy przenikał nas do szpiku kości, za-  
słonięte czarnymi kotarami okna pokrywały lodowe  
kwiaty niczym zziębłe kwiecie grobowca, a my razem  
z innymi dziećmi siedziałyśmy jak przyszpilone i za  
nic nie chciałyśmy wracać do domu.

### INDYJSKI ZAKLINACZ WĘŻY

pewnego razu napisałam i wysłałam do Szwedzkie-  
go Radia bajkę o indyjskim zaklinaczu węży i jego  
zwierzęciu.

Oprócz programu „Dziecięca poczta” z wujkiem  
Svenem były też audycje „Klub malarzski” i „Kuchen-  
na orkiestra”. W trakcie tej ostatniej dzieci w całym  
kraju zbierały się przed głośnikami i tłukły w garnki  
pokrywkami, chochlami i stalowymi ubijaczami.  
Kiedy w radiu miała się zacząć „Kuchenna orkie-  
stra”, mama wychodziła do lasu.

W programie wujka Svena śpiewały zarozumiałe  
dziewczynki, które zawsze pochodziły z południowej  
Szwecji. Śpiewały Kiedy Okruszek przyszedł na świat\*:  
Kiedy Okruszek przyszedł na świat, pysznił się kwieciem  
wiśniowy sad,

to było w maju, mówiła mama, w błękicie drgała złota słońca  
plama.

jezioro srebrem się mieniło, w zieleni nurzała się kukułka  
i jak co roku z ciepłym wiatrem przyleciała chyża jaskółka,  
Kiedy Okruszek przyszedł na świat (Nar Lilian kom till Jorden) —  
jedna z powszechnie znanych szwedzkich piosenek dziecię-  
cych, do których tekst i muzykę napisała kompozytorka Alice  
Tegner (1864-1943).

117

zięba śpiewała radosne tralala, pierwiosnki do taktu tańczyły  
raz, dwa.

Nazwano mnie Maja tamtego maja, bo ów Okruszek  
to właśnie ja.

I to dlatego, mówi dziś mama, zawszem wesoła jak skowronek,  
a ja tak myślę, że całe życie to jeden wielki pogodny dzionek. •  
Nie cierpiałam tych pochodzących ze Sztokholmu,  
radosnych jak pogodny dzionek dziewczynek o so-  
pranowych głosikach, nie cierpiałam ich tak bardzo,  
że miałam ochotę wyrzygać wszystko, co kiedykol-

wiek zjadłam, i pozabijać wszystkich mniejszych ode mnie.

Tak to już jest. Człowiek, który nie uważa, że życie jest jak pogodny dzionek, traktuje źle i siebie, i słabszych.

Traci wrażliwość na zło, wypacza sobie charakter i nikomu o tym nie mówi.

Nawet Asie.

Razem z bajką wysłałam rysunek przedstawiający zaklinacza węży.

Za rysunek, nie za bajkę, dostałam dyplom podpisany przez szefową radiowych programów dla dzieci, Barbro Svinhufvud.

Dyplom ciągle wisi w kuchni mojego rodzinnego domu. Mama wieszała na ścianie prawie wszystko: list z Ameryki, cytaty z gazety, nasze rysunki, klasyczne

118  
dzieła Asy przedstawiające kobiety z nogami rozstawionymi w obu końcach spódnicy.

Mój zaklinacz węży jest brązowy, na biodrach ma barwną przepaskę i gra na flecie. Przy jego skrzyżowanych nogach stoi koszyk, a z tego koszyka wije się w górę zaklęta muzyka wąż.

Wokół mężczyzny, pod bezlitosnym indyjskim słońcem, siedzą dzieci o dużych indyjskich oczach i szczupłych rękach i nogach.

Moje zainteresowanie Indiami wzięło się stąd, że w trakcie uroczystego rozbierania choinki w Lyransgarden wygrałam na tomboli książkę Rabindranatha Tagorego. Skąd wzięła się tam powieść tak nietypowego noblisty jak Rabindranath Tagore? Najprawdopodobniej podarował ją jakiś lokalny misjonarz. W Indiach, podobnie jak w Afryce, nie brakowało przecież pogańskich dzieci.

Wiele osób sądzi, że dopiero z nadejściem telewizji ludzie się dowiedzieli, jak żyją dzieci w odległych krajach, ale ja w to nie wierzę.

Myślę, że ta świadomość nie pojawia się ani z telewizją, ani z Rabindranathem Tagorem, myślę, że jest wrodzona.

Dzieci od samego początku wiedzą, że mają swoje dublety w innych krajach, że istnieją dzieci o różnym wyglądzie, które żyją w innych warunkach i mają odmienne obyczaje. Że niektóre głodują, a niektóre chodzą najedzone, i że tylko przypadek decyduje o tym, kto będzie kim.

119

Dzieci wiedzą, że mają niesamowicie mało do powiedzenia, niezależnie od tego, czy urodziły się w górach środkowej Norlandii, czy w Indiach. To jest uniwersalne i powszechne.

ZIMNA WOJNA

Nasz pies miał na imię Ike — taki przydomek nosił prezydent USA, Dwight D. Eisenhower. To było w czasie zimnej wojny. W szufladzie wciąż leżały kartki na cukier i na gumowce. Jeżeli faktycznie reglamentowano kiedyś sprzedaż kaloszy.

Ike był szybki i zwinny, prawdziwe żywe srebro. Miał podkręcony ogon i ciepły, czarny nos. Pachniało mu z pyska, a nie cuchnęło zlewem, tak jak innym psom. Potrafił wytropić łosia na polowaniu, pilnować gospodarstwa w nocy i ciągnąć sanki, na których siedziałam razem z Asą. Był tak zwanym jamthundem, z pewnością o wiele mądrzejszym od Dwighta D. Eisenhowera i jego zimnej wojny.

Kiedyś mieliśmy dwa lisiątka, wabiły się Philip i Elizabeth. Ale chociaż próbowaliśmy, nie potrafiliśmy ich polubić. Ciągłe się wyrywały i zagryzały kury w sąsiednich zagrodach.

W wyniku manewrów wojskowych we wsi Ike zaczął bać się strzałów i trzeba go było uspić. Wystarczyło kilku rekrutów bawiących się w wojnę ślepymi nabojami i trochę wojskowej grochówki, żeby tak wspaniały pies jak Ike musiał umrzeć.

121

Jeżeli to była zimna wojna, to strach pomyśleć o tych wszystkich nieszczęśnikach, w których krajach wojna jest ciepła.

#### SŁONA PRALINKA

Przyszłam na świat w malutkiej izbie na piętrze. Nie na oddziale położniczym w Óstersund, tylko w zagrodzie, w asyście położnej.

Mama urodziła mnie w domu. Tak jak inne kobiety, które przez wszystkie lata rodziły w domu, i tak jak miliony kobiet w wielu krajach w dalszym ciągu czyniących to z narażeniem życia.

Nawet jeżeli niektóre mieszkanki miast świadomie decydują się na poród domowy, ciągle nie jest to traktowane jako coś normalnego.

Zagroda ma ponad sto lat.

Kiedy Asa i ja byłyśmy małymi dziewczynkami, wszystkie zabudowania tworzyły czworokąt: stodoła, spichlerz, chata i dom mieszkalny.

Całe kamienne ogrodzenie, długie jak Wielki Mur Chiński i widoczne z księżycą, było dziełem mojej mamy. Wybudowała je zupełnie sama. Kamień po kamieniu, po kamieniu, po kamieniu.

Gile w jarzębinie, krągłe ptaszki o czerwonej piersi.

Asa i ja uważaliśmy, że mama potrzebuje narzeczonego. W tajemnicy odpowiadałyśmy na ogłoszenia matrymonialne w dzienniku óstersundzkim, ko-

123

respondowałyśmy z różnymi kandydatami, ale nigdy nie znalazłyśmy odpowiedniego. Mam wrażenie, że

on po prostu nigdy nie istniał.

W niedzielę nie wolno było grać w karty i wieszać prania.

Asa i ja chodziliśmy do szkółki niedzielnej. Otrzymaliśmy po planszy z jabłonią, a co tydzień dostawaliśmy jedno czerwone jabłuszko do przyklejenia na drzewie.

Czasami jeździliśmy do miasta.

Szło się wtedy na wzniesienie za spółdzielnią spóżywców i czekało pół dnia na autobus, który w końcu wyłaniał się zza lasu, by po chwili wjechać w zakręt ślepej kiszki.

Kiedy wreszcie podjeżdżał na przystanek, byliśmy już tak zmęczone czekaniem, że autobus równie dobrze mógł od razu zawrócić.

W mieście dostawaliśmy po kawałku tortu, który nazywał się „pieniek brzozy”.

Oświetlenie drogi finansowali mieszkańcy wsi dzięki kawie zaręczynowej i loterii. Żeby dosięgnąć kontaktu, trzeba było wejść na zaokrąglony kłoc i zachować na nim równowagę.

Asa i ja ciągle byliśmy się o to, która z nas ma włączyć światło.

124

Nie dlatego, żeby jak najszybciej ujrzeć, jak za prostym naciśnięciem guzika cudownie rozjaśnia się cała droga aż do lasu, tylko dlatego, że o wszystko się byliśmy.

W szkole nie wolno nam było mówić po jamtlandzku nawet na dziedzińcu.

Kiedyś Mały Nils nie zjawił się na lekcji, bo wcześniej wywinął óna na lodzie i poturbowany poszedł do domu. Na pytanie pani, gdzie jest Nils, odpowiedzieliśmy zgodnie:

— Umarł.

To było po szwedzku.

Istnieje kosmyk włosów z mojej nowo narodzonej głowy. Czerwonozłoty jak miedź.

Pewnego razu, gdy byłam jeszcze tak małym skrabem, że ledwo utrzymywałam równowagę, stanęłam na taborecie przed lustrem. Rozplotłam warkocze i włosy układały mi się w fale, jak księżniczce.

— Ale jestem piękna — westchnęłam.

— Nie można tak mówić — nauczyła mnie mama.

Wiedziała to od babci i od całej wsi. Nie wolno było uważać się za piękną. Na szczęście sądzono wtedy powszechnie, że rudy kolor włosów jest brzydki. Rudzielcy byli równie niemile widziani jak kalecy.

A później rude włosy nagle stały się modne. Kiedy miałam dwadzieścia, trzydzieści lat, wszyscy moi znajomi farbowali włosy henną. Z zielonkawego prosz-

125

ku gotowali ohydną papkę i jeszcze gorącą okładali swoje głowy.

Jak to się zmienia!

Rudowłosi mają ponoć żywy temperament. Można to i tak nazwać — łatwo mnie rozdrażnić i bywam nieprzewidywalna. Porywcza.

Byłam porywczym dzieckiem, porywczą panną, a teraz jestem porywczą starszą panią.

Jestem bardziej choleryczna niż kiedykolwiek wcześniej, mimo że moje włosy straciły miedziany kolor. Są rude tylko dlatego, że je farbuję.

Z daleka wyglądam mniej więcej tak jak za czasów młodości, ale przy bliższych oględzinach jest inaczej.

To mnie martwi.

Nie dlatego, że z bliska wyglądam o wiele starzej, ale dlatego, że z daleka wydaję się oszukańczo młoda, że emituję podwójne przesłanie.

Ponad sześćdziesiąt lat domagałam się, by akceptowano mnie taką, jaka jestem, a teraz składam fałszywą deklarację zawartości. To mało chwalebne.

Każdy, komu zdarzyło się pomylić cukier z solą, wie, jak gorzkie bywa rozczarowanie.

Kiedyś Asa dostała słoną pralinę. To było w świetlicy w Lyransgarden, przy okazji owego rozbierania choinki, kiedy wygrałam na tomboli książkę Rabin-dranatha Tagorego.

Słona pralinka była czymś w rodzaju practical joke.

Asa zawsze się wszystkim dzieliła, ale gdy dostała za-

126  
pakowaną w kolorową bibułkę czekoladkę, nie mogła oprzeć się pokusie, żeby zjeść ją samej, co ja uczyniłabym bez wahania.

Widziałam, jak nadgryza pralinę i jak wykrzywia się jej buzia, jak cała twarz nabiera czerwonego koloru tradycyjnej farby Fału, jak zaczynają tryskać łzy. Tryskały strumieniami niczym z fontanny.

Płakała całą drogę do domu i kilka tygodni była smutna. Gdyby to wydarzyło się dzisiaj, przepisano by jej prozac i to byłoby zupełnie normalne. Aż tak smutne nie powinno być przecież żadne dziecko, a już na pewno nie Asa, moja młodsza siostra.

(URODZONA W 1944 ROKU, JAK PIPPI LANGSTRUMP:  
OVIKSFJALL — GÓRY OVIKSFJALL, LIVSTYCKE — HALKA,  
STRUMBAND — PODWIĄZKA, KORVIGA STRUMPOR —  
OPADAJĄCE POŃCZOCHY)

## ZIMOWE NIEBO

Kiedy chodziłam do trzeciej klasy, szkoła została przeniesiona do budynku odległego od naszej wsi o dziesięć kilometrów. Umieszczono ją tymczasowo w zagrodzie, w której hodowano świnie. Pewnego dnia

w czasie przerwy między lekcjami przyjechał weterynarz i zabił wieprza. Wieprz darł się przerażającym przedśmiertnym kwiczeniem jak zarzynana świnia. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam cenę kotletów schabowych, które mama tak pieczołowicie smażyła co drugą sobotę.

Na tym podwórku biłam się kiedyś z moją najlepszą przyjaciółką. Nieomalże powyrywała mi warokocze, ale ja nie pozostałam jej dłużna, w ruch poszły pięści i paznokcie. Siły były równo rozłożone, ale to ja dostałam reprimendę od kierownika szkoły, który w końcu nas rozdzielił. To jedyna bójka, w jaką kiedykolwiek byłam zamieszana; nie pamiętam, o co nam poszło, ale wiem, że biłyśmy się na śmierć i życie.

Do tej prowizorycznej szkoły nie dowoził nas żaden szkolny autobus, musieliśmy czekać na zwykły autobus podmiejski. Kierowca zawsze groził, że powyrzu-

130  
ca łobuzujących chłopców, ale z tego, co pamiętam, nigdy nikogo nie wyrzucił.

Tuż obok przystanku stała wielka stodoła, ogromna i bliska ruiny budowla z poszarzałymi bali. Ta okropna stodoła, ten szary magazyn wstydu. Gdyby nie ona, nigdy nie wydarzyłoby się to, co wydarzyło się kiedyś na przystanku.

Pamiętam budynek, bale z zadrami i wiązania w narożach, ale które dziecko powiedziało to, co zostało powiedziane, tego sobie nie przypominam. Nie pamiętam, czy powiedziały mi to wszystkie dzieci, czy tylko jedno z nich, a pozostałe skwapliwie przytaknęły.

Wszyscy na jednego, właśnie tak, wszyscy przeciwko jednemu, a tym jednym byłam ja.

Nie jestem pewna, czy stojące tam wtedy dzieci naprawdę rozumiały, o co chodzi. Mówiły o moim ojcu i komunizmie, o tym, że tato nie jest stąd, że nie ma tu dla nas miejsca. Wypowiedziały przy stodole wojnę i mierzyły do celu, którym tym razem byłam ja.

Aż do dzisiaj nigdy nikomu o tym nie wspomniałam. To była zbyt wielka tajemnica, zbyt wstydliva i zbyt bolesna.

Wypowiedzianymi za stodołą słowami nie można się było podzielić. Całym swym ciężarem godziły oświadczenie i prosto w serce, w ten niemy miłośnik.

A później przyjechał autobus i zabrał nas wszystkich z przystanku.

131

Nikogo nie wyrzucono, chociaż wszyscy bili się o miejsca. Asa i ja wysiadłyśmy przy spółdzielni spóżywców i brnąc w głębokim śniegu, poszłyśmy jak zwykle na skróty przez pole i jak zwykle ziarnisty

śnieg wsypywał się nam do butów W oknie paliło się światło, ponieważ mama jak zwykle czekała na nas w kuchni, na stole stało gorące kakao, z komina unosił się dym, Droga Mleczna lśniła migotliwym blaskiem, a zimowe niebo było przeraźliwie granatowe.

#### UKOCHANY PRZEZ BOGÓW

##### NIE UMIERA

Kiedy byłem dzieckiem, często zdarzały się okropne wypadki kolejowe.

Maszyniści prowadzący lokomotywy zapominali o tym, że z przeciwnej strony może nadjechać pociąg, czasami więc dochodziło do kolizji.

Kiedyś takiemu wypadkowi uległ szynobus wiozący uczniów do szkoły.

W katastrofie zginęło dziesięcioro dzieci.

Dziesięcioro dzieci w moim wieku. Na zdjęciach zamieszczonych w gazecie regionalnej widać było szkołę z opuszczoną flagą, zapomniany tornister na nasypie kolejowym i niewielką rękawiczkę.

Nie mogłam tego zaakceptować i w myślach wciąż powracałam do wypadku. O czym myślały dzieci w trakcie zderzenia? Co czuły przed samą śmiercią? Czy bardzo je bolało i czy te, które zginęły, wiedziały, że już nie żyją?

Nie mogłam spać i nie chciałam rano wstawać z łóżka.

Dziesięcioro dzieci. Nie potrafiłam się z tym pogodzić.

W końcu mama zaczęła relatywizować katastrofę.

133

— W wypadku zginęło też dziesięcioro dorosłych

— powiedziała. — To również tragedia.

Ale ja miałam inne zdanie.

Aż do dzisiaj.

„Ukochany przez bogów umiera młodo” — jeszcze jeden z tych zatruwających życie frazesów.

Ukochany przez bogów nie umiera. W ogóle.

##### ŚMIERĆ W FINISTERE

O śmierci w Finistere nie mogłabym napisać ani słowa, nic o niej nie wiem.

Ptaszek, który ujrawszy swe odbicie w moim oknie, myśli, że to inny, szybujący znad Atlantyku ptak, leci prosto ku swojej śmierci.

Podnoszę go z klombu, gdzie padł nieżywy obok Ingrid Bergman, szkarłatnej róży, która w ciągu trzech lat osiągnęła mój wzrost.

Wygląda na to, że moi tutejsi sąsiedzi mają zupełnie inny stosunek do śmierci niż mieszkańcy wsi, w której przyszedłem na świat. Śmierć nie jest tu wszechobecna i nieustanna, nade wszystko i pode wszystkim. A jeżeli jest, to nie uwidacznia się w ten sam sposób w wyrazie twarzy i w mowie ciała, nie słycać jej w trakcie



rozmów prowadzonych przez plot.

Trzeba tutaj spędzić całe życie, trzeba tu mieszkać od wielu pokoleń, żeby zrozumieć, jaką formę przybiera śmierć na co dzień. Poczułam to tylko raz.

Jest słoneczne marcowe popołudnie. Sąsiadka postawiła pod ścianą kurnika krzesło i siedząc na nim, naprawia sieć. Na widok tego idyllicznego obrazka Wyciągam aparat i zakradam się bliżej, by zrobić kobiecie zdjęcie — razem z dziobiącymi wokół jej stóp

135

kurami, połyskującą zielono na kolanach siecią i mieniącym się za drzewami Atlantykiem.

Usłyszawszy pstryknięcie aparatu, sąsiadka odwraca się i spogląda w górę. Ale nie patrzy na mnie jak zwykle pogodnie i otwarcie, jej twarz jest równie poważna i zamknięta, jak twarzy mommy.

W odwiedziny do mojego Finistere przyszła śmierć.

W sąsiednim domu powiesił się młody mężczyzna.

Znalazła go matka, nikt się tego nie spodziewał.

Chłopak nie miał żadnych problemów, w każdym razie takich, o których ktoś by coś wiedział; pracował, nikt niczego nie przeczuwał.

I nagle matka znajduje go wczesnym popołudniem w garażu.

Siedzę z sąsiadką w bretońskim słońcu aż do zmierzchu, od ziemi ciągnie chłodem, jak w górach Oviksfjallen.

Później każda idzie w swoją stronę.

— Do jutra! — mówimy jak zawsze przy rozstaniu.

A demain.

Kiedy następnym razem spotykam sąsiadkę, wygląda znów jak zwykle. Ale w oknie mojej pracowni widnieją dwa żółte piórka zmarłego ptaka i troszkę niebieskawego puchu.

Dziadek 2

## DZIADEK I MOPED

Mój dziadek miał moped, choć tak naprawdę musiał mieć ich wiele, jeden nie wystarczyłby na całe życie. Samochodem nie jeździł.

Zdarzało się, że towarzyszyłam mu w wyjazdach służbowych; siedziałam z tyłu, z policzkiem wtulonym w jego plecy, kask nie był obowiązkowy.

On miał kapelusz, ja miałam swoje warkocze. Tylko my i stalowy pojazd.

Pewnego razu zobaczyłam — albo mi się wydawało, że zobaczyłam — jak dziadek całuje kasjerkę w Kasie Chłopskiej, za drzwiami sejfu. A później wymyśliłam co najmniej sto różnych sposobów zamordowania tej kasjerki, z których trzy pierwsze były następujące:

1. Oblać ją wrzącym smalcem.
2. Wsypać do jej anyżkowych cukierków truczkę na szczury.

3. Polać wodą chodnik przed wejściem służbowym. Potknie się na powstałej szklance, zabije, i będzie spokój.

Mój dziadek był zajęty i żadna kasjerka z Kasy Chłopskiej nie miała prawa go całować, on należał do mnie! Chociaż nie znałam słowa „zazdrość”, byłam już specjalistką w tej dziedzinie.

137

Dziadek miał skośne oczy jak Sam, kapelusz na bakier jak Cary Grant i promienne spojrzenie. Był budowniczym kolei i pracował przy odcinku między Svegem a Ostersund, a może nawet od samego wybrzeża. Miał własne zęby, często wybuchał śmiechem; nie wiem, czy dawał tym wyraz swej beztrosce.

Zwarty, kipiał energią jak siłownia, jak linia wysokiego napięcia. Był niewysoki, żwawy i korpulentny, dopiero później dopadły go i zjadły te wszystkie wrzody żołądka.

A to obrazek z czasów, kiedy dziadek wysiadywał przed domem na rozkładanym foteliku.

(MOFFA JAKO STARUSZEK W DZWONACH)

138

Dziadkowi ciągle przytrafiały się wypadki, albo raczej na odwrót — to dziadek przytrafiał się wypadkom.

Wielokrotnie zszywany wzdłuż i wszerz, operowany, łatany i cały w szramach.

Kiedy leżał na rozkładanej sofie, przyglądałam się jego zabliznionym skaleczeniom, dotykałam skóry — cienkiej, błyszczącej i gładkiej jak plastik; prawa stopa była jedną wielką blizną.

Zraniony przy wyrębie lasu, dowlókł się sam do domu, trzydzieści kilometrów, na pewno z siekierą w nodze; taki był mój dziadek.

A może to było w drewnutni, gdzie układał w stopy drewno na opał?

Pewnego razu wbił mu się w brzuch pręt grabiarki.

Szpiczasty, wykuty z żelaza, co najmniej dwumetrowy. Te ciągnięte przez konie pręty grabiły i przewracały siano, które później suszono na kozłach.

Ząb grabiarki przeszedł na wylot, na pewno wystawał mu z pleców.

Pamiętam ogromne poruszenie w zagrodzie; koń rżał, babcia płakała, dziadek na noszach z brzuchem na wierzchu, pośpiech.

Później wszystko ucichło, dziadek kilka tygodni leżał w szpitalu, zawieszony między życiem a śmiercią. Ordynator, który pozszywał mu brzuch, nosił przydomek Jonas-Szpryca, a jego miejsce pracy nazywano Potocznie rzeźnią.

139

Wujek B. z pomocą innych mężczyzn zwoził siano,

ciocie i babcia grabiły ręcznie i w milczeniu, popijano kawę z termosu (trzymano przy tym w ustach kostkę cukru), muchy latały nisko i przyszedł deszcz.

Siano pleśniało na kozłach, nie przejmując się tym, że dziadek pojechał do szpitala z brzuchem na wierzchu i że może jest mu pisane umrzeć. I umarł.

Ale nie wtedy, nie z powodu grabiarki. Zmarł o wiele później, na skutek pęknięcia któregoś ze swoich wrzodów żołądka, miał osiemdziesiąt siedem lat. Zaszuszony, wyglądał jak Ho Chi Minh bez brody. Mój dziadek nie był już wtedy sobą. Tysiąc razy przeżył siebie samego.

Wróciwszy z rzeźni z bandażem na brzuchu, polegiwał na sofie w niebieskiej piżamie z jedwabiu. Jego dieta składała się z zupy, srebrnej herbaty i sucharków, które w niej moczyłam. Srebrną herbatą nazywano przegotowaną wodę z dodatkiem paru łyżeczek śmietanki.

Wkrótce ściągnięto mu opatrunki — zobaczyliśmy bliznę, dziurę po pręcie, ślady szwów; dziadek twierdził, że wszystko goi się na nim jak na psie. I chwaliłam się tym w szkole tak długo, aż syn kierownika zapytał, czy kasjerka z Kasy Chłopskiej też widziała tę słynną dziurę w brzuchu.

Próbowałam zabić gnojka, ale przeciw sobie miałam całą szkołę.

Dostałam w ucho od kierownika i postawiono mnie w kącie za kominkiem.

140

Wkrótce, z nadejściem zimy, dziadek stanął na nogi, wsiadł na swój pojazd i ruszył w świat. Miał na sobie psie futro, owinięty kilka razy wełnianym szalem kapelus, rękawice ze skóry renifera i solidne sznurowane trzewiki.

Babcia myślała, że dziadek jedzie odwiedzić któregoś ze swoich podopiecznych, zamkniętych w szpitalu na wyspie Frósó — zakładzie dla słabych na umyśle, ale ja dobrze wiedziałam, co się święci i o jaki zakład chodzi.

Przyrzekłam sobie, że zamorduję tę kasjerkę z Kasy Chłopskiej, że wbiję jej gdzieś zardzewiały gwóźdź i wywołam zakażenie krwi.

Gdy dziadek po powrocie do domu ściągnął futro, pachniał wodą kolońską 4711. Poprzysięgłam zemstę.

Oko za oko, ząb za ząb.

Ale zemsta okazała się niepotrzebna.

Pewnego pięknego dnia kasjerka zniknęła, wyjechała na południe, chwała i dzięki.

Po dziadku nic nie było widać.

Tymczasem spółdzielnia spożywców zatrudniła nową ekspedientkę, krągłą dziewczę o jasnych lokach. Gdy tylko odrąbiesz potworowi głowę, zaraz

Wyrasta następna, i tak bez przerwy.

Dziadek ciągle był w ruchu, zawsze wszędzie go było pełno.

Kiedyś, gdy stojąc na drabinie, naprawiał silos, zalał się pod nim najwyższy szczebel, i trzask! dziadek zjechał na sam dół.

141

— To zabrzmiało jak ksylofon — powiedział później wujek B.

Babcia płakała.

Złamały się wszystkie szczeble, podobnie jak dziadkowe żebra.

Lekarz rejonowy z sąsiedniej wsi zabandażował mu klatkę piersiową; dziadek wyglądał jak dzieciątko Jezus.

Doktor nakazał też spokój i wypoczynek, ale on nie znał mojego dziadka.

Spętany bandażem moffa objeżdżał okolice, robił zakupy w spółdzielni i wracał do domu z wypiekami na twarzy. Pachniał gliceryną i wodą różaną.

Zimą, jesienią i wiosną, gaz do dechy pod górę, inwentarze spadku i placówki opieki nad dziećmi, odwiedziny w zakładzie. Moped rozgrzewał się do czerwoności, na wzniesieniu szwankowały hamulce.

Cały czarny od zadrapań, dziadek wyglądał jak Murzyn — wędrowny sprzedawca Biblii, tyle że tamten domokrażca był nieuprzejmym furiatem. Groził Pańskim gniewem chłopom, którzy nie chcieli kupić Pisma Świętego. Przeklinał po szwedzku — pochodził z Falun; ludzie dziwili się, jak to możliwe.

Dziadek prowadził swą działalność w duchu chrześcijańskim, ale nigdy nie widziałam go z Biblią, czytywała ją tylko babcia. A przecież wszystko, co czynił, czynił dla tych najmniejszych, podczas gdy jego żona siedziała samotna w kuchni.

142

pewnego popołudnia, gdy wiosennie wzbierały wody, dziadek założył odświętny garnitur, kapelusz i płaszcz. Ogolony, pachnący Aqua Verą i ze złotym łańcuszkiem od zegarka zniknął w obłoczku spalin. Z szaloną prędkością, na zakręcie ślepej kieszki, wyprężony jak struna dziadek poszybował w górskie powietrze.

Nigdy nie uczył się na swoich błędach, to nie było w jego stylu.

Niczym sputnik przeleciał nad rowem, przebił się przez kolczaste ogrodzenie elektryczne i wylądował na pastwisku.

I leżał tak, rozpruty od podwiązki po przytrzymywacz rękawów koszuli, ze złotym łańcuszkiem, wśród młodych byczków.

Przyglądając się z zaciekawieniem i porykując od

czasu do czasu, zwierzęta lizały przybysza troskliwie, żadne nie zrobiło mu krzywdy.

Po kilku tygodniach w szpitalu dziadek znów odpoczywał w domu na rozkładanej sofie.

Babcia gotowała rosół z łosia z kardamonowymi kluseczkami, ulubioną potrawę dziadka zaraz po młodych nóżkach w galarecie.

Babcia karmiła go tym rosołem, a my, dzieci, chodziłyśmy na palcach odzianych w grube, wełniane skarpety. Naszczypałam Asie mnóstwo siniaków, tej pięknej Asie o kręconych włosach i ciemnych rzęsach. Pewnej zimy jeździłyśmy na łyżwach i gdy Asa wykreśliła cztery piruety, powaliłam ją na lód tak sku-

143  
tecnie, że przestała się ruszać. Później uciekłam stamtąd i ukryłam się w skrzyni na groch, przekonana, że zamordowałam własną siostrę.

Kiedy zapadł zmrok, zakradłam się pod dom i w oczekiwaniu na karę zajrzałam przez okno, by zobaczyć leżącą na sofie martwą i trupio bladą Asę. Widok był o wiele bardziej przerażający. Asa siedziała na kolanach dziadka, popijając kakao z bitą śmietaną.

Na czole wyrósł jej guz wielkości pączka.

Czmychnęłam do wozowni.

Przyłożyłam język do oblodzonego lemiesza i po chwili oderwałam, tyle że już bez skóry. A później poszłam do domu, naciągnęłam na głowę starą koldrę i wpatrzona w ciemność, leżałam tak długo, aż usłyszałam znajome kroki, miękkie stąpanięcia po podłodze wyłożonej matą korkową. Dziadek nigdy nie chodził po domu w butach.

Odchylił przykrycie. Usiadł na skraju sofy i dał mi cztery czerwono-białe karmelki. Ani słowem nie wspomniał o guzie Asy. Pokazał mi swoją bliznę po drucie kolczastym. Okalała mu pierś niczym liliowa ozdobna plecionka.

Cukierki oddałam Asie, ponieważ przez kolejne cztery tygodnie odżywiałam się tylko pitymi przez słomkę zupkami, tak długo goił mi się język.

Dziadek powrócił już wtedy do swoich mopedowych eskapad, dziewczyna w spółdzielni właśnie dostała inną pracę, ale w przychodni dentystycznej

144  
pojawiła się nowa asystentka dentysty, z upiętym wysoko kokiem, naszyjnikiem z markazytu, pachnąca fiołkami.

A babcia jak zwykle krążyła między piecem a spiżarnią.

## UŚMIECH MOJEJ BABCI

Niejeden raz zastanawiałam się, co czuła moja babcia, gdy siedziała w kuchni, a dziadek jeździł po okolicznych wsiach. Ale nie wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką. Jako dziecko nie potrafiłam sobie wyobrazić, że starzy ludzie — a starym człowiekiem babcia była zawsze — mieli jakieś uczucia. Gdy miałam dziewięć lat, nie myślałam, że w mommie żyje i młoda dziewczyna, i dziecko, i panna na wydaniu.

Jest takie zdjęcie, na którym mniej więcej siedemdziesięcioletnia babcia z białym kokiem i w różowej sukience patrzy prosto w obiektyw aparatu. Po jej twarzy błąka się uśmiech, który tak dobrze pamiętam z dzieciństwa.

Pamiętam go wyraźnie zarówno z rzeczywistości, jak i ze stojącej na komodzie fotografii młodziutkiej mommy. Miała siedemnaście lat, sukienkę ze stójką i znienawidzone rude włosy, które upinała wysoko w ozdobny walek.

Dopiero teraz dostrzegam piękno tego uśmiechu. Dyskretny, niepewny i nieodgadniony, stanowi jak gdyby tyłko cząstkę czegoś bardziej hojnego, chowanego w zanadrzu. Momma nigdy nie odważyła się wydobyć prawdziwie szerokiego uśmiechu i jestem

146  
przekonana, że ani razu nie usłyszała, jak bardzo powabna i fascynująca jest jego subtelna wersja.

W innym czasie i w innym miejscu babcia uchodziłaby za piękność. Nosiłaby wytworne toalety, jedwabne i aksamitne kreacje z eleganckich domów mody. Zdobiałaby ją kosztowna biżuteria, miałaby służbę, bogatych mężów i wspaniałych kochanków. Byłaby jedną z najpiękniejszych dam w salonach u Prousta. Mogłaby być fotomodelką albo prezentować ubiory na pokazach mody w Paryżu.

Tyle tylko, że nią nie była.

Była mommą, dbającą o to, żeby nie zgasł ogień w piecu, żeby nie zdechły prosiaki i żeby w puszcze nigdy nie zabrakło świeżych ciasteczek, na wypadek gdyby przyszli goście.

Była mommą, która siedziała w domu i czekała na powrót moffy.

Momma miała dwie młodsze siostry, które zmarły na suchoty. Zawsze myślałam, że chodziło o jej brata. Każdy miał jakieś młodsze rodzeństwo, które zabierała gruźlica.

To było oczywiste, ale za każdym razem bolesne.

Tak jak w Afryce.

Ilość bólu nie umniejsza samego bólu.

Ciągle jeszcze mam zasłony, które ciotka Regina uszyła na swój ślub. Zasłony z białej bawełny, wykończone mierzka.

Ślub się nie odbył.

Nigdy nie pytano dlaczego, dociekliwość była równie niemile widziana jak krygowanie się, po prostu nie zadawano pytań.

Ciotka Regina nie była naszą ciocią, tylko siostrą mommy, jedyną żyjącą siostrą babci.

Zawsze stara, zawsze zła.

Momma miała gitarę. Czasami śpiewała Ciut stulki śtyry piec:

Ciut stulki śtyry piec

Śmigaly wdużke pola,

Nie mogły za móż pość,

Płakały do wieczora.

Piosenka o małych dziewczynkach, które zapłakane pobiegły do domu, bo nie pozwolono im wyjść za mąż, nigdy nie została spisana na papierze ani nagrana na taśmę. Tak jak wiele innych starych jamtlandzkich przyśpiewek. Mogłabym to zrobić, gdybym miała czas, ale przecież nie cierpię folkloru i nostalgii związanej z rodzinną wsią. Poza tym nie wiem, czy dokładnie pamiętam teksty, a ponieważ nie mam słuchu, nie potrafię oddać melodii.

Momma miała rude włosy, ale odkąd pamiętam, zawsze była siwa. Niewielki kok niski nad karkiem nazywała koszyczkiem. Nieustannie się bała, że zostanie posądzona o niedbały wygląd. Skudlona to znaczy nie-  
148

uczesana; ciągle się obawiała, że wygląda jak skudlona, chociaż była schludna i piękna. „Porzómne kudłoki to tylko chłopcy mogom być, niech ręka boska”, mówiła momma. Niezmiennie się bała, że będę równie rosła jak ona. Wysoka jak chłop i ryżawa.

Te wszystkie obawy przed przyszłością.

Olaboga, stulko! Ten wszystek strach, który przekazała mi w genach, a przecież urosłam zaledwie na metr sześćdziesiąt trzy.

Tak bardzo się bałam, że będę gruba, gdy byłam młoda, że przegapiłam swoją młodość. A teraz jestem stara i chuda jak koza — tak to już jest, babciu, z naszym lękiem i trwogą.

Momma wierzyła w Boga, ale nie bezwarunkowo.

Trzeba było samemu trochę pomóc.

Ale to i tak nie pomagało.

Kiedy nadeszła era Ingemara Stenmarka, momma powiesiła za drzwiami kuchennymi plakat z tym narciarzem wszech czasów.

Gdy kładła się spać, patrzył na nią tak intensywnie, że zapomniała o mogadonie, swojej tabletki na sen.

Najzwyczajniej w świecie zasypiała bez niej. Budziła się rześka i nie wiedziała, co z sobą począć.

Ciekawe, co powiedziałby lekarz rejonowy?

Długo po tym, jak momma zmarła w domu starców,  
znalazłam się w Hanoi.

149

Gdy zobaczyłam Wietnamczyków uginających się  
pod ciężarami wielokrotnie większymi od nich sa-  
mych, zdało mi się, że momma ciągle jeszcze krząta  
się po kuchni w Jamtlandii.

Że poprawia swój koczek, mówiąc: porzómne ku-  
dłoki i olaboga, stulko!

Że ciągle śpiewa Ciut stulki śtyry piec i pod inten-  
sywnym spojrzeniem Ingemara Stenmarka zapomina  
o tabletkę nasennej.

#### KONIK POLNY I MRÓWKA

W 1955 roku dostałam od ojca na Gwiazdkę wykona-  
ny przez niego album z poezją.

Całość otwierało kilka zwiewnych akwareli, na  
pierwszą składały się: czerwona gwiazda, choinka  
i gwiaździste niebo.

Pod gwiazdą był napis: Dla Bodil, a zaraz za bożo-  
narodzeniową świeczką, złotymi literami — Od Taty.  
Na kolejnych stronach ojciec przepisał i zilustrował  
dwa wiersze szwedzkich poetów, od pierwszej do  
ostatniej zwrotki.

Po strofach Dana Anderssona Do miłości następo-  
wał obrazek z sercem, słońcem i różą.

Drugim wierszem był Idealizm i realizm Gustafa  
Fródinga:

Bo śmieć to śmieć, a pył to pył  
Nawet w złoto owinięty,  
A wazon róż, choćby obity był  
Zawsze różami będzie piękny.

Na kolejnej rozkładówce, zgrabnie i z polotem, ojciec  
wykaligrafiował bajkę Jeana de La Fontaine'a o koni-  
ku polnym i mrówce. Po szwedzku i francusku. Nie

151

omieszkał zanotować nazwiska tłumacza, którym był  
Ivar Harrie.

Po lewej stronie na dole, w rogu przysiadł zielony  
akwarelowy świerszcz, ten, który śpiewał swawolnie  
przez całe lato, na sąsiedniej zaś mrówka zajmowała  
się robieniem zapasów na zimę.

Bajka, jak wiadomo, kończy się tym, że wygłodzo-  
ny i osłabiony pasikonik idzie zimą do mrówki, by po-  
życzyć kilka ziaren żyta.

Na pytanie, czym zajmował się w lecie, że teraz  
musi zebrać, odpowiada:

— Śpiewałem sobie.

— No, więc teraz możesz tańczyć! — odgryza się  
mrówka.

Zastanawiam się, co ojciec chciał mi przekazać, wpi-  
sując do albumu tę bajkę z okrutnym morałem. Czy;  
widział we mnie niepomnego jutra pasikonika?



Czy chciał mi to uzmysłwić, czy chciał mnie przestrzec? Tyle tylko, że wśród wszystkich złych cech, które opanowały mój charakter, cechy pasikonika akurat nie ma.

Pod tym względem tato mnie nie przejrzał.

Nie jestem konikiem polnym.

Jest we mnie zdecydowanie za mało świerszcza, równie mało, jak było go w moim ojcu.

152

#### KARZEŁ GUSTAF

Mój pierwszy tomik poezji, Karzeł Gustaf, został wydany jeszcze przed śmiercią ojca.

Kiedy poskarżyłam mu się na niesprawiedliwą — według mnie — recenzję, powiedział, że krytyka jest zasłużona i że nie powinnam tak bardzo koncentrować się na sobie samej. W jego mniemaniu nadmierny egocentryzm nie wychodził na dobre.

W zbiorze Karzeł Gustaf znajduje się wiersz pod tytułem Marzenie o tatusiu ojcu. Nawet jeżeli nie mówię tego wprost, owe strofy traktują o mojej dziecięcej tęsknocie za ojcem.

Kiedy tomik miał się ukazać w wydaniu kieszonkowym, wyrzuciłam ten wiersz, jawił mi się bowiem jako zbyt dziwaczny.

Dziś nie potrafię ocenić, czy dobrze zrobiłam. I to doprowadza mnie do szału.

Zaprzeczyć swojemu wcześniejszemu ja czy je zaakceptować? Zaakceptować osobę, którą się było, i mimo wszystko pójść dalej? Skąd wiedzieć, jak postąpić w danej sytuacji?

O wiele prościej byłoby, gdyby ktoś inny decydował za nas, tylko że ta prostota oznaczałaby koniec demokratycznego życia.

#### PRZEPRASZAM

Wielokrotnie wyrażałam pogardliwe opinie o marchewkach mojego ojca, wytykając mu, że takie małe i koślawe. Wszelkie próby urzeczywistnienia idei o biodynamicznej równowadze w przyrodzie uważałam za beznadziejne i śmieszne.

Komentowałam zgryźliwie stosowane przez niego ekologiczne środki do zwalczania chwastów, twierdząc, że jedynym skutecznym sposobem jest trucizna. Pozwalałam sobie na to, na co często pozwalają sobie dzieci w stosunku do rodziców: przekonanie, że wiem lepiej.

Urosłam w pychę, która—jak wiadomo — prowadzi prosto do upadku.

Te niezliczone złośliwości o marchewkach przypominających króliki, te niewybredne żarty, te poniżające porównania, którym zresztą brakowało pokrycia w rzeczywistości.

Na swoją obronę mam jedynie to, że wtedy jeszcze

sama nie uprawiałam warzyw.  
Późno, zdecydowanie za późno poczułam szacunek dla jego wspaniałych prób uszanowania ziemi, a szczególnie tej nieurodzajnej gleby we wsi, w której przyszłam na świat.  
Jedyne, co teraz mogę zrobić, to przeprosić.  
Nie wiedziałam, co czynię, wybacz mi.

JEDNA Z MOICH ŻAŁOSNYCH  
MARCHEWEK NATURALNEJ WIELKOŚCI:  
(BE/GE FARG — BEŻOWY KOLOR)

MÓJ TATO TEŻ CHODZIŁ  
PO WODZIE

Cesarz Portugalii Selmy Lagerlof to powieść o ojcu, którego ogarnia obłęd, gdy jego jedyna córka opuszcza dom, by zacząć życie na własny rachunek.

Mężczyzna popada w szaleństwo, choć nie wie jeszcze, jak potoczą się losy córki, nie przypuszcza, że zostanie ona ulicznicą.

Niewielu rodzicom udaje się wyjść z tego typu rozstania bez szwanku, nawet jeżeli nie wszyscy stają się takimi pomyłkami jak ojciec w książce Selmy Lagerlof.

Mój tato nie zachowywał się jak wariat, nie mianował się cesarzem Portugalii, nie chodził w starym kasku na głowie, ogólnie sprawiał wrażenie dość normalnego.

To ja dostawałam szału, to ja byłam na niego wściekła. Obłąkana, odchodząca od zmysłów, czułam, jak ojciec doprowadza mnie do szaleństwa swoją rozwiedzioną miłością, swoimi nieporadnymi dowodami czułości.

Wypchaj się z tą swoją nędną miłością, myślałam. Mam gdzieś twoje cierpienia. Precz z bólem odczuwanym na widok twojej zgryzoty.

157

To on był winien, a przecież to jego najbardziej żałowano.

On też się rozstał, nawet jeżeli to mama najpierw się z nim rozstała.

Jeśli chciał zachować córkę, powinien był pomyśleć o tym wcześniej, zanim zgodził się na rozwód, zanim zaszył się w Sztokholmie czy w Afryce.

Mój tato zniknął pocztą lotniczą, ze znaczkami i stemplami z zamazanych krajów na obcej półkuli. Rozpłynął się, przepadł, istniał gdzieś na odległość i tylko czasami pojawiał się w szeleszczących koperkach z bibułki.

Gdy stał na peronie drugim, by odebrać mnie z pociągu na Centralnym w Sztokholmie, był przesiąknięty szarością i pachniał wełną, suchą wełną, mydłem

Palmolive i trawą.

Wakacyjne ołowiane chmury przetaczały się nisko nad Sztokholmem, lody w waflach rozpływały się, zanim poczułam ich smak, zawsze pistacjowe i zawsze w deszczu, i nagle kończyło się lato — z kąpieliskiem Vanadisbadet, ratuszem i błoniami na Ladugardsgardet, gdzie rosły jastrzębce ze swymi łacińskimi nazwami.

Mój tato rozróżniał jastrzębce i najprzeróżniejsze trawy — krzyżownicę zwyczajną, pałkę szerokolistną i mnóstwo turzyc, znał łacińskie nazwy drzew i — trzymając mnie za rękę — wygłaszał całe ich litanie. Ciepła dłoń, niekończący się potok słów, jak w czasie mszy Ojcze nasz.

158

Przemierzaliśmy błonia i mokradła i zbliżając się do mostu na Lidिंगó, przechodziliśmy obok psiego cmentarza. Zwierzęta spoczywające w cieniu krzyży, najbardziej umarłe z umarłych, i ojciec z litanią nazw roślin; nie słuchałam go.

Wkrótce miałam odjechać — nie chciałam, żeby do mnie dotarł — wyrzucałam klucz od swojej kryjówki.

„Nie przychodź tutaj, bolisz mnie, weź swoją winę, przyodziej się w nią i poczuj jej ciężar, stworzyłeś mnie bez sensu i odpowiedzialności, twoja jest wina na wieki wieków, amen, jestem sama na całym świecie, a ty mnie nań powołałeś”, tak pisałam w wyimaginowanym liście lotniczym przy psim krzyżu.

Zostawiłam ojca na Centralnym w Sztokholmie; stał samotnie na peronie, machał mi na pożegnanie i to był koniec wakacji.

On stał na peronie w wełnianym pulowerze, krwawiło psie serce, a ja — przyklejona do otwartego okna — rysowałam na piersiach kreskę sadzy, poziome ramię krzyża na mojej nowej, białej bluzce.

Nie wychylać się — Ne pas se pencher au dehors — i tylko lecąca czarna sylwetka człowieka, który wypada przez okno.

Nicht hinauslehnen — bo wtedy spadniesz.

On spada.

Jest coraz mniejszy, ciągle spada, ja też spadam, machając coraz większą ręką na pożegnanie.

159

pociąg opuszcza Dworzec Centralny. Rosnąca dłoń wkrótce zakryje całe miasto i kąpielisko Vanadisbadet oraz zanikającego ojca, który stacza się w otchłań żalu i winy.

Zostawiam go tam — spadającego na peronie drugim — z krzyżem sadzy na piersi i bez znajomości łacińskiej terminologii. Nie znam ani jednego jastrzębca.

Mój tato chciał mi podarować kwiaty i trawy, rogoże i drzewa, a ja odwróciłam się do niego plecami. Kara i wina.

A później sama zostałam rodzicem w czasie, który nie miał czasu, bo kto miał wtedy czas?

Jakkolwiek będziemy działać i tak popadniemy w obłąd; nie ma sposobu na rodzicielstwo i dlatego Cesarz Portugalii jest równie szalony jak mój tato, że nie wspomnę o sobie samej.

Niedawno usłyszałam o badaniu, które wykazało, że sztokholmczycki przytulają swoje dzieci częściej niż mieszkańcy wsi.

Nadeszła chyba pora, by uświadomić sobie, że istnieje inne sposoby okazywania miłości rodzicielskiej niż sztokholmskie przytulanie — uśmiech, barwa głosu, muśnięcie policzka.

Są takie sposoby okazywania miłości, o których mieszkańcom miast się nie śniło.

Tyle jest sposobów okazania bezgranicznej miłości, ilu jest niedoskonałych rodziców, i nie istnieje jedyny słuszny — ani w mieście, ani na wsi.

161

Pokolenia szalonych rodziców dzieci, które zostają szalonymi rodzicami, każdy na swój sposób, każdy w swoim środowisku. Moja babcia ze strony mamy urodziła się w chłopskiej izbie. Mój dziadek ze strony ojca — w pałacu obok hotelu Grand.

#### DO OBCYCH KRAJÓW

Dziadek ze strony ojca był dzieckiem mieszczańskim, należał do klasy wyższej, był arystokratą, przynajmniej tak twierdził.

Jego dziadek po mieczu pracował jako nadworny konsyliarz, a dziadek po kądzieli był założycielem sztokholmskiego hotelu Grand. Przybył z Francji, nazywał się Jean Francois Regis Cadier.

Mój dziadek po mieczu nienawidził szkoły, więc w czasie wakacji zsyłano go na przymusowe wyjazdy „do obcych krajów, by w milczeniu uczył się obcych języków”. A on tęsknił za domem, za posiadłością babci i dziadka w Bergshamrze, do której później sprowadził się ze swoją rodziną.

Ponieważ jako młody chłopak cierpiał na zapalenie oskrzeli, ojciec wysłał go na leczenie do Egiptu. Był rok 1910.

W Egipcie zamieszkał w namiocie, na pustyni pod gwiazdami i właśnie tam odkrył radość rysowania. W niewielkim, kieszonkowym szkicowniku gromadził oazy, wielbłądy, świątynie i inne migawki z pobytu w kraju nad Nilem.

Słuchałam tych historii jednym uchem, tak jak to zazwyczaj bywa, gdy dziadkowie opowiadają o swo-

163

jej młodości. A później nagle odchodzą i człowiek zostaje z pustką w drugim uchu.

Nie mogę powiedzieć, że znałam dziadka, był już dość stary, gdy przyszedł na świat. Mruczał często pod nosem i burzył się z powodów, których nie rozumiałam. Owijał brzuch wełnianymi szalami domowej roboty i nakładał na nie pulower. Miał siwe, kręcone włosy, okrągłe okulary i bryczesy z sukna. Plecak, gdy wybierał się na wycieczkę. Osobliwe kapelusze. Podręczny bagaż w torbie ze świńskiej skóry z monogramem.

Palił niewielkie cygara i strząsał popiół do drewnianych popielniczek, pełnych obrzynków z ołówka; lubiłam zapach tych popielniczek.

Mój dziadek projektował meble — Carl Malmsten, CM.

QA !

Meble rozsławiły jego imię.

Gdy pracowałam w Londynie jako au pair, próbowałam zaimponować córce rodziny i powiedziałam kiedyś, że mój dziadek jest równie znany w świecie jak ich William Morris, ale natychmiast po brytyjsku utarło mi nosa, sugerując, że bezzasadnie się chwale-  
164

A przecież przed podróżą do Londynu pojechałam z dziadkiem pociągiem na Riwierę Włoską. Miał tam tworzyć, prawdopodobnie Czeladników i mistrzów, a babcia miała to przepisywać na czysto.

Dziadek napisał piętnaście publikacji o dziele rąk, o wychowaniu twórczym, o meblarstwie, o szwedzkiej tradycji.

Miał też na swoim koncie tomik poezji, Eros wyzwoliciel, w którym według mnie nie było szczególnie dużo Erosa, ale czego można było wymagać w 1921 roku?

Ze Sztokholmu Głównego pojechaliśmy do Genui przez Kopenhagę, Szwajcarię i Mediolan.

Ostatni etap stanowiła podróż kolejką wąskotorową wzdłuż Riwieri Włoskiej. Nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknej wody, prześwieczonej turkusową barwą.

Dziadek był w złym humorze.

— Zatruli całe Morze Śródziemne — mówił. — To wszystko wina Mammona i skanalizowanych miast. Był nieprzejednanym wrogiem industrializacji, funkcjonalizmu i modernizmu, nawet jeżeli sam nie zadowolował się wychodkiem na podwórzu.

Oprócz szwedzkiego dziadek nie znał żadnego innego języka. Pojedyncze słowa zasłyszane podczas przymusowych podróży do obcych krajów pojawiały się czasem bez ładu i składu. Gdy chciał zamówić w hotelu wodę po goleniu, poprosił kiedyś:

— Aqua caldo pour rasieren, please.

Włoski, francuski, niemiecki i angielski w pięciowyrazowym zdaniu. Zorientowawszy się, co powiedział, dziadek zaczął chichotać. Później często tak mówiliśmy — Aqua caldo pour rasieren, please.

W hotelu o nazwie Pensione Dltalia dostałam własny pokój z balkonem i widokiem na morze.

Zakochana w Renzo, hotelowym kelnerze, próbowałam nauczyć się włoskiego ze starych rozmówek dziadka z 1900 roku. Nie miałam jednak większego pożytku z fraz, które kilkadziesiąt lat wcześniej wykrzykiwano na ulicach: „Idzie człowiek z lodem!”, „Goździki dla świętych!”, „Świeży torf!”.

Wymykałam się nocą z pokoju i spotykałam z Renzo w hotelowym parku, rozmówki nie były mi potrzebne.

Za dnia siedziałam na balkonie i zapatrzona w pozorne piękno Morza Śródziemnego, malowałam akwarele, rysowałam i pisałam.

— Człowiek powinien uczyć się od przyrody — powtarzał dziadek.

I siedział zamknięty w hotelowym apartamencie, mozoląc się nad pisaniem, próbując poskromić te wszystkie słowa.

Gdy mu nie szło, zrzucał winę na babcię.

A wtedy babcia wychodziła ze mną do miasta. Fundowała lunch w trattorii — omlet z jaj prosto od kury

166

z młodym szpinakiem, pomidorami i parmezanem. Popijałyśmy lekkim białym winem z okolicznych winnic. Dziadek zamawiał do pokoju coś lekkostrawnego, musiał dbać o swój delikatny żołądek. Zawsze z bruchem owiniętym ocieplaczami z surowej wełny. Na Riwierze Włoskiej nie robił wyjątku.

Obiady jedliśmy razem w hotelu; pewnego wieczoru podano zabajone, ulubiony deser wiekowego Gustava Adolfa — dziadek znał króla osobiście.

Po obiedzie, w portowym barze, dziadek zamawiał ziołowy likier i wychylał kieliszeczek albo dwa. Babcia nie piła nic.

Myślę, że czuli się tam dobrze w swoim towarzystwie, nawet jeżeli dziadek zrzucał winę na babcię, gdy pisanie szło mu jak po grudzie.

Nie zastanawiałam się nad ich małżeństwem, byli przecież tacy starzy. Podobno w młodości dziadek miał opinię niezłego kobieciarza, ale nic mi więcej na ten temat nie wiadomo.

W drodze powrotnej z Włoch do Bergshamry zatrzymaliśmy się w Awinionie, gdzie przejmujący mistral wiał przez słynną połowę mostu i gdzie nocą spaliśmy na prowansalskich pierzynach. W Grenoble odwie-

dziliśmy rodzinę dziadka, tę samą, z której wywodził się Jean Francois Regis Cadier.

Wesolutki dziadek mówił kompletnie niezrozumiałym francuskim.

167

Mijały lata.

Rodzice taty się zestarzelili. Z powodu zaćmy babcia prawie nie odróżniała dnia od nocy, dziadek zachorował na raka.

Wysłałam za męża, w naszym domu dominowały meble z pchlich targów, kontenerów na śmieci i wyprzedaży organizowanych przez Armię Zbawienia, ale latem, pod nieobecność babci i dziadka, wyjeżdżaliśmy do Bergshamry.

Mieliśmy wprowadzić się tam 20 lipca, w upalny i suchy czwartek. Wsiadając z autobusu, zobaczyliśmy unoszący się znad domu dym.

— To na pewno ze szklarni — powiedzieliśmy.

Ale już po chwili się okazało, że to nie ze szklarni.

Paliła się cała Bergshamra; z fortepianu w salonie został tylko czarny szkielec. Spłonęły słynne szafy Malmstena, spaliły się stoły i krzesła. Spłonęły podłogi, po których dziadek chodził w wełnianych skarpetach i rzemiennych sandałach, a także firanki z czerwonym roślinnym szlaczkiem.

Spłonęły albumy ze zdjęciami jego rodziców, choć część z nich ocalała.

Zresztą dzięki mnie.

Dziadek nie zobaczył obrazu zniszczenia. Nigdy nie wrócił do swojej ukochanej posiadłości w Bergshamrze, zmarł w borgholmskim szpitalu 13 sierpnia 1972 roku.

## MLEKO W PROSZKU

Asa i ja spędzałyśmy wakacje w Bergshamrze albo na prywatnych kwaterach na wyspach Archipelagu Sztokholmskiego, w towarzystwie taty, jego braci, ich żon i kuzynów.

Na wyspach nie było prawdziwego mleka.

Mieliśmy ze sobą prowiant z miasta, taszczyliśmy go w olbrzymich plecakach, siatkach i torbach. Nie robiliśmy nic innego, tylko dźwigaliśmy, wynosiliśmy i wnosiliśmy. Od pomostu, przy którym cumował statek, biegły w górę nie kończące się schody, aż do skałek — na nich stał wynajęty przez nas dom.

Zamiast normalnego mleka w skład prowiantu wchodziło mleko w proszku; żeby uzyskać mleko w płynie, rozpuszczało się ten biały pył w ohydnej wodzie, którą czerpaliśmy z odległej studni.

To właśnie na jednej z tych wysp, Svartloga, o mało co nie utonąłam. Moja mama nie umie pływać, dlatego za wszelką cenę starałam się nie dopuścić do tego,

by dowiedziała się o tym incydencie. Za żadne skarby nie mogło do niej dotrzeć, że coś, czego najbardziej się obawiała, prawie doszło do skutku.

Rodziców trzeba zawsze chronić, ot co. Rodzice są słabi jak lód, który powstaje nocą, gdy mróz ścina jezioro, jak szreń, jak porcelana marki Rörstrand.

170

Mleko w proszku. Pamiętam, że pewien wujek miał w zwyczaju przygotowywać mleko w dzbanku, a później stawiał je w chłodnym miejscu. Jeżeli w ogóle istniało jakieś chłodne miejsce na tych rozgrzanych i suchych wyspach z kłującym sosnowym igliwem pod stopami.

Gdy mleko się odstało, trzeba było je wypić, bez narzekania na paskudny smak. Chcąc przekonać nas do picia, wujek powiedział kiedyś, że to końskie mleko.

Końskie mleko!

Jak gdyby na przykład Arnljot, arden moffy, potrafił dawać mleko.

Wujek na pewno chciał dobrze. Artysta ze Sztokholmu — cóż taki mógł wiedzieć o mleku?

Przed wyjazdem na wyspy albo zaraz po nim, albo i przed, i po, bawiłyśmy w posiadłości Bergshamra. Tam czekało na nas słońce i nagrzane nim kamienne płyty w ogrodzie. W pokojach roznosiła się przyjemna woń, w łazience wanna na lwich łapach, olejek z sosnowego igliwia i duże zielone mydło na sznureczku zapraszały do kąpieli.

Dojrzewały maliny, pachniały piwonie i róże okalające bramkę, a babcia chodziła z koszykiem i zbierała kwiaty do wazonów w jadalnym, salonie, bibliotece i sypialni. Bywały dni, kiedy wcale nie wydawała się groźna, nawet jeżeli nigdy nie odznaczała się przystępnością jak momma.

171

Momma potrafiła być zrzędliva, gdy przypominała raz po raz, żeby po sobie zamykać, żeby nie wpuszczać zimna — „nie wpuszcj chłodnicy!”. Mogła być marudna i często taka była, ale nigdy się jej nie bałam. Z marudzeniem mommy było jak z pogodą, jak z górskim wiatrem, na który nie ma wpływu żaden człowiek.

**PERFUMY MOJEJ BABCI**

Babcia przeżyła pożar. Poddawa się operacji oczu, odzyskała wzrok.

Bergshamra została odbudowana prawie w całości. Wstawiono nowe szafy Malmstena, nowe Malmstenowskie stoły i krzesła.

Słońce wschodziło i zachodziło.

Po śmierci dziadka babcia odżyła.



Podobnie jak wcześniej na Riwierze Włoskiej, teraz wyszła z niej inna osoba niż ta, którą znałam. Zniknął surowy człowiek o czarnych oczach i bielusiękich włosach, człowiek, który wzbudzał strach nie tylko we mnie i Asie, ale również w naszych kuzynach.

Mówiąc, że po śmierci dziadka w babci zaszła zmiana, nie przemawiam w imieniu kuzynów, jakżebym śmiała, skoro nie potrafię mówić nawet za siebie. Być może ponosi mnie pisarska wyobraźnia, gdy twierdzę, że jako wdowa babcia odżyła, i jeżeli faktycznie konfabuluje, to przepraszam kuzynów, każdego z osobna i wszystkich razem.

Po śmierci dziadka babcia odżyła, momma zaś po śmierci moffy pogrążyła się w letargu.

Tak więc nawet ostatnie lata ich życia, podobnie jak cała wcześniejsza egzystencja, były do siebie bardzo niepodobne.

173

We francuskim i angielskim nie rozróżnia się babki ze strony ojca i babki ze strony matki — obie nazywa się babcia. W języku szwedzkim istnieją dwa odrębne wyrazy\*, co doskonale oddaje moje własne doświadczenia.

Babcia po mieczu była nauczycielką w prywatnej szkole, założonej przez dziadka w latach czterdziestych. Znała angielski, niemiecki, francuski i łacinę. Jej panięńskie nazwisko brzmiało Munthe.

Momma nazywała się Jónsson. Nie znała języków, chociaż właściwie to nieprawda, ponieważ potrafiła śpiewać po jamtlandzku i znała przyśpiewki, których nikt nie umie odtworzyć, bo zabrała je ze sobą do grobu.

Tak to już jest z mądrością ludzi pochodzących ze słabo zaludnionych terenów — do grobu z nią, i już. Miejsce urodzenia przesądza o wadze twojej wiedzy, a jednocześnie decyduje o tym, w czym tkwi twoja wartość.

Babcia ze strony ojca miała toaletkę, którą zaprojektował dla niej dziadek.

W naszej wsi nikt nie posiadał toaletki, ba! mało kto był właścicielem toalety. Swój przyjemny zapach i miękkość różanych policzków momma zawdzięczała zimnej wodzie i mydłu Palmolive. Na komodzie stała \* Mormor — babka ze strony matki, farmor — babka ze strony ojca.

174

woda kolońska 4711, którą skrapiał się głównie moffa, zanim wyruszał na swoje mopedowe wyprawy.

Babcia w Sztokholmie używała perfum, których zapach unosił się w pokoju jeszcze długo po jej wyjściu. Od zawsze mam takie same perfumy, buteleczka stojąca w mojej łazience w Finistere jest identyczna

z tą zdobiącą toaletkę babci. Prostopadłością czarnego szkła z etykietą z wąskim, zabójczo różowym szlaczkiem. Specyficzna, łagodna woń przywodzi na myśl poziomki.

Jednym z dowodów na to, że po śmierci dziadka babcia odżyła, była zwiększona konsumpcja perfum. Babcia nigdy ich nie nadużywała — to nie leżało w jej naturze — ale też nie była tak ostrożna i oszczędna jak wcześniej.

Zamówiła nowe sukienki u drobnej kobiety mieszkającej przy Eriksbergsplan. Krawcowa była jedną z tych osób, które ludzie pokroju babci zawsze mieli pod ręką. U fryzjerki babcia nadała swoim bielusiętkim włosom niebieskawy odcień, zrobiła sobie też manicure i pedicure. U nadwornego jubilera o nazwisku Bohlin kupiła nowe kolczyki. Nie uwierzyłabym, gdybym sama tam z nią nie poszła.

Gdy byłam dzieckiem, już sam fakt, że babcia miała przekłute uszy, świadczył, że jest niebezpieczna. Nikt we wsi nie miał kolczyków jak Cyganka, jak bajkowa czarownica o wyciągniętych uszach i w biżuterii z węgla. Jeżeli chodzi o babcie, najlepiej pamiętam z dzieciństwa mój strach przed nią, jej ostry jak żyletka głos

175  
i jej ostrożność w stosunku do pieniędzy. Po śmierci dziadka wręczała mi od czasu do czasu stukoronowe banknoty. Dawała mi je po kryjomu, zupełnie bez powodu. Fundowała kawę w mieście.

Siedziałyśmy więc w cukierni Vetekatten jak dwie najzwyczajniejsze kobiety, które rozmawiają ze sobą nad filiżanką herbaty i migdałową muszelką, dwie kobiety, między którymi nie spoczywa całe życie i jeden dziadek.

Cieszę się niezmiernie, że było mi dane spotkać prawdziwą babcie, zanim upłynął jej czas, chociaż pod koniec jej życia złożyłam jej tylko jedną jedyną wizytę. Wprawdzie przed śmiercią nie leżała w szpitalu tak długo jak momma w domu starców, ale mimo wszystko — byłam u niej tylko raz.

Babcia dożyła dziewięćdziesięciu trzech lat.

Zmarła jesienią 1987 roku, zgasła jak zdmuchnięta nagle świeca.

#### SEN O MORKO

Kiedy jeszcze byliśmy razem, Kjella często irytowało to, że mówiłam „dziadek” zamiast „mój dziadek” albo „babcia” zamiast „moja babcia”.

Do dzisiaj, ciągle poirytowany, uważa ten sposób mówienia o krewnych za dowód mojego egocentryzmu i ciasnoty umysłu.

Kjell miał dziadka równie osobliwego jak mój moffa. Jego dziadek był woźnym w przedsiębiorstwie Scania Vabis w Södertälje. Kjell przez całe dzieciń-

stwo spędzał wakacje na półwyspie Morko w prowincji Sórmland, gdzie znajdował się ośrodek czasowy tej firmy.

Kiedy jeszcze byliśmy razem, Kjell miał powracający sen, który rozgrywał się właśnie na Morko.

We śnie przez półwysep przepływa ogromna rzeka, której wody unoszą Kjella. Leżąc na czymś w rodzaju tratwy, płynie w kierunku morza. Tratwa sunie bezgłośnie i łagodnie. Między pochylonymi nad wodą konarami migoczą gwiazdy. Pachną kwiaty, ptaki przytulone do pni śpią spokojnie, niebo jest ciemne, powietrze ciepłe.

Wszystko wydaje się beztroskie i czarujące.

178

Chciałabym mieć kiedyś taki sen, w moich snach powraca bowiem zawsze ta sama makabryczna scena: zamknięta z napastującymi mnie ludźmi, nie potrafię odeprzeć ich ataków.

Sen o Morko nie ma żadnego związku z moim dzieciństwem i na dobrą sprawę ma dość nikły związek z dzieciństwem Kjella.

A mimo to czuję, że powinien znaleźć się w tej książce, i to jest jedno z misteriów literatury, nad którymi nie należy się zbytnio zastanawiać, ponieważ wtedy nie powstanie żadna literatura.

CZERWONA PÓŁKA

Z KSIĄŻKAMI

Jako dziecko czytałam śmiesznie dużo.

Śmiesznie, ponieważ to śmieszne, kiedy ośmiolatka czyta jednym tchem Rodzinę Thibault Rogera Martin du Garda i Idiotę Fiodora Dostojewskiego. I gdy w dodatku nie można się nad nią uzalać, bo nie padła ofiarą ani mobbingu, ani ostracyzmu. I gdy sama przedkładała czytanie nad zabawę z rówieśnikami.

Nie pamiętam, co robiłam, zanim nauczyłam się czytać.

Pewnie wisiałam na trzepaku głową w dół, jak nietoperz, aż odkryłam bezsens takiego wiszenia i rozluźniłam uchwyt.

Gdy tylko nauczyłam się składać litery, zrozumiałam konieczność czytania. Nie byłam genialnym dzieckiem, które samodzielnie zaczęło czytać w wieku dwóch lat, żaden tam ze mnie książkowy Mozart. Poznałam litery w pierwszej klasie, tak jak wszyscy inni. Ale gdy już je poznałam, nikt w całej parafii nie czytał tak dobrze jak ja. Głośno i wyraźnie, bez zająknięcia. To ja w dniu świętej Łucji deklamowałam w kościele Vita Nuova Para Lagerkvista. Nie rozumiałam ani słowa, ale brzmiało pięknie. Wyboru wiersza dokonał nauczyciel, a może pastor. To nie był mój pomysł. Jeżeli

180

w tamtych czasach dzieciom nie wolno było czegoś

mieć, to własnych pomysłów.

Wpadanie na własne pomysły było wzbronione i niebezpieczne.

Dobre dziecko to dziecko bez własnych pomysłów.

Półka z książkami stała na poddaszu, ponieważ w izdebce, w której spaliśmy, nie było na nią miejsca. Okalała okno w dużej sypialni, w której nocowali goście. Albo kuzynowie ze Sztokholmu. Albo tato, chociaż oczywiście to się nie zdarzało.

Półka była czerwona — jest czerwona. Wbudowana w ścianę, w dalszym ciągu okalała okno w sypialni na poddaszu i będzie tam tak długo, jak długo będzie stał dom.

Półka z książkami stoi na swoim miejscu; chociaż dom od dawna jest niezamieszany i z każdym rokiem coraz bardziej niszczeje. Coraz bardziej dziczeją kwietniki, coraz bardziej zarastają grządki, z dachu sypią się dachówki, a ziemianka grozi zawaleniem.

Popadając w ruinę, gospodarstwo staje się naszym — Asy i moim — wyrzutem sumienia. Nasze dzieci też mają wyrzuty sumienia. Powinniśmy coś zrobić, ale nie robimy, a im mniej robimy, tym większe gnębą nas wyrzuty sumienia. I nie jesteśmy odosobnieni. Cała Szwecja to jeden gigantyczny wyrzut sumienia. Kiedyś w modzie było poszukiwanie swoich korzeni, później zmieniły się trendy i teraz wszyscy dochodzą do ściany.

182

A przyczyną jest brak korzeni. Brak nam wsparcia, nie mamy punktu zaczepienia — ani wzdłuż, ani wszerz. Pozostają tylko zawroty głowy i depresja, lęk przed upadkiem i poczucie winy, bo przecież powinno się coś zrobić.

Nie tylko z gospodarstwem, spiżarnią, domem, stodołą i chatą, zanim się zawala, nie tylko z domem rodziców, ale ze wszystkim innym — z życiem, społeczeństwem, z tym, co prywatne, i tym, co publiczne. Powinno się coś zrobić. Zanim wszystko zarosną pokrzywy.

Książkom czas nie daje rady. Okładki mogą zawilgotnieć, strony może pokryć pleśń, ale słowa nie ruszą się z miejsca, opowieść nie popadnie w ruinę, nie rozpadnie się na kawałki. Dla opowieści z książek wiek nie ma znaczenia. Jest niezniszczalna.

Na czerwony kolor półki, zwany czerwienią Malmstena, składają się barwy cegły, koralu i poziomki. Kiedyś japoński laureat literackiej Nagrody Nobla kupił całą jadalnię w tym łagodnym, a jednocześnie zdecydowanym odcieniu. Po głębszym namyśle dochodzę do Wniosku, że to dość japoński kolor.

Wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, dopiero teraz, kiedy pamięć zaczyna mnie zawodzić i nie

zawsze wiem, co wydarzyło się naprawdę, a co tylko w mojej wyobraźni. Ale ponieważ istnieje zdjęcie mojego dziadka, japońskiego noblisty i czerwonej jadalni, zawierzam świadectwu swoich oczu.

183

Do faktów nie mam zaufania.

Weźmy na przykład szczyt Areskutan i jego wysokość: 1420 metrów nad poziomem morza. Że też można zmierzyć górę, tak jak mama mierzyła Asę i mnie, zapisując wyniki na drzwiach szafy. Każde dziecko wie, że nie istnieje taki długi metr krawiecki. Ale spróbuj o tym powiedzieć kolekcjonerom faktów!

Kawabata, tak nazywał się ten japoński noblista.

Yasunari Kawabata.

Nigdy nie przeczytałam nic Kawabaty.

Nawet jako dziecko. Ponieważ na czerwonej półce nie znalazłam żadnej jego książki.

Były tam dzieła Harry'ego Marrinsona, Eyvinda Johnsona, Para Lagerkvista i Rogera Martin du Gard, ponieważ moffa był agentem rozprawczającym książki wydawane przez FiB, a rodzice mojego ojca należeli do wykształconej klasy średniej, w czasach, kiedy taka jeszcze istniała.

Tak więc gdy miałam osiem lat, pochłaniałam tych wszystkich noblistów. Nie dlatego, że zdobyli Nagrodę Nobla, tylko dlatego, że ich książki stały na półce obok innych książek, które również czytałam, ponieważ tam stały. Wspaniałe losy narodu szwedzkiego, Szwajcarski Robinson, Rzeki płyną do morza, Cichy Don, Drzewo na Brooklynie, Domokrążca, Idiota i seria książek dla dziewcząt o amerykańskiej pielęgniarce Cherry Ames. Rodzina Thibault Rogera Martin du Gard czy Pielęgniarka Cherry Ames — seria jak seria, nie sprawiało mi to różnicy.

184

Nikt nie zachęcał mnie do czytania i nikt mi go nie odradzał. Ja czytałam, a Asa wspinała się na osiki; nikt tego nie wartościował, nie przekonywał, że jedno jest lepsze czy gorsze od drugiego. Mama niepokoiła się tak czy owak.

Jeden jedyny raz poddano moje czytanie cenzurze. Chodziło o część Rodziny Thibault zatytułowaną „Śmierć ojca”. Mama schowała przede mną ten tom, bo sądziła, że jestem za mała na takie smutne rzeczy. Typowy błąd rodziców pragnących chronić dzieci od trosk i smartwień, a jednocześnie niezawodny sposób na zachęcenie dziecka do przeczytania zakazanej książki.

Przeczytałam oczywiście „Śmierć ojca” i wcale nie wydała mi się ona szczególnie smutna. Zmarły ojciec w powieści był zmarłym ojcem w powieści, ten rodzaj smutku ograniczały okładki, podczas gdy smu-

tek związany z żywym, ale nieobecnym ojcem nie miał granic.

Powieściowy ojciec w trumnie to tragedia braci Thibault, nie moja. Ich tragedia była niczym w porównaniu z widokiem oddalającego się tatusia na Dworcu Centralnym w Sztokholmie. Pociąg opuszczał peron, mój tato zniknął, a z nim część mnie, która była nim.

Nie czytałam, żeby znaleźć ukojenie.

Na prawdziwe smutki nie ma pocieszenia. Szukając pocieszenia dla smutków, nad którymi nie masz kontroli, stajesz się ich ofiarą, i to dopiero jest smutne.

185

Jako dziecko miałam jasność co do rzeczy, których zrozumienie zajęło mi później całe życie.

Czytanie było moim sposobem na ponowne wynegocjowanie warunków życia. Czytałam w imię poprawy sytuacji, jakiejś gwałtownej zmiany, inności.

Czytałam szybko i z zapalem, od deski do deski, bez zatrzymywania się na wyrazach i pojęciach, o których nie miałam pojęcia.

Zrozumienie pojedynczych słów i wyrażen było drobnostką, bagatelką, tak jak oliwka w drinku dla alkoholika — niepotrzebną przeszkodą na drodze do tego, co istotne.

Czytałam, żeby poczuć upajające wyczulenie zmysłów, żeby opuścić ciasny umysł, jeden punkt widzenia i ścieśniony horyzont, żeby wyjść ku większym przestrzeniom i odmiennym perspektywom.

Niezrozumiałe słowa nie stanowiły przeszkody, notowałam ich obecność, ale nie zatrzymywałam się nad nimi bez potrzeby.

Jednym z takich wyrazów był tuby-lec. Te dziwne tuby w towarzystwie Iców pojawiały się w najmniej oczekiwanych miejscach i — najzupełniej zbędne — zbijały z tropu. To że nie znałam jakiegoś pojęcia, nie oznaczało, że nie ma ono racji bytu, to wydawało mi się oczywiste. Jeżeli było istotne, to w swoim czasie miało się wyjaśnić.

Wyjaśniło się kilka dni temu, kiedy w słowniku francusko-szwedzkim znalazłam wyraz autochtone i dowiedziałam się, że „tuby-lec” to nic innego jak „tu-bylec”, pramieszkaniec, czyli mniej więcej to, co

186  
zrozumiałam z kontekstu, gdy jako dziecko czytałam książkę podróżnika Svena Hedina.

Przeprowadzka z głębokiej prowincji na przedmieścia stolicy była brutalną zmianą, ale w porównaniu z lekturą Hedina — dość marginalną.

Czytanie nie było dla mnie ucieczką. Nie czytałam z tchórzostwa. Czytałam, żeby skonfrontować się z tym, czego nie znałam. Czytanie było aktem odwagi. Opuszczając własny umysł i zaglądając w głąb in-

nego, człowiek odbywa swoją największą podróż, nie tracąc przy tym życia.

Niedaleko mojego domu w Finistere rozpościera się wybrzeże, długie i szerokie wybrzeże, z niezwykle wysokimi i szerokimi falami. Fale o białych grzywach przybierają kolor zielony, niebieski albo szary.

Podobno jest to jedno z najlepszych europejskich miejsc do surfingu.

Przechodząc tamtędy, widzę odzianych w pianki ludzi na deskach surfingowych i często żałuję, że jestem za stara na ten sport.

Pograżam się w głębokim smutku.

Nieważne, że nigdy nie surfowałam — jestem przekonana, że potrafię. Znam to uczucie pokonywania ogromnych fal, moje ciało wie, co powinno zrobić, żeby utrzymać się na ich czole, i jak — zgodnie z ich ruchem — na przemian zginać się i prostować.

Wiem, co to znaczy upaść i podnieść się.

Surfowałam, nie raz.

187

Ale to nie znaczy, że utożsamiam się z surfującą dziewczyną z książki *The Tribes of Palos Verdes*. Nie identyfikuję się ani z nią, ani z braćmi Thibault, idiotą z Dostojewskiego czy Cherry Ames.

Na czerwonej półce z książkami odnajdywałam nie siebie, ale innych.

Nie czytam, żeby się utożsamiać. Czytając, nie odnajduję siebie samej, i to właśnie jest celem, ulgą i rozkoszą, przyjemnością i pożytkiem.

Wiem, co nie było moim udziałem, wiem, czego nie potrafię.

Na tym polega radość czytania i związane z nim poczucie bezpieczeństwa. Okładki, tytuł, ISBN i kod kreskowy oddzielają bowiem wystarczająco wyraźnie historię książkową od rzeczywistości.

DZIĘKUJĘ ZA PORADĘ,

OMAL NIE UMARŁAM

Prawie że umarłam, ale nie umarłam. Nie wtedy, gdy miałam jedenaście lat, i nie jako starsza nastolatka — nie umarłam, i całe szczęście. W przeciwnym razie nie doznałabym tego przyjemnego uczucia, jakim jest akceptacja własnej urody.

Gdybym mogła odzyskać wszystek czas, który straciłam, nienawidząc swojego wyglądu — każdej części ciała z osobna i wszystkich razem — dostałabym niemalże dodatkowe życie.

Nie mogę winić książki *My* — nastolatki Olgi

Golbaek z ilustracjami Christel, ale muszę.

W 1955 roku skończyłam jedenaście lat i choć zaczynałam dwunasty rok życia, daleko mi było do prawdziwej nastolatki, zresztą żadnej takiej wtedy nie znałam, ten rodzaj nieszczęść nie dotarł jeszcze do naszej wsi.

Nie wiedziałam, co to znaczy być nastolatką, nie wiedziałam, jak się nią zostaje, nie wiedziałam, co mnie czeka.

Nie wiedziałam, że zmiany zachodzące w człowieku między czternastym a dwudziestym rokiem życia mają decydujący wpływ na jego rozwój i że „każdy jest im w stanie podolać, przestrzegając niepisanych 189

zasad i korzystając ze sposobów, którymi inni rozwiązali ten problem”.

Nie miałam pojęcia, jak inni rozwiązali ten problem, i nie znałam niepisanych zasad z książki *My — nastolatki*, umiałam za to rąbać drewno i tkać dywaniki z gałganków, obsługiwać wirówkę do mleka, wykopywać ziemniaki i przerywać marchewkę, znałam tabliczkę mnożenia i alfabet od tyłu, uważałam, że Snoddas śpiewa paskudnie, a Doris Day — cudownie, wiedziałam mniej więcej, kim jestem — tóó Bodil z Bjarme, Jamtlandii, Szwecji, świata, uniwersum, i umiałam mówić językiem literackim, ponieważ takim posługiwaliśmy się w szkole, w której naszej pani zachodziły łzami za każdym razem, gdy tylko napomknęło się o królu Gustavie Adolfie i królowej Louise.

Nie czułam się ani zadowolona, ani niezadowolona, ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa, chciałam być dorosłą osobą, ale nie cierpiałam z tego powodu, że nią nie jestem. Wszystko było tak, jak miało być.

Łącznie ze mną.

Aż do pewnego dnia—jak to bywa we wszystkich okrutnych bajkach — pewnego dnia bowiem wydarzyło się coś, co zmieniło całe moje dotychczasowe życie; pewnego dnia wpadł mi w ręce egzemplarz książki *My — nastolatki*.

Albo na odwrót — to ja wpadłam w jej ręce, to ona mnie zniszczyła, starła na proch, pochowała tę, którą byłam, i nie wzniosła nawet krzyża na grobie.

190

Niebiosa zapewne wybaczą Oldze Golbaek i Christel, ja tego nie uczynię. Wydawnictwo nazywało się Wennerbergs Förlag AB, drukarnia — Uniprint, był rok 1955.

Nie pamiętam, kiedy dostałam tę książkę, jesienią czy wiosną, na gwiazdkę czy na urodziny, pamiętam tylko, że ją dostałam.

Albo na odwrót — to ona mnie dostała i dusiła systematycznie maseczkami z białek, ubitych na sztywno z dodatkiem dziesięciu kropel roztworu benzoesu sodu. Właśnie tak.

Nie byłam *my-nastolatką*, ale musiałam nią zostać.

Każda dziewczynka, która choć raz zobaczyła dziewczyny z ilustracji Christel, wie, że już zawsze będzie



chciała wyglądać tak jak one. I zupełnie bez znaczenia jest fakt, że to niemożliwe i z góry skazane na niepowodzenie, potrzeba nie zna prawa.

Dziewczyna z ilustracji Christel ma płaski brzuch i kształtną pupę, zgrabnie sterczące piersi, długie i szczupłe nogi, oczy Audrey Hepburn oraz podrygujący wesoło koński ogon. Dziewczyna z ilustracji Christel to księżniczka pędząca beztrudne życie w rzeczywistości, która musi istnieć, ponieważ istnieją dziewczyny z ilustracji Christel.

Tyle tylko, że owa rzeczywistość nie przystawała do rzeczywistości ani w Bjarme, ani w Faker, Hackas czy Ostersund: coś musiało być nie tak z prowincją Jamtland, ponieważ nie należała ona do prawdziwej rzeczywistości ze Sztokholmu, Kopenhagi czy dru-

191  
karni Uniprint, gdzie dziewczyny z ilustracji Christel w rozłożystych spódnicach z paskiem, podkreślającym talię osy, i w balerinkach włożyły się na antylopiach nogach.

Nie miałam szans zostać dziewczyną z ilustracji Christel, ale nie miałam też wyboru — w jakiś sposób musiałam się w nią przeobrazić. Okrągła twarz wiejskiej dziewczyny musiała zamienić się w sercowatą i chwytającą za serce, z płaskiej klatki piersiowej musiał wystrzelić zgrabny biust, a tyłek należało zlikwidować

192  
albo przynajmniej zakamuflować, ponieważ: „Nazwijmy rzecz po imieniu, mówimy o wydatnej pupie. Istnieje tylko jeden sposób pozbycia się takowej i są to ćwiczenia gimnastyczne”.

Książka My — nastolatki nie informowała, że pupa może być częścią właścicielki, o nie! Zadek był wyłącznie czymś, czego należało się pozbyć, no więc trzeba było to zrobić.

Smukłe kostki uzyskiwało się dzięki stosowaniu okładu według następującego przepisu:

„Obłożyć kostki ściereczką frotte nasączoną w octanie ołowiu wymieszanym z wodą w proporcji jeden do jednego. Następnie przykryć ceratką, dla zachowania wilgotności, a na końcu owinać dokładnie bandażem elastycznym. Poza tym dobrze jest spać w łóżku podwyższonym w nogach o 10-20 centymetrów”.

Dlaczego nie urodziłam się chłopcem, dlaczego nie zostałam kurą, prosiakiem, krzewem jałowca, mopedem albo brukwią? Chłopcy nie muszą przeobrażać się w my-nastolatki, nie muszą i nie musieli, i w czasie terażniejszym, i w przeszłym — więcej się w szkole nie nauczyłam.

A teraz nastał czas my-nastolatek i lata, które kiedyś były zwykłymi latami, nagle zamieniły się w nasto-lata; nie musiała przeżywać ich w cierpieniach

ani mama, ani babcia, one były normalnymi dziewczynkami od krów i doły ręcznie mućki na górskich pastwiskach, których — podobnie jak katechizmu — już nie ma.

193

Teraz książka *My* — nastolatki była biblią i wyrocznią. Była narzędziem, które pozwalało odróżnić prawych od złych, akceptowanych od nieakceptowanych — do kurwy nędzy te przekleństwa chuj ci w dupę pierdolić gównem szczanie krew i kupę! *My*-nastolatkom nigdy nie przychodziły do głowy zakazane myśli, *my*-nastolatki nigdy nie używałyśmy brzydkich słów, *my*-nastolatki nie wyrażałyśmy wielu opinii, *my*-nastolatki przede wszystkim i w pierwszym rzędzie nigdy nie wyrażałyśmy sprzeciwu.

„Nie chcąc stracić nadziei na bycie lubianą, nastolatka musi nauczyć się sztuki kompromisu i ugody”. I nagle dotarło do mnie, jak niewielka jest moja nadzieja na bycie lubianą; ta nadzieja była minimalna, ale jednocześnie jedyna, jaką miałam — musiałam nauczyć się sztuki kompromisu i ugody, nawet kosztem swojego młodego życia. Teraz już wiedziałam, że rozwój między czternastym a dwudziestym rokiem życia ma decydujące znaczenie; wiedziałam, że powinnam postępować według niepisanych zasad, w przeciwnym razie nigdy, przenigdy nie zostanę *my*-nastolatką, ponieważ *my*-nastolatki wbiły swój wypielęgnowany i ostry paznokieć prosto w moją bezgraniczną niepewność, o której nie miałam pojęcia, a którą *my*-nastolatki uświadomiły mi, pokazując czarno na białym, że jestem tylko i wyłącznie własną niepewnością, i dlatego musiałam zostać dziewczyną z ilustracji Christel, czyli najprawdziwszą *my*-nastolatką.

194

Musiałam przestać być tym, kim byłam, i nigdy więcej nie robić rzeczy, których nie robiły *my*-nastolatki.

*My*-nastolatki nie czytały *Pieśni czerwonego rubinu* autorstwa Agnara Myklego; co one czytały oprócz książki *My* — nastolatki, czort wie — no bo któż inny? Znały zapewne *Anię z Zielonego Wzgórza*.

Aż do okresu *my*-nastolatek czytałam wszystko.

A później było dokładnie odwrotnie i nie pamiętam nic ani z *Młodości* Martina Bircka, ani ze swojej własnej, a jedyne, co pamiętam — co do joty — to *My* — nastolatki; nie udało mi się wyprzeć ze świadomości ani jednej porady, a jeżeli kiedyś którąś zapomnę, to i tak wypłynie w najmniej oczekiwanym momencie:

„W przypadku szeroko rozstawionych oczu prawie zawsze należy podejrzewać okrągłą twarz. Naturalne fale i loki powinny wtedy brać początek odrobine powyżej linii oczu. To podstawowa zasada i nie wol-

no o niej zapomnieć".

Nie zapomniałam tej podstawowej zasady, przysięgam, spoczywa głęboko w mojej podświadomości, skąd w każdej chwili może się na mnie rzucić i unicestwić w każdym calu.

„Nigdy nie jest za wcześnie, by zacząć myśleć o swoim wyglądzie".

„Masz tylko jedną twarz, która musi ci starczyć na całe życie".

Twarz miała wystarczyć na całe życie, ale tylko po spełnieniu przez jej właścicielkę pewnych wymogów, 195

zresztą bardzo surowych, a pierwszy z nich był następujący: musisz zostać dziewczyną z ilustracji Christel, czyli taką, która ma jedynie stosowne oblicze i jedynie stosowną cerę. Ta ostatnia była dana każdemu, kto potrafił ją prawidłowo rozpoznać: „Niesłuchanie ważne jest ustalenie, z jakim typem cery mamy do czynienia". Ustaliwszy rodzaj cery, można było zacząć jej pielęgnację, oczywiście za pomocą jedynie stosownych preparatów oczyszczających, balsamów i maseczek.

„Suchą cerę łatwo poznać po jej skłonności do tworzenia się zmarszczek".

Jak wiele zmarszczek może mieć czternasto-, piętnasto-, szesnasto-, siedemnasto-, osiemnasto- czy dziewiętnastolatka z suchą cerą? Nie wspominając o jedenasto- czy dwunastolatce? „Na taką cerę w zasadzie nie można nakładać pudru... taka cera rzadko toleruje mroźne powietrze... łatwo pierzchnie i pęka".

Cera, cera, cera. Cera na plecach i udach, na stopach i piersiach—jak dużo cery może mieć człowiek? Nieskończone ilości — a ja nigdy nie przypuszczałam, że w ogóle mam cerę.

Cerę twarzy i karku, podobnie jak cerę na ramionach i szyi, powinno się raz w tygodniu poddać następującemu zabiegowi: „Należy rozpuścić w wodzie kilka łyżek suszonych drożdży... Nałożyć papkę i poczekać do jej całkowitego wyschnięcia. Dopilnować, żeby papka pokryła również kark i górną część pleców między łopatkami... Najlepiej robić to bez udziału 196

innych osób, ponieważ po nałożeniu maseczki z wyglądu przypomina się Murzyna".

„Infiltracje... W jaki sposób się dowiedzieć, czy ma się infiltracje? To dość łatwe. Należy ująć obiema rękami podejrzaną część ciała i jeżeli ściśnięta w ten sposób skóra przypomina skórę pomarańczy, można mieć pewność, że chodzi o infiltracje".

„Osobie obdarzonej piegami trudno zrozumieć, że owe mogą wyglądać naprawdę pikantnie, i wiele dziewcząt walczy rozpaczliwie ze swoimi plamkami,

gdy tylko pojawią się pierwsze wiosenne promienie słońca".

Dziękuję za poradę, Olgo Golbaek! Walka była rozpaczliwa, daję słowo!

„A przecież wystarczy w odpowiednim czasie wziąć kwarcówkę i... piegi nie będą tak wyraziste".

A skąd miałam wziąć tę kwarcówkę? O takich rzeczach nie informowano w książce My — nastolatki, podawano za to przepis na wybielanie piegów: serwatka z sokiem cytrynowym albo wodą utlenioną, utarty chrzan wymieszany z sokiem wyciśniętym z natki pietruszki, 50 g herbaty lipowej, 60 g wody różanej i 50 g olejku z pomarańczy gorzkiej.

Cerę należy pielęgnować, bo przecież może pęknąć.

A wtedy wszystkie flaki wypłyną mi z brzucha w kolejce po chleb i mleko. A jeżeli pęknie twarz i wszyscy we wsi zobaczą pustkę w mojej głowie?

Nieustanny lęk.

197

„Trudno znaleźć słowa, które w wystarczający sposób podkreślą, jak ważny jest wybór stosownego ubioru".

„Nastolatka o krępej budowie ciała. Spójrzmy prawdzie w oczy: niezmiernie łatwo przyjdzie jej wyglądać jak kloc i dlatego powinna na wszelkie sposoby starać się wydłużyć i wyszczuplić sylwetkę ubiorem". Jak wielkim pokładom prawdy człowiek jest w stanie spojrzeć w oczy i nie umrzeć?

Starałam się. Staram się.

Pielęgnuję i robię okłady, wybielam i wyskubuję, i wybieram, i jeszcze raz wybieram, w nieustannym lęku, spójrzmy prawdzie w oczy: a jeżeli nie wybiorę stosownie? A jeżeli dokonam złego wyboru? I będę przypominała kloc? Kto chciałby być podobny do kloca?

„Nikt — niezależnie od wieku — nie potrafi oprzeć się słodkiej, uśmiechniętej, ufnej i pomocnej młodej dziewczynie. Jeżeli więc nastolatce naprawdę zależy na tym, żeby być lubianą, powinna przede wszystkim przestać zajmować się sobą i wykazać więcej zainteresowania innymi..."

Dziękuję za radę — a jak miałam na to znaleźć czas?

Przecież zupełnie zapomniałam, że istnieją jacyś inni, nie wiedziałam bowiem, że jest tak przerażająco dużo mnie samej!

198

Przerażająco dużo cery i owłosienia, rąk i stóp, infiltracji i wągrów, nieustannego lęku; a jeżeli mój uścisk ręki był zwiotczały i wilgotny? — „Nie ma nic gorszego niż zwiotczałe i wilgotne palce wsuwane do czyjejs dłoni".

„W jaki sposób się poruszamy? Odchodzimy człapiącym krokiem, nie zwracając uwagi na to, że ktoś może nas obserwować? A siadając, zginamy nogi w kostce i zwracamy stopy palcami do siebie?”

I jak miałam mieć siłę, żeby zatroszczyć się o innych, skoro moje nogi — być może — były zgięte w kostce, a stopy zwrócone do siebie palcami?

I skąd miałam czerpać energię, żeby pielęgnować całe to ciało i cerę, jak miałam sobie dać radę z twarzą, żeby wystarczyła mi na całe życie?

Robiłam, co mogłam, ale to nie wystarczało. Walczyłam do ostatniej infiltracji, do dnia, w którym postanowiłam skończyć z tym całym interesem — skórą, kośćmi, tłuszczem, całą sobą.

Nie mogłam zostać my-nastolatką, ale też nie mogłam nią nie zostać — a któż potrafił żyć z tą świadomością w latach pięćdziesiątych?

Chociaż to już nie były lata pięćdziesiąte, w każdym razie nie te lata pięćdziesiąte i na pewno nie dla mnie.

(BOLLKINDER — PUCOŁOWATE POLICZKI, KORT LUGG — KRÓTKA GRZYWKA, VITA ÓGONFRANSAR — BIAŁE RZĘSY, FRAKNAR — PIEGI, GRISOGON — ŚWIŃSKIE OCZKA, ROTT — RUDY KOLOR, SNEDTAND — KRZYWY ZĄB)

#### JEDYNA ZABAWNA HISTORYJKA

Jedyna zabawna historyjka, jaką pamiętam, rozgrywa się we wsi podobnej do tej, w której spędziłam dzieciństwo.

O ile w ogóle jest zabawna.

To było dawno temu i daleko stąd, na głębokiej prowincji. W wiej skiej szkole z żeliwnym kominkiem i kątem, w którym stawiano krnąbrnych uczniów, zaczynała naukę pierwszoklasiści.

Mały Nils, słaby na ciele, ale mocny w gębie, wstaje nagle w środku lekcji i pędzi jak strzała ku drzwiom. Właśnie ma przekroczyć próg, gdy pani zagradza mu drogę wskaźnikiem i pyta, dokąd Mały Nils się wybiera i dlaczego.

— Na pole, wyszczać się — odpowiada rezolutnie chłopiec.

Pani blednie.

Uderzywszy wskaźnikiem w katedrę, tłumaczy Małemu Nilsowi, że jeżeli chce wyjść za potrzebą, to musi najpierw podnieść rękę, poczekać na swoją kolej, a dopiero później poprosić o pozwolenie.

— Należy powiedzieć: „Poproszę o pozwolenie na opuszczenie klasy, ponieważ muszę oddać mocz”  
201

— mówi pani, przy każdym słowie uderzając wskaźnikiem w katedrę.

Mały Nils, usatysfakcjonowany tym, że to katedra

zbiera baty, a nie on, zapomina, dokąd miał pójść, i si-  
ka w spodnie.

Nastaje przerwa obiadowa.

Mały Nils właśnie ma zostać wrzucony do potoku,  
ale ratuje go dzwonek na kolejną lekcję. Pani stoi na  
schodach z dzwonkiem w ręku, dzieci wmaszerowu-  
ją szeregami do klasy.

Zaczynają się rachunki.

Akurat tutaj nie ma to żadnego znaczenia, ale tak  
wtedy mówiono: rachunki, a nie matematyka.

Mały Nils siedzi i liczy, od wymazywania cyfr zro-  
biła się dziura w zeszytcie, w pewnym momencie jed-  
nak chłopiec czuje, że znów nadeszła pora. Tym ra-  
zem podnosi rękę.

Pani uśmiecha się łaskawie i wymierzając w Małe-  
go Nilsa wskaźnik, udziela chłopcu głosu.

Mały Nils podrywa się z ławki jak namydłony le-  
ming i wyrzuca z siebie piskliwym głosem:

— Poproszę o pozwolenie na opuszczenie klasy,  
ponieważ muszę oddać gównno.

**PRZEJAZDEM**

Dzieciństwo było drogą transportową, autostradą,  
którą należało pokonać z największą dozwoloną pręd-  
kością, by dotrzeć do prawdziwego życia. W prawdzi-  
wym życiu można bowiem było iść do łóżka, kiedy się  
chce, i czytać do późna w nocy.

Prawdziwe życie było zawsze gdzie indziej, na po-  
łudniu i w Sztokholmie, prawdziwe życie pojawiało  
się na moment, gdy zimowym wieczorem przemykał  
po torach pociąg; stałyśmy przy nasypie, zasmarkane  
wiejskie dzieciaki, i machałyśmy rękami jak opętane,  
choć nikt nigdy nam nie odmachiwał. Pasażerowie  
w przedziałach nie widzieli nas, zajęci czytaniem ko-  
lorowych czasopism i obieraniem pomarańczy, w dro-  
dze do prawdziwego życia w Sztokholmie. A my, po-  
siniałe z zimna, przecinając pokryte szrenią pola,  
wracałyśmy na fińskich sankach\* każda do swojego  
nierzeczywistego dzieciństwa.

Nie należę do ludzi wspominających beztroską  
dziecięcą radość. Dzieciństwo było czymś jak najbar-  
dziej poważnym, czymś obciążonym ogromną odpo-  
\* Fińskie sanki — rodzaj dwuśladowej hulajnogi na płozach, zi-  
mą powszechny środek lokomocji w północnej Szwecji i Fin-  
landii.

203

wiedzialnością, czymś, od czego jak najszybciej trzeba  
się było uwolnić.

Dlatego tak ciężko mi odtworzyć wspomnienia  
z tamtego okresu, dlatego tak niestrudzenie na nie  
poluję. Dlatego tak ubarwiam swoje dzieciństwo, na-  
daję mu jaśniejsze kolory, dlatego tak dramatyzuję  
i inscenizuję.

Te wszystkie rzeczy, obecne na co dzień, były zarówno oczywiste jak i osobliwe — pierwiosniki i konwalie, rydze i podbiały, gra w kulki i w klasy, urządzenie biegów zjazdowych prosto pod koła nadjeżdżającego szynobusu — to wszystko pojawiło się później.

W samym dzieciństwie byłam tylko przejazdem.

Dziadek 3

### DZIADEK I STATYSTYKA

Pamiętam Óstersund, lodowate miasto na skarpie wpadającej do jeziora Storsjon. Pamiętam zamrożone wody jeziora, miałam jedenaście lat.

Każdego ranka wbiegałam zziębnięta i spóźniona do klasy 15C, ze swoim dialektem i pionierkami, które zawsze były za duże.

Szynobus nigdy nie przyjeżdżał na czas.

Wszyscy w mojej klasie pochodzili z miasta. I gapili się na mnie, siedząc już od dawna w ławkach. Przyjechali tutaj autobusami miejskimi ze swoich nowoczesnych bloków, wyposażonych w lodówki i zsypy na śmieci.

Niektórzy mieli windę, niepełnoletnim wolno było z niej korzystać tylko w towarzystwie dorosłych. Taką informację wygrawerowano na mosiężnej tabliczce, jasno i wyraźnie.

Miejskie dzieci olewały tabliczkę z góry na dół.

Jeździły windą tam i z powrotem, straszyły kobiety na klatce schodowej, drażniły się z pijaczkami pod monopolowym, przeklinały „kurwa mać”.

Podprowadzały balonówki w Tempie, zbierały zdjęcia gwiazd filmowych, strzelały z balonów. Mia-205

by ojców, którzy w marynarkach, białych koszulach i pod krawatem przesiadywali w biurach.

Ja miałam dziadka.

To on budził mnie codziennie o piątej rano. Przychodził z obory, w której właśnie nastawił dojarkę.

A wcześniej zdążył też napalić w piecu, ugotować kawę, lekko paloną, i zrobić kanapki — jedną z kozim serem, drugą z wędzonym boczkiem.

Z radia sączyła się muzyka, pod kuchnią buzował ogień.

Przy piecu, w pudełku wypełnionym watą, leżało prosię odrzucone przez maciorę. Karmiłam je przez smoczek rozcieńczonym mlekiem, a ono, śliniąc się, patrzyło na mnie swym prosięcym spojrzeniem, niewdzięczne i całe różowe jak świnka.

W wiadomościach mówiono o wojnie w Korei i Anicie Ekberg, w prognozie pogody dla środkowej Norlandii ostrzegano przed śnieżycą, porywistym wiatrem i śliskimi drogami.

Czytałam Księgę Hioba na lekcję religii.

„Płacz stał mi się pożywieniem...”

A później sznurowałam pionierki, biegłam na przystanek i zatrzymywałam żółty szynobus pod semaforem.

Szynobus był zawsze pełen ludzi.

Siedzieli w nim biedni chłopci, którzy dostali pracę w mieście. Przemysłu było ciągle mało, ale gdy spółdzielnia spożywców sprowadziła na północ szwalnię biustonoszy, kobiety już przestały je nosić.

206

My, dzieci w wieku szkolnym, tłoczyliśmy się w jednym kącie. Stałam przyklejona do dziewczynki z wyższej klasy. Jadła czekoladę. W przedziale było potwornie gorąco, czekolada miała krówkowe nadzienie, widziałam, jak spływało w szeroko otwarte usta dziewczynki, widziałam jej kołyszący się u podniebienia języczek.

A za oknami migały połacie skrzącego się szronu, pola otulone mleczną mgłą, brzozy przybrane w lśniące igielki lodu — niezemskie piękno, niewidoczne z okien fabryk i szkół.

Ta z wyższej klasy czytała na głos tekst z opakowania po czekoladzie:

„Trudno jest powiedzieć «stop!», nadgryzając baton Plopp”.

Kiedy zatrzymywaliśmy się na torze drugim, zawsze z opóźnieniem, ta z wyższej klasy, w skórzanych kozaczkach, wysiadała pierwsza.

Zapach palonej kawy i mroźnego powietrza. Zimowo granatowe miasto budziło się ze snu, a ja byłam śmiertelnie zmęczona i przekonana, że nigdy nie skończę dwunastu lat i że pionierki już zawsze będą za duże.

Ta w skórzanych kozaczkach biegła nieprześcigniona, długimi nogami bez wysiłku pokonywała strome zbocze, podczas gdy ja, ślizgając się, próbowałam niezdarnie nadążyć za nią, jeden krok do przodu, dwa do tyłu. Zakłady przemysłowe po drugiej stronie leżały na jeszcze bardziej stromym stoku, jeszcze bardziej skąpo posypanym piaskiem.

207

Nasza szkoła znajdowała się na samym końcu, za ratuszem i za dworcem autobusowym.

Zbudowana na planie czworokąta, była niskim szarobrazowym, szorstkim kłosem o ostrych kantach. Nauczyciele byli podobni. Pan od muzyki grał nudny, czechosłowacki utwór Weltawa, a później wrywał nam garściami włosy, tylko dlatego, że chłopiec podobny do Elvise nie słuchał wystarczająco uważnie. Miejskie dzieci nazywały pana od muzyki „cholerny Weltawik”, a ja kochałam się rozpaczliwie w chłopcu podobnym do Elvise. Zaczesała ciemna grzywa,



skórzana kurtka, gumowce.

Nie wydawano nam w szkole posiłków.

Na przerwie obiadowej miejskie dzieci biegły do domu, w którym czekała albo mama, niewykluczone, że upudrowana nawet w środku tygodnia, i na pewno odziana w słodki fartuszek, albo przynajmniej ugotowana przez nią wcześniej pyszna zupa.

Z włączonego radia rozbrzmiewał może wiersz dnia, czytany przez Ulfa Palmego i Anitę Björk, albo ostatnie notowania giełdy — Pripp i Lyckholm, Aga, Alfa Laval...

My, wsiowi, jedliśmy w piwnicznej jadalni pod salą gimnastyczną. W specjalnych piecykach i na elektrycznych płytkach odgrzewaliśmy sobie swoje chłopskie dania — cielęcy taniec, kiszkę, sine kluski z wieprzowiną, wielokrotnie przypalane; odór spalenizny mieszał się z zapachem sali gimnastycznej.

208

Siedziałam więc w tej piwnicznej jadalni z innymi wiejskimi dziećmi, przeżuwałam kolejny kęs chleba i byłam tam, ale jakby mnie nie było; opuszczając tę przypaloną rzeczywistość, zagłębiałam się w inną, tę z pożyczonych książek, czasami lepszą, czasami gorszą — pamiętam umierającego z głodu i na suchoty mediolańskiego kominiarczyka z powieści Lisy Tetzner.

Ta z wyższej klasy stołowała się w barze Ringbar, gdzie w skład codziennego lunchu na kupony wchodziła świeża, chrupiąca bułeczka. I oranżada o dowolnym smaku.

Chleb, który przeżuwałam pod salą gimnastyczną, piekła moja babcia.

Widziałam wyraźnie jej białe ręce, ogień, mur, drewnianą łopatę i wiadra z krwią, dodawaną do specjalnych podpłomyków pieczonych po uboju, i chciałam o tym wszystkim zapomnieć. Udawałam, że nie widzę blachy, ognia i chleba, ani chrupkiego, ani świeżego.

Miejskie dzieci kupowały w ciastkarni słodkie bułeczki, a w kiosku — herbatniki Mariekex, miejskie dzieci nie nosiły szytych w domu ubrań i nie jadły podpłomyków domowej roboty.

Chciałam zapomnieć o swojej wsi, o stodołach na zboczach spadającym w stronę lasu, o zorzy polarnej i bezmiarze nieba, zapomnieć o potoku, w którym mama i sąsiadki prały dywaniki z gałganków, zapo-

209

mnieć zapach szarego mydła i smak wafelków z kardamonem, zapomnieć o dożynkach, potańcówkach w Mansta i ogniskach w noc Walpurgii.

Miejskie dzieci żują gumę Bugg i jedzą ciepłe kiełbaski, chodzą na poranki, obrzucają się papierkami po

cukierkach i wrzeszczą.

Miejskie dzieci nie mówią dialektem i nie noszą za dużych pionierek.

Jeżeli chodzi o mnie, to moją wieś mógł trafić szlag, za wszelką cenę chciałam zostać mieszcuchem.

— Statystyka potwierdza, że wieśniacy to zbiorowisko wsiowych głupków — powiedziała kiedyś dziewczyna siedząca obok mnie w klasie. Jej ojciec był właścicielem fabryki pod Sztokholmem, a mama zajmowała się statystyką.

— Zresztą — dodała — to słyhać w nazwie. Chłop to wieśniak, a wieśniak ma mniej rozumu i mniejszą wartość. To oczywiste — powiedziała. — Zresztą potwierdza to statystyka. Testy inteligencji wykazują, że ludzie z miast są bardziej inteligentni.

Ogarnął mnie ogromny wstyd i nie byłam w stanie się bronić.

A co mówi statystyka o żalu za Arnljotem?

Za złocistobrazowym koniem ardeńskim z błyszczącą grzywą i ciepłym grzbietem, gdy dosiadałam go na oklep w słońcu; trudno o większe poczucie bezpieczeństwa.

A później słońce zaszło i nastąpiła zima.

210

Któregoś poranka dziadek nie obudził mnie na szynobus; w palenisku leżał szary i zimny popiół z poprzedniego dnia.

Biegłam przez podwórko czerwone jak krew, bo to była krew.

Arnljot.

Przyjechał weterynarz, wezwany nocą.

Zastrzelił Arnljota czarną maską, zakładaną zwierzętom przed ubojem.

— Z litości — powiedział dziadek.

Ktoś zostawił przy boksie worek owsa, z przejeżdżenia koniowi rozsadziło jelita, jakież to musiał być przejmujący ból!

Czy miejskie dziecko potrafi sobie wyobrazić ryk ardena tuż przed śmiercią? Czy ma ten rodzaj inteligencji?

Chciałam żyć bez tych wspomnień, pozbyć się dialektu i pionierek, nie miałam ochoty odgrzewać obiadów w podziemnej jadalni.

Powiedziałam o tym dziadkowi, a on na to:

— Aha.

A później zaczęłam jadać w szkole gospodarstwa domowego, na przykład zupę z sago, naprawdę! Podawano do stołów nakrytych białym obrusem, na każdym stała doniczka z niecierpkim, a praktykujący uczniowie pytali uprzejmie, czy nie chciałabym na deser banana.

Dostałam gumowce, prawdziwie czarne i błysz-

czące. Gdy dziadek nie widział, wywijałam cholewki,  
211

na których napisałam ELVIS, i włączałam się po mie-  
ście ze szkolną paczką. Byłam gorsza od najgorszego  
mieszczucha. Rozbijałam się po kryjomu windami,  
pohukiwałam na staruszki i podprowadzałam sło-  
dycze w Tempie. Na przykład batony Plopp, którymi  
częstowałam później tę z wyższej klasy, wyklinając na  
spóźniony szynobus — cholerna kolej!

Pewnego ranka spóźniłam się na religię, nauczyciel  
przerwał w połowie Jezusowego „Kazania na górze”  
— Nie sądzicie, abyście nie byli... — i wpisał spóźnie-  
nie do dziennika. Nauczyciel był ze Sztokholmu, klasa  
nie spuszczała z nas wzroku. A ja odpowiedziałam:  
— Cholerny dupek!

Czystym szwedzkim, krnąbrnie, głośno.  
Semestr wiosenny przebiegał bez zakłóceń, przy-  
szło zakończenie roku, śpiewaliśmy o tym, że „właśnie  
nadchodzi kwiecień czas”. Nauczyciel religii rozdawał  
świadczenia w zaklejonych kopertach. Od dziadka do-  
stałam sandały na obcasie, w kolorze byczej krwi, od  
nauczyciela zaś — trójkę ze sprawowania. Czarno na  
białym, ciemnym atramentem. Byłam jedyną uczen-  
nicą z obniżonym stopniem z zachowania. Przed roz-  
poczęciem kolejnego semestru świadectwo musiał po-  
twierdzić mój prawny opiekun, czyli dziadek.

Miejskie dzieci pobiegły do swoich domów, w któ-  
rych dumni ojcowie radośnie podpisywali cenzurki  
i z pewnością częstowali swoje pociechy lodami cassate.  
Wracałam do wsi w tych krwistoczerwonych san-  
dałach i w całkowitym milczeniu.

212

Nadchodzące lato różniło się od innych.

W noc świętojańską przemarzły ziemniaki, a w są-  
siedniej wsi urodziło się ciele z trzema nogami i po-  
dobno bez serca.

Prosię w kartonie po butach marniało z dnia na  
dzień, aż w końcu pewnego dnia zamknęło oczy i —  
puściwszy ostatniego baka — zdechło.

W naszej parafii nikt nigdy nie dostał obniżonego  
stopnia ze sprawowania, a ja na domiar złego byłam  
dziewczynką, o wstydzie!

Dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego wsta-  
wał w szarym dżdżu. Przybierający na sile deszcz za-  
czął marznąć, założyłam pionierki — nareszcie były  
w sam raz. Postanowiłam skoczyć z silosu albo utopić  
się w jeziorze.

Dziadek przerwał wybieranie gnoju i podniósł rę-  
kę na powitanie, ale przyjrząwszy mi się dokładniej,  
zaraz ją opuścił.

Szłam przed siebie, byle dalej, a dziadek za mną.

Wędrowaliśmy w milczeniu. Ze wzrokiem wbitym

w ziemię kopałam grzyby rosnące przy bezdennym jeziorze.

Deszcz ustawał, pękały pajęczynowe bąbelki, w końcu runęła cała sieć; rozgniotłam bezmyślnie pająka. Zatrzymałam się przed muchomorem, wyciągnęłam świadectwo z za pazuchy, gdzie chowałam je przez całe lato, i wręczyłam dziadkowi.

Wyglądziwszy je obiema dłońmi, zaczął czytać bez pośpiechu, podczas gdy ja obrywałam cętki mucho-  
213

mora. Najpierw jedną, później drugą, i tak do ostatniej. Potem cisnęłam grzyb na ziemię.

— Aha — powiedział dziadek.

Wyłuskał z kieszonki kombinezonu króciutki ołówek kopiowy, splunął na rysik i złożył swój podpis.

W następnym semestrze wynajął dla mnie pokój u swojej dalekiej kuzynki; miałam teraz własny kąpielownię, komodę z lustrem i plisowaną kotarę. Mieszkałam u właścicielki piekarni, w której pieczono najsmaczniejsze bułeczki kardamonowe w całym Östersund. Moją daleką krewną w każdą środę zabierała mnie do kina; obejrzałam między innymi Siódme niebo z Sikan Carlsson i Hassę Ekmanem, film był niedozwolony dla dzieci, ale kuzynka dziadka zapewniła biletera, że za miesiąc będę miała urodziny.

Pod koniec każdego tygodnia żegnała się ze mną na dworcu autobusowym — jeździłam teraz autobusem podmiejskim, by uniknąć towarzystwa tej z wyższej klasy, w skórzanych kozaczkach i z czekoladą Plopp.

Dziadek czekał na przystanku we wsi i w drodze do domu pozwalał mi prowadzić moped.

Wieczorem graliśmy z babcią w chińczyka i jedliśmy rurki bez kremu. W pudełku po butach zamieszkały nowe prosięta; większość z nich przeżyła i na Boże Narodzenie zamieniła się w szynkę i salceson.

Od tego czasu nie mam zaufania do statystyki i nie wierzę w to, co miejskie dzieci mówią o inteligencji chłopca.

214

## STOKIEM NARCIARSKIM CZY ZBOCZEM WĄWOZU

W dzieciństwie przez pewien czas mieszkałam na stoku narciarskim na wyspie Frosón. Już po ukończeniu szkoły wiejskiej w Bjarmelund, ale przed okresem na Angermannagatan pod Sztokholmem; chodziłam wtedy do gimnazjum w zespole szkół ÖHAL w Östersund.

Każdego dnia po lekcjach zakładałam anorak i spodnie narciarskie, przerzucałam przez ramię narty i wjeżdżałam wyciągiem na sam szczyt Frósöbacken. W dół zjeżdżało się na dwa sposoby. Stokiem nar-

ciarskim albo zboczem wąwozu.

Nigdy nie chodziłam do żadnej szkółki narciarskiej, nigdy nie ukończyłam żadnego kursu, ani indywidualnie, ani w grupie. Zanim zaliczyłam pierwszy slalom, nie wiedziałam, że potrafię uprawiać narciarstwo zjazdowe.

Być może wszyscy mieszkańcy górskich terenów środkowej Norlandii rodzą się z tą umiejętnością, chociaż nie wszyscy o niej wiedzą i tylko niewielu ją wykorzystuje.

Nie korzystali z niej: momma i jej siostra Regina, dziadek oraz inni z ich pokolenia. Zakładali narty tylko wtedy, gdy nie odśnieżono na czas drogi, a trze-

216

ba było po coś pojechać, coś zostawić, pomóc komuś w potrzebie. Jeździć na nartach dla rozrywki, wjeżdżać wyciągiem na górę tylko po to, żeby znów zjechać w dół? Nie, w ich czasach takie rzeczy były nie do pomyslenia.

W świecie moffy i mommy nie istniały ani urlopy, ani pozazawodowe pasje, rządziło to, co pożyteczne.

Przymus, obowiązek i konieczność. Potrzeba.

Musieli radzić sobie w takich, a nie innych warunkach życiowych.

Moffa czynił to z uśmiechem na twarzy, momma — narzekając, ale żadne z nich nie jeździło na nartach bez celu.

Zupełnie inaczej wyglądał świat rodziców mojego ojca.

U nich grało się w tenisa, pływało żaglówką, jeździło na łyżwach i nartach, wzdłuż i wszerz.

Moje pokolenie było pierwszą generacją, która cała poświęciła się zajęciom bez celu.

Z moim pokoleniem pojawiły się na świecie rozrzutność i marnotrawstwo. Gdy starsi ostrzegali przed skutkami naszej niegospodarności, gardziliśmy ich staromodnym sposobem myślenia, ponieważ nigdy nie doświadczyliśmy biedy na własnej skórze.

Nieuchronny koniec świata, spowodowany naszą niedbałością i marnotrawstwem, wiązał się oczywiście z nieustannymi „olaboga” i „Ruscy idą!” mojej babci w Jamtlandii.

217

W gruncie rzeczy nadal nie przejmujemy się następstwami naszej lekkomyślności, chociaż dzisiaj wiemy już, że w ciągu życia kilku pokoleń grozi nam unicestwienie całej planety.

Nie wierzyliśmy w Boga, a nasza egzystencja nie była uzależniona od wspólnoty wiejskiej. Z nami pojawiły się pralka, lodówka, a po pewnym czasie —

telewizja.

To nasza wina, że momma na stare lata zachwycała się Arne Weisem\*. Gdyby nie my — w dalszym ciągu siedziałyby przy piecu i przędła kądziel.

Rozwodząc się szeroko nad utraconym dobrem i zastępującym je złem, podejmujemy jednak spore ryzyko. Niezmiernie łatwo wpaść w pułapkę nostalgii i znaleźć się w podejrzanym towarzystwie.

Kiedy zaczynamy rozprawiać na temat starych dobrych czasów, nagle odkrywamy, że otaczają nas folklorysty, ludoznawcy i genealodzy.

Odmalowując w romantyczny sposób wiosenne pranie w bystrym potoku, przedstawiając barwnie kobiety, które tłuką kijankami w rozłożone na kamieniach dywaniki z gałganków, opisując buchającą w niebo parę z kadzi i zapach szarego mydła, postępujemy nieodpowiedzialnie i niewybaczalnie. Takie podkolorowane obrazy maluje tylko ktoś, kto stracił kontakt z rzeczywistością.

\* Arne Weise — ur. w 1930 r., dziennikarz, popularna osobowość telewizyjna, znany m.in. z prowadzonych przez 30 lat wieczorów wigilijnych.

218

Ktoś, kto nie wie, jak było naprawdę. Ktoś zdegenerowany. Ktoś z mojego pokolenia albo ze Sztokholmu.

Ktoś, kto nigdy nie poczuł bezlitosnego ciężaru mokrych dywanów i bólu dłoni skostniałych w lodowatej wodzie. Ktoś, kto nie ma pojęcia, jak dużo zostawało zawsze do powieszenia na strychu i do wyprasowania w kuchni, jak długo na piecu rozgrzewało się żelazko; ktoś, kto nie wie, że żelazko było z żelaza i ciężkie jak ołów.

Gdy latem krowy wypasały się w górach, czyściło się oborę. Wynosiło się przegrody, zamiatało każdy kąt, zdrapywało zaschłe gówna, szorowało na kolana wodą z szarym mydłem.

Tego jeszcze brakowało, żeby dzieciaki nie przyszły z pomocą! Każde miało swoją szczotkę ryżową. Podobnie było w czasie kośby, zwózki siana i jęczmienia; tyle tego było, te wszystkie ziemniaki, które musieliśmy zakopać, a później wykopać.

Wszystko było konieczne i zawsze było coś do zrobienia.

Nikt z pokolenia mommy czy mamy nie miał różowych rękawiczek ochronnych, a gdyby któraś kobieta przyszła w takich do prania w potoku, zostałaaby wykluczona ze wspólnoty wiejskiej, zaś różowe rękawiczki z gumy wyleciałyby jako pierwsze.

Wraz z moim pokoleniem pojawiły się rękawiczki z różowej gumy, beztróskie używanie życia i krótkowzroczne zaspokajanie własnych potrzeb. A ludzie

beztrosko używający życia i krótkowzrocznie zaspokajający własne potrzeby nie czują się odpowiedzialni za konsekwencje swoich działań.

Nawet jeżeli to nie moje pokolenie odkryło indywidualizm, to z pewnością byliśmy jego zwolennikami.

Nie będąc klasą ani wyższą, ani zamożną.

To alarmujące, że losy świata ma dzisiaj w swoich rękach właśnie moje pokolenie. Demokracja pośrednia jest niewątpliwie dobrym systemem, dopóki reprezentanci społeczeństwa reprezentują ogół, a nie siebie samych.

Socjaldemokracja, której podwaliny tworzył mój dziadek, ma tyle wspólnego z dzisiejszą socjaldemokracją, co kiszony śledź z truflą, a przecież od obecnego rządu dzielią moffę zaledwie dwa pokolenia.

Gdyby moja generacja miała większe poczucie odpowiedzialności, być może szwedzkie społeczeństwo bardziej przypominałoby model budowany przez dziadka.

Moje zainteresowanie stokiem narciarskim wynikało stąd, że dostałam pokój z pełnym utrzymaniem u mamy koleżanki, która mieszkała na Frósón. Daleka kuzynka dziadka zachorowała na raka, przeprowadziłam się więc na Frósón i miałam — jak to się mówi, gdy chodzi o przykre doświadczenia — zobaczyć, gdzie raki zimują.

Gdybym przyznała się we wsi, że mieszkam na wyspie, zrobiłoby się wielkie halo i olaboga.

220

Mieszkać na Frósón znaczyło bowiem mieszkać w tamtejszym wojewódzkim szpitalu psychiatrycznym. Na Frósón przyjeżdżali chorzy nerwowo i wariaci, ludzie, którzy próbowali się powiesić, ale im nie wyszło, ludzie, którzy nie potrafili zrobić pętli albo naładować sztucera, ci rozwrzeszczani, z pianą na ustach, i ci w głębokiej depresji.

Choroba psychiczna nie jest żadnym nowym wynalazkiem i nie nadeszła z urbanizacją, nowoczesnością i wynaturzeniem socjaldemokracji.

Choroba psychiczna istniała od zarania dziejów i ten, kto myśli, że depresja pojawiła się jednocześnie z prozakiem, nie ma pojęcia o monumentalnej melancholii w górach środkowej Norlandii, gdy byłam dzieckiem.

Depresja, która ogarnia cię z nadejściem ciemności, i to uczucie, że nie masz przed sobą nic oprócz stu kilometrów świerkowego lasu, ta depresja jest cięższa niż Areskutan.

Jesteś zupełnie sam wobec wszystkiego i wszystko jest przeciw tobie, i wszystko jest gigantyczne. Nie skończone i twarde jak diament.

Rozgwieżdżone niebo, zorza polarna, wieczna zmarzlina, zamrożone do głębi leśne jeziora. Granatowe wiosny.

Nie ma nic bardziej niebieskiego niż wiosny w górach środkowej Norlandii, one są jak stal, szatkują zmysły i uśmiercają sen.

221

Słowo blues wziął ze sobą do Ameryki mieszkaniec Hackas. Biedny emigrant nie miał nic innego do zabrania. Nic oprócz wspomnienia tych niebieskich wiosen.

Koleżanka, u której dostałam pokój z pełnym utrzymaniem — za opłatą, o czym nie omieszkały przypominać przy każdej nadarzającej się okazji i ona, i jej mama — no więc i ta koleżanka, i jej mama przyjechały tu ze Sztokholmu.

W moim mniemaniu ich dobrowolna przeprowadzka z Sundbyberg pod Sztokholmem na Frósón dowodziła choroby umysłowej.

Żeby zrobić coś takiego, trzeba być albo szaleńcem, albo przestępcą. Może ta kobieta coś ukradła, może popełniła jakieś inne przestępstwo, może jej córka skompromitowała się w Sundbyberg? Może zrobiła coś, czego nie wolno robić dziewczynkom nawet w okolicach Sztokholmu? Coś musiało się wydarzyć; to niemożliwe, żeby przeprowadziły się ot tak, bez powodu, musiała się za tym kryć jakaś historia.

Jeżeli faktycznie za przeprowadzką kryła się jakaś historia, to była ich historia, nie moja.

W wyniku okoliczności, na które nie miałam wpływu, musiałam zamieszkać właśnie w tym, a nie innym pokoju na wyspie Frósón; to była moja historia i równocześnie jedyna, która mnie interesowała. W każdym calu stanowię wspaniały przykład szwedzkiej jednostki urodzonej po wojnie.

223

W domu koleżanki obowiązywały reguły ustalone przez jej matkę.

Przy stole nie wolno było powiedzieć: „Jestem najedzona”. Mówiło się: „Jestem zadowolona”.

Najedzone były zwierzęta, najedzeni mogli być też wieśniacy.

Nie chodziło się do ubikacji, tylko przypudrować nos.

Ścieląc łóżko, brzegi kołdry należało włożyć pod materac tak dokładnie, żeby nie można się było pod nią wcisnąć.

Życie według tysiąca i jednej zasady. Nie pamiętam, co mi groziło za ich nieprzestrzeganie.

Wiem, że wyciągano jakieś konsekwencje, ale ich nie pamiętam.



W głowie, w której oprócz wspomnień owych konsekwencji powinny znajdować się również inne wspomnienia, mam tylko dziurę. Od czasu kiedy opuściłam wieś, moja pamięć przypomina starą strzelnicę — dziura na dziurze.

Z okresu na Fróson mam tylko jedno wyraźne wspomnienie, ale ponieważ już o nim kiedyś opowiadałam, nie jestem pewna, czy to wydarzyło się naprawdę.

Każde opowiadanie jakiejś historii oddala ją od rzeczywistości z prędkością mieszczącą się gdzieś pomiędzy prędkością dźwięku a prędkością światła.

Wspomnienie dotyczy operetki Franza Lehara Kraina uśmiechu, wystawianej gościnnie w Óstersund. Go-

224  
spodni nie chciała mnie ze sobą zabrać, ponieważ to miał być wyjazd rodzinny.

Mimo że dostałam pieniądze od dziadka.

Trudno uwierzyć, że to prawda, ale przecież Tage Danielsson wyjaśnił kiedyś, jak to bywa z prawdopodobieństwem. W jego skeczu chodziło o awarię w amerykańskiej elektrowni atomowej; o wypadek, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinien się być wydarzyć, ale jednak się wydarzył.

W porównaniu z awarią reaktora jądrowego moja niedoszła wycieczka do Óstersund nie jest warta wyczerpujących opisów. Może nawet nieobejrzenie Krainy uśmiechu wyszło mi na dobre.

Gdyby moje dzieciństwo było pełne gościnnych występów operetki i gdybym po każdym posiłku mogła powiedzieć, że jestem najedzona, może nie zostałabym pisarką i byłby to mój Czarnobyl.

Ofiary katastrofy w Czarnobylu — ale tylko one — mają prawo pociągnąć mnie do odpowiedzialności za taką toporną metaforę.

Zawsze wjeżdżałam wyciągiem na samą górę; można było wsiąść wcześniej, w połowie drogi, i zjechać z o wiele łagodniejszego stoku, ale nigdy nie skorzystałam z tej możliwości.

Jechałam aż do końca, gdzie wyciąg nawracał, i — wzorem najlepszych — zeskakiwałam lekko w biegu. Później, stojąc na samym szczycie, patrzyłam w dół. Najwyższy stok był najbardziej stromy,  
225

następny — o wiele łagodniejszy, a między nimi przebiegał wąwóz.

Przynajmniej tak to zapamiętałam. Nie wiem, czy z czasem nie zmieniają się również stoki narciarskie, czy nie niszczeję i nie zużywają się w trudnych warunkach atmosferycznych, nie wiem, czy jest w zwyczaju przerabianie ich za pomocą koparek, walców i dynamitu.

Mogłabym zapytać kuzyna, który wysadza skały i buduje drogi na zachodnim wybrzeżu, ale tak jak wszyscy zdolni do pracy mężczyźni z mojej wsi, wyjechał na południe kraju. I wysadza w powietrze, kładzie asfalt i beton.

Czasami płatałyśmy z koleżanką telefoniczne figle. Wyszukawszy w książce telefonicznej osobę o nazwisku Kowal, dzwoniłyśmy do niej i pytałyśmy: „Czy to Kowal na Storgatan?”. A kiedy nagabywany odpowiadał twierdząco, krzyczałyśmy: „No, to kuj żelazo, póki gorące!”, po czym rzucałyśmy słuchawkę. I to była cała zabawa.

Chcąc rozdrażnić kierowcę autobusu szkolnego, próbowałyśmy kiedyś zapłacić za bilet dwudziestoma pięcioma najdrobniejszymi monetami.

Tak się zezłościł, że wyrzucił nas z autobusu.

Wygląda na to, że w tamtych czasach wszystko kosztowało dwadzieścia pięć óre. Oprócz mojego pokaju z utrzymaniem.

Płaciła za nie mama.

226

Moja mama pochodzi ze wsi i należy do pokolenia oraz klasy społecznej, w których sprawą honoru jest życie na własny koszt. Dlatego też nigdy nie wybaczę mojej gospodyni krzywdzących słów, którymi oskarżała mamę o zwleknięcie z opłatą.

Nigdy jej tego nie wybaczę. Do końca życia jej tego nie wybaczę, a moje pokolenie będzie żyło najdłużej ze wszystkich żyjących do tej pory, a po nas przyjdą kolejne i będą wymierać jedno po drugim, ale w moim pokoleniu będziemy żyć po sto lat i nawet wtedy jej nie wybaczę.

Moja mama nie jest darmozjadem.

Ot co!

W tamtym czasie byłam nieszczęśliwie zakochana w dwóch chłopcach — jeden chodził do mojej klasy, a drugi mieszkał na Frósón.

Tego ostatniego zupełnie nie znałam, widywałam go na stoku narciarskim, ale on nawet na mnie nie spojrzał.

Zwrócił na mnie uwagę jeden jedyny raz, gdy wyrzucono nas z autobusu. Chociaż w gruncie rzeczy jego zainteresowanie wzbudziła chyba moja koleżanka: słodka, o wielkich brązowych oczach i długich rzęsach sarenki, podczas gdy mnie trudno było wtedy porównać do czegoś innego niż do prosiaka.

Gdyby można było zobaczyć własną linię życia, gdybym któregoś dnia, mieszkając na Frósón, zobaczyła siebie samą, jak w wieku trzydziestu trzech lat,

227

słodka jak kostka cukru, zdobię okładkę pisma dla kobiet, byłabym ogromnie zdziwiona.

Ale to i tak nie uśmierzyłoby bólu, który wtedy czułam, mając świadomość, że chłopak z wyspy nie zwraca na mnie uwagi.

Pewnego razu przyjechał do mnie w odwiedzinach dziadek ze Sztokholmu. Moje notowania u gospodyni znacznie wzrosły, przynajmniej na czas jego pobytu na Frósón.

Dziadek był bowiem nie tylko sławny i zamożny, ale również ze stolicy.

To oczywiście, że gospodyni nieustannie mu nadskakiwała.

Niepojęte, zagadkowe i trudne do zrozumienia jest natomiast to, że razem z córką gospodyni odważyliśmy się wtedy zrobić to, co zrobiłyśmy. Mało tego, zrobiłyśmy to tak dobrze, że wprawiliśmy i dziadka, i gospodynię w osłupienie, z którego nie mogli wyjść do samej śmierci.

Zatańczyliśmy rock and rolla do Rock around the clock Billa Haleya.

Niczym profesjonalni tancerze twista przerzucałyśmy się nawzajem nad głową, przez plecy i między nogami. Tańcząc zamasyście, wystukiwałyśmy rytm, ja też, i o dziwo — w tym samym takcie, co muzyka i koleżanka.

Ten sam dziadek, który w Sztokholmie spędzał wieczory, słuchając z babcią Beethovena albo prowa-

228  
dząc wykłady na temat plagi modernizmu i zagrożeń związanych z funkcjonalizmem, ten sam dziadek był zachwycony, a gospodyni oczywiście mu przyklaskała.

Zanim wyjechał, podarował mi dziesiątkę, zamiast pięćdziesiątki, którą dostałabym, gdyby w odwiedzinach przyjechał drugi dziadek.

Ale też mój moffa zmarł równie biednie, jak żył.

Odszedł w szpitalu miejskim w Óstersund.

Najbrzydsza budowla w kraju znajdowała się w Óstersund. Całe miasto było pełne brzydkich domów, oszklonych ulic i pochyłych placów, ale wieczorem ze szczytu Frósóbacken widziałam tylko migotliwy rój świateł.

Leżący nad zamrzniętym do głębi jeziorem Óstersund iskrzył się bajkowym blaskiem, jak Sztokholm. Momma nuciała od czasu do czasu: „słyszałam o mieście ponad obłokami”, i tak właśnie wyglądał Óstersund.

Drogę przez lód wytyczały reflektory samochodów, niczym znaki na niebie, a może i na ziemi.

Za każdym razem, gdy przemierzałam tę drogę samochodem prowadzonym przez ojca, byłam przekonana, że lada chwila umrę. Asa, moja młodsza siostra — też, ponieważ zawsze byliśmy razem.

Za chwilę umrzemy, tato, Asa i ja.

Nie tylko dlatego, że nasz tato prowadził jak wariat. Wiosną droga była otwarta tak długo, że słyszałam chlupot wody w koleinach i trzask pękającego lodu.

229

Miałam wrażenie, że cały samochód wypełnia się lodowatą wodą, że potwór z jeziora wciąga nas w jego bezdenność.

Gdy tato wjeżdżał na ląd po stronie Ornaku i gdy pod spętanymi łańcuchem kołami znów skrzypiał zbity śnieg, dziękowałam Bogu i byłam gotowa wstąpić do zboru zielonoświątkowców. Oczywiście przed tatą nie zdradziłam się ani słowem, trochę dlatego, że był komunistą, a trochę dlatego, że nie chciałam wyjść na bardziej bojaźliwą niż Asa.

Stojąc na szczycie stoku narciarskiego, nie myślałam nigdy o siostrze, o tym, że nasze drogi się rozeszły, że Asa nie spała już nade mną w piętrowym łóżku, że nie musiałam stawać z nią do zawodów.

Gdybym o niej pomyślała, rzuciłabym się w dół, zjechała po stoku i wpadła z wężozu prosto w tor wodny, którym przez cieśninę Vallsundet pływał prom.

Stojąc na szczycie stoku narciarskiego, myślałam tylko o jednym: o tym, jak zjechać w dół.

Czy pojechać wytyczonymi trasami — najpierw na stromym, a później łagodnym stoku, czy zboczem wężozu.

Zawsze wybierałam wężóz.

Moje życie na Frósón skończyło się tym, że wjechałam w jegomościa, który przyplątał się z łagodnego stoku do ujścia wężozu.

W tym samym momencie, w którym — zaczynając perfekcyjne hamowanie — z gracją złączyłam ko-

230

(ZBOCZE WĄWOZU NA FRÓSÓN, 1955)

łana, dostrzegłam przed sobą staruszka. Stał jak łoś na autostradzie.

Z wlepionymi we mnie ślepiami.

To nie moja wina, że musiał później przeleżeć parę tygodni w szpitalu w Ostersund ze złamaną nogą na wyciągu.

Gdyby to zależało ode mnie, umiejscowiłabym go od razu w szpitalu na Frósón.

Po okresie narciarskim już nigdy świadomie nie narażałam się na żadne niebezpieczeństwa. Z wyjątkiem okresu na Angermannagatan, żyłam niezwykle uprzywilejowanym życiem.

ANGERMANNAGATAN

Ulica, na której mieszkałam w rodzinie zastępczej, nazywała się Angermannagatan i nie wymyśliłby tego żaden pisarz. A gdyby wymyślił, musiałby to zmienić już w pierwszej wersji swego dzieła.

Ulica nazywała się Anger\*, czyli żal, i z żalem się wiąże.

Żal był częścią mojej spuścizny i nawet jeżeli wcześniej nie miałam o tym pojęcia, przekonałam się, że tak jest, kiedy mieszkałam na Angermannagatan.

Żałowała nie tylko ja, żałowała cała moja rodzina.

Nikt nie miał złych przeczuć, oprócz mommy, ale gdyby mommę nagle przestały nękać najgorsze przecucia, nie byłaby sobą.

Wszyscy doszli do tego samego wniosku, wszyscy sądzili, że Angermannagatan będzie dobrym rozwiązaniem w złej sytuacji, wszyscy byli co do tego zgodni, momma najmniej, ja — najbardziej.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić wspanialszej przygody niż samodzielna podróż pociągiem z Ostersund do Sztokholmu.

\* Anger—żał, skrucha; Sngra — żałować, rozmyślić się, zmienić zdanie.

233

W końcu miało się spełnić to, o czym marzyłam jako dziecko, gdy patrzyłam na pociągi mijające Faker za zakretem i machałam do pasażerów jedzących pomarańcze w rozświetlonych przedziałach. Zostawiałam za sobą wieś i dzieciństwo, teraz miało się zacząć prawdziwe życie, bo prawdziwe życie było w Sztokholmie.

Ani ja, ani nikt w mojej rodzinie nie przypuszczał, że marzenie skończy się już na stołecznym Dworcu Centralnym, gdzie rodzice zastępczy czekali na mnie przy torze drugim. Że posadzą mnie z tyłu swego ciemnego samochodu, że mężczyzna będzie palił bille bez filtra przy zamkniętych szczelnie oknach, że kobieta będzie przeraźliwie brzydko ubrana, że prosto z dworca pojedziemy na Angermannagatan, że nie będzie mi wolno przykrywać łóżka szarym kocem, który mama utkała z własnoręcznie gręplowanej wełny, i że nie będę mogła zamykać drzwi do swojego pokoju. O tym wszystkim nie pomyśleliśmy.

Rodzice zastępczy nie pomyśleli zaś o tym, że z pociągu wysiadł człowiek z przeszłością, ze swoim stylem i charakterem, a nie kolejne nieuformowane dziecko, które będą mogli ukształtować na własne podobieństwo.

Vallingby, gdzie leży ulica Angermannagatan, było pokazową przedmiejską dzielnicą.

Nie tylko dla moich rodziców zastępczych, ale również dla całego świata. Od Tokio po Mediolan

234

— Vallingby stanowiło wówczas wzór dla nowo powstających przedmieść; później stało się nawet przedmiotem filmów dokumentalnych, na przykład

Vallingby w moim sercu. W moim sercu nie zaistniało, ale gdy kręcono ów film, nikt nie zapytał mnie o zdanie.

Vallingby nazywano miastem ABC: Arbete, Bostad, Centrum\*.

A to znaczyło, że ktoś, kto zamieszkał w Vallingby, nie musiał go już nigdy opuszczać.

Angermannagatan 125, drugie piętro. Dwa pokoje z kuchnią i niewielką jadalnią. Przedpokój i łazienka. Mój pokój znajdował się w tej maleńkiej jadalni, w przechodnim pomieszczeniu z murzyńskimi głowami na ścianach. Przechodząc przez pokój, miałam wrażenie, że ceramiczni Murzyni gonią mnie wzrokiem.

— To dowód na to, że murzyńskie głowy są prawdziwą sztuką — skomentował mój zastępczy ojciec. W tamtych czasach dzisiejsze kulki kakaowe nazywano murzyńskimi, a orzechy jedzone na Boże Narodzenie — palcami Murzyna.

Ludzie nie słyszeli jeszcze o poprawności politycznej.

A szczególnie moi rodzice zastępczy.

\* Arbete, Bostad, Centrum — praca, mieszkanie, centrum.

236

Jadalnia leżała między kuchnią a przedpokojem i między kuchnią a dużym pokojem, a także między dużym pokojem i krótszą ścianą.

Jeżeli wliczyć okno, można było wejść do jadalni ze wszystkich stron.

A tak wyglądałby jej szkic.

(KOK — KUCHNIA, TOALETT — ŁAZIENKA, HALL — PRZEDPOKÓJ, SANG — ŁÓŻKO, N. HUVUD — M. GŁOWA, FÓNSTER — OKNO, VARDAGSRUM — DUŻY POKÓJ, NEGERHUWID — MURZYŃSKA GŁOWA, BORD — STÓŁ).

237

Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego nie wolno mi było zamykać drzwi do swojego pokoju. Nie wolno było i już. Zamknięte drzwi znaczyłyby, że miałam jakieś tajemnice, a w domu moich rodziców zastępczych nie było tajemnic.

Nie pozwolono mi zamykać drzwi i wybuchać gniewem.

Gdy czułam, że wzbiera we mnie złość, miałam liczyć do dziesięciu. Liczyłam do dziesięciu tysięcy. Przecież nawet w jadalni na Angermannagatan byłam ciągle sobą.

Liczyłam do dnia, w którym skończyłam pięćdziesiąt pięć lat. A później zerwałam z liczeniem i pojechałam do Finistere. Ale to już inna historia, zatytułowana Cena wody w Finistere.

Skok z okna w jadalni nie gwarantował śmierci, to było tylko drugie piętro.

Nie pamiętam, czy pod oknem rosły gęste chruściane krzewy, ale chyba tak. Kłujące krzaki o śnieżnobiałych jagodach, z których można było strzelać.

Wylądowałabym w tych białych kulkach najwyżej z paroma zadrapaniami. Nie złamałabym nawet palca, a już na pewno nie straciłabym życia.

Traci je natomiast każdy, kto skacze z mostu Golden Gate w San Francisco. Zderzające się z powierzchnią wody ciało imploduje i nie zostaje z niego prawie nic.

238

Żeby zapobiec złej sławie budowli, władze miasta utworzyły specjalne grupy wsparcia, które — patrolując most — wyszukują potencjalnych amatorów skoku. Ostrożnie nawiązują kontakt z taką osobą. Pytają o imię, samopoczucie i plany na kolejny dzień.

Ponoć właśnie te pytania o najbliższe plany zapobiegają samobójstwom najsukuteczniej.

Nikt zapytany o jutro nie ponowił próby skoku z mostu Golden Gate.

Dosyć trudno to zweryfikować, ale z tego, co wiem, właśnie tak to wygląda.

W Sztokholmie ludzie skakali wtedy z wieży Katarinahissen.

— Bo skoczę z Katarinahissen! — groziły często nastolatki, gdy mieszkałam na Angermannagatan. Albo: — Bo wskoczę do Strómmen!

Wieża Kaknastornet była wtedy jeszcze w budowie.

W Vallingby nie istniały tego typu charakterystyczne obiekty, i całe szczęście — dla mnie i dla całej rodziny.

Przystępując do konfirmacji, stałam się osobą wierzącą, co moi rodzice zastępczy potraktowali jako niepożądany skutek uboczny. W Vallingby konfirmacja była rytuałem społecznym, w który nie mieszano ani Boga, ani Jezusa.

Ja zaś odznaczałam się skrajną bogobojuścią.

239

W tym półrocznym okresie religijności nie byłam mniej nieszczęśliwa niż zwykle, ale gdy ów minął, poczułam się dwa razy bardziej nieszczęśliwa.

A przecież zawsze mogłam się poczuć jeszcze gorzej, zawsze mogłam przytyć kilogram albo dwa, zawsze był jakiś Lasse, Kjelle, Leff e czy Bengt, w którym mogłam się nieszczęśliwie zakochać.

Ciągle byłam nieszczęśliwie zakochana i nieustannie wierzyłam, że gdybym tylko schudła, to na pewno zakochałabym się szczęśliwie. Gdyby choć jeden z tych wszystkich Lassów, Kjellów, Leff ów albo Bengtów odwzajemnił moją nieszczęśliwą miłość, wszyst-

ko by się dobrze ułożyło.  
I tak też się stało, ale za późno.  
Zaznałam szczęścia, ale nie wtedy, kiedy było mi  
najbardziej potrzebne.

DOBRANOC

DROGI DZIENNICZKU!

Moffa nie palił. Mój tato też nie, tak jak żaden z mo-  
ich mężczyzn. Nigdy nie widziałam Kjella z papie-  
rosem.

Mój drugi dziadek palił cygaretki, jego żona nie,  
a sama myśl o palącej mommie była absurdalna.  
Mama wpadła w nałóg palenia, ale dzięki wspa-  
niałej sile woli udało jej się go rzucić.

Mnie nigdy nie udało się go pozbyć, choć przez  
całe życie próbowałam.

Palę, gdy piszę. Popiół spada na klawiaturę, a ja  
czuję zawroty głowy i nudności.

Każda nowa paczka jest droższa od poprzedniej,  
ale i tak ją kupuję. Camele light z filtrem.

Podobno papierosy z filtrem są bardziej niebez-  
pieczne niż bez filtra, ale kiedy piszę, i tak palę camele  
light z filtrem. Po każdym papierosie wietrzę dokład-  
nie pokój i opróżniam popielniczkę.

Palenie jest ohydne, drogie i czasochłonne. Nie lu-  
bię, a mimo to palę.

Kjell twierdzi, że z papierosem wyglądam śmiesz-  
nie. Ponieważ on zawsze ma rację, nie sędzę, żeby jej  
nie miał akurat, jeżeli chodzi o moje palenie.

241

Palę głównie wtedy, gdy nikt mnie nie widzi.

Nie dlatego, że boję się być śmieszna, tylko dlate-  
go, że palenie wiąże się z pisaniem, a piszę zazwyczaj  
w samotności. To dlatego tak często jestem sama.

Palenie nie ma ani jednej zalety.

Przynajmniej w moim mniemaniu, ale ponieważ  
nigdy nie mam pewności w kwestii oceny dobrych  
i złych stron własnego postępowania, nie wykluczam,  
że mimo wszystko jakaś zaleta istnieje.

Gdy jako dwunastolatka znalazłam się w rodzinie za-  
stępczej w Vallingby i na dziedzińcu szkoły Black  
berg zobaczyłam wyznaczone miejsce dla palących,  
poczułam presję pokątnych palaczy. Zaczęłam kupo-  
wać w kiosku papierosy na sztuki i stałam w kłębach  
dymu z nadzieją, że któryś z palących chłopców zo-  
stanie odurzony do tego stopnia, że w końcu się we  
mnie zakocha.

W tym samym czasie zaczęłam prowadzić dzien-  
nik, czerwony brulion w plastikowych okładkach  
z klódeczką w formie serca.

Miałam spisywać w nim swoje miłosne przygody,  
ale ponieważ takie mi się nie zdarzały, musiałam je  
wymyślać.



I wymyślałam.

Odkąd — jako siedmiolatka — zakochałam się po raz pierwszy, wiedziałam, że miłość tak naprawdę to wielki strach.

242

Najlepsza miłość to ta zamknięta na kłódkę i wciśnięta między okładki. Zakochany człowiek zachowuje się komicznie i szalenie łatwo go zranić.

Kilka dni temu znalazłam ten pamiętnik i wyłamałam zamek.

Jeszcze niedawno podkreślałam tu wagę szacunku dla swojego młodszego ja. Pisałam, że nie wolno się odcinać od tego nierozgarniętego głuptaska, że zamiast się wyśmiewać, należy raczej czule wybaczyć sobie brak doświadczenia oraz zaakceptować to, czego nie da się zmienić.

Ale w stosunku do nastolatki z pamiętnika zmieniam zdanie.

Czytałam zapiski w czerwonym brulionie ogarnięta uczuciem wstydu, z którego — jak sądziłam — już dawno wyrosłam.

Nie dotknęło mnie to, że z kartek dziennika nie wylaniała się ani otwartość, ani tęsknota za prawdą.

Nie do zniesienia był natomiast fakt, że moim kłamstwom brakowało zarówno stylu, jak i formy.

Sądziłam, że osoba, dla której źródłem najwcześniejszych beletrystycznych przeżyć były książki Harry'ego Martinsona i Rogera Martin du Gard, miała większe ambicje literackie. Ale nie miała.

Charakter pisma podpatrzyłam u najpopularniejszych dziewcząt w klasie.

243

(PONIEDZIAŁEK!

W DRODZE DO BUDY TOWARZYSZYŁ MI PEPPE SILFVERSKIÓLD. CHCIAŁ SIEDZIEĆ ZE MNĄ W ŁAWCE, ALE POWIEDZIAŁAM, ŻE MIEJSCE JEST ZAREZERWOWANE DLA KRILLEGO, BOŻE, JAKI ON JEST PODOBNY DO THOMMIEGO BERGGRENA, MIZEROTA JEDEN! MODS-KRILLE MÓWI, ŻE JESTEM OSCHŁA, BO NIE CHCĘ SIĘ Z NIM CAŁOWAĆ PRZY WSZYSTKICH W METRZE. ON CHCE TO ZROBIĆ NAPRAWDĘ. MÓWI, ŻE JAK CHŁOPCOM SIĘ NA TO NIE POZWOLI, TO MOGĄ SIĘ ROZCHOROWAĆ. NO NIE, TERAZ MUSZĘ IŚĆ SPAĆ, ŻEBY JUTRO BYĆ PIĘKNA. DOBRANOC, DROGI DZIENNICZKU!

ŚRODA!

PSOR OD FRANCUSKIEGO JEST WE MNIE ZAKOCHANY! CHOCIAŻ MA CO NAJMNIEJ DWADZIEŚCIA OSIEM LAT, DZISIAJ KAZAŁ MI ODMIENIAĆ CZASOWNIK „J'TAIME"! JAK LECI! PRZED CAŁĄ KLASĄ! BRUNO WINTZELL ZAPYTAŁ MNIE, CZY NIE CHCĘ KOKOSANKI! NAJPIĘKNIEJSZY W SZKOLE! TO CHYBA JASNE, ŻE VICKY I INNE DZIEWCZYNY O MAŁO NIE UMARŁY! DOSTAŁAM PIĄTKĘ Z MATMY, ZOSTAŁAM WYBRANA ŁUCJĄ SZKOŁY, KARL-JOHAN PALMQUIST ZROBIŁ MI CZTERY NOWE MALINKI, CHOCIAŻ TERAZ CHODZĘ Z PEREM-MAGNUSEM, A JEGO STARSZY

BRAT, PILOT, DOWAŁA SIĘ DO MNIE).

Przeczytawszy ten fragment, wybiegłam z domu i spaliłam pamiętnik na podwórku. Fałszywa wersja własnej młodości bywa niezbędna, ale jeżeli nie potrafi się kłamać z większą finezją, nie pozostaje nic innego, jak puścić ją z dymem.

## MOJE NAJSTRASZNIJSZE PRZEŻYCIE

Najczęstszą przyczyną śmierci osób poniżej dwudziestego roku życia jest samobójstwo.

Tak było, kiedy mieszkałam na Angermannagatan, i tak jest teraz. Według najnowszych szwedzkich badań liczba samobójstw wśród starszych maleje, ale wśród młodzieży rośnie.

Młodzi ludzie tną się, kaleczą albo odbierają sobie życie.

Nie powinno to tak wyglądać, ale wygląda.

Bycie nieszczęśliwym w młodym wieku grozi śmiercią — kiedy młody człowiek jest nieszczęśliwy, bycie nieszczęśliwym to jego jedyne zajęcie. Taki człowiek jest jednym wielkim nieszczęściem i niczym innym.

Kiedy mieszkałam na Angermannagatan, nie byłam niczym innym niż swoim nieszczęściem. Nie miałam żadnej innej tożsamości i żadnych innych zainteresowań.

W związku z konfirmacją zostałam członkinią Kościelnego Stowarzyszenia Młodzieży.

Straciwszy wiarę w Boga, nie wystąpiłam z owej organizacji z tej prostej przyczyny, że w Vallingby nie miałam żadnych innych znajomych.

247

Z Kościelnym Stowarzyszeniem Młodzieży pojechałam na letni obóz na Archipeląg Sztokholmski i na ferie zimowe do Norwegii; bywałam na wieczorach i wycieczkach do kąpieliska Kanaan nad jeziorem Malaren.

Nikt z Kościelnego Stowarzyszenia Młodzieży nie uważał nazwy kąpieliska za zabawny zbieg okoliczności. Wyglądało na to, że wszyscy — oprócz synów pastora — zostali członkami stowarzyszenia z tego samego powodu co ja. Jeżeli ktoś był osobą wierzącą, to nie dawał tego po sobie poznać.

Byłam jedyną dziewczynką, która nosiła jednoczęściowy strój kąpielowy, niezniszczalny model w kratkę, z tak zwaną spódniczką. Wszystkie inne nastolatki chodziły w bikini. Przebojem tego lata była piosenka o refrenie: Itsy-bitsy-teeny-weeny-yellow-polka-dot-bikini.

To było takie itsy-bitsy-teeny-weeny-yellow-polka-dot-bikini  
Nakrapiany kostium kąpielowy z odkrytą talią.

Chcąc sprawdzić, czy dobrze zapamiętałam tekst refrenu, wpisałam hasło Itsy-bitsy-teeny-weeny do największej wyszukiwarki na świecie, czyli Google. Znalazłam to, czego szukałam, na stronie domowej Krajowego Związku Osób z Nadwagą, którego motto brzmi: „Pracujemy dla polepszenia warunków życia osób z nadwagą”. Jakaś puszysta kobieta, broniąc prawa otyłych do lekkiego ubioru, zacytowała w swoim

im poście właśnie ten fragment piosenki Itsy-bitsy-teeny-weeny.

Kiedy byłam gruba, ubierałam się ciężko, a gdy wyszczuplałam, czułam się już za stara na lekkie ciuchy.

Aż do trzydziestego trzeciego roku życia wiedziałam, ile kalorii zawiera każdy przełykany przeze mnie kęs, każdego wieczoru sumowałam kalorie zjedzone, odliczałam ilość spalonych i bolałam nad różnicą; prowadziłam dzienniczki wartości energetycznej jedzenia i robiłam testy sprawdzające, jak dużą część ciała stanowi tłuszcz.

Myślałam, że pozbyłam się obsesji na punkcie swojej wagi, ale pisząc te słowa, dochodzę do wniosku, że nigdy się jej nie pozbędę.

Istnieją ważniejsze sprawy niż zamartwianie się z powodu swoich pięćdziesięciu ośmiu czy sześćdziesięciu dwóch kilogramów, ale ja miałam odmienne zdanie, gdy jako czternastoletnia dziewczyna, przyodziana w solidny strój kąpielowy ze spódniczką, leżałam w cieniu sosny w kąpielisku Kanaan.

Właśnie tego lata, którego przebojem była piosenka Itsy-bitsy-teeny-weeny, spotkało mnie najstraszniejsze przeżycie, jakie pamiętam.

Jak zwykle byłam nieszczęśliwie zakochana, tym razem w chłopcu z Kościelnego Stowarzyszenia Młodzieży; chłopiec miał na imię Leif, ale nazywaliśmy go Leffe.

250

Do męskich imion dodawało się zawsze końcówkę „e” — Leffe, Kjelle, Bjórne, Kurre. Niektóre imiona, na przykład Nils, obdarzano końcówką „a” — Nilsa. To prawie równie niepojęte jak składnia w dialekcie jamtlandzkim, ale ponieważ dialekt był pierwszą rzeczą, której pozbyłam się po przyjeździe do Vallingby, nie mogłam wtedy zrobić takiego porównania.

Pewnego dnia, gdy leżąc w cieniu sosen w kąpielisku Kanaan, udawałam, że czytam „Fickjournalen”, zobaczyłam zbliżającego się Leffego. Widziałam go kątem oka, a ponieważ cierpię na astygmatyzm, miałam wrażenie, że nadchodzi Jezus, smukły i w słonecznej poświacie.

Pozostali chłopcy i dziewczęta harcowali w wodzie. Ja nie harcowałam ani wtedy, ani później, i wygląda na to, że nigdy już nie będę tego robić. Jeżeli w wieku sześćdziesięciu lat ciągle jeszcze nie harcowałam, to moje rokowania w dziedzinie harców nie są pomyślne. Ale co ja tam wiem.

Leżałam więc pod sosną z odwróconym do góry nogami „Fickjournalen”, a Leffe szedł w moim kierunku. W cieniu sosen byliśmy bowiem tylko ja i gruba wiewiórka, którą tuczyliśmy herbatnikami i czekoladą.

Leffe miał na sobie spodenki do kąpiel, ich kraciasty wzorek nie odbiegał szczególnie od wzoru mojego jednoczęściowego stroju. Uszyte ze sztywnego nylonu kąpielówki miały szerokie nogawki, nie sięgające

251  
jednak kolan, tak jak szorty, w których dzisiaj paradują plażowi amanci i hiphopowcy; nie, nogawki były szerokie i krótkie.

Leffe podszedł do koca i zatrzymał się w słońcu.

— Hej! — zagadnął.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, powiedziałam więc „hej”, nie wiedziałam też, gdzie skierować wzrok, zatem skierowałam go do góry.

I wtedy przeżyłam najstraszniejszą rzecz w moim życiu. W cieniu kraciastych szortów zobaczyłam worek mosznowy Leffego, zwisający niczym dwa owoce kiwi.

Gdyby istniał jakikolwiek związek między moimi przeżyciami a postępowaniem, zapewne nigdy więcej nie spojrzełabym na żadnego mężczyznę, ale już po kilku dniach byłam beznadziejnie zakochana w chłopcu, który miał na imię Tom, a którego oczywiście nazywaliśmy Tompa.

## ROZDZIAŁY O ULICY ANGERMANNAGATAN

Rozdział 1 ..... Prawdziwe masło

Rozdział 2 ..... Krążek dla psa

Rozdział 3 ..... Karta szkolna i kryształowa szklanka

Rozdział 4 ..... Drzwi zamknięte na klucz

Tak naprawdę widok moszny Leffego nie był wcale najstraszniejszym przeżyciem, jakie pamiętam.

Najstraszniejsze było jeszcze straszniejsze, najstraszniejszego nie da się opisać. Na najstraszniejsze nie ma słów.

Żeby zrozumieć to, co najstraszniejsze, trzeba je przeżyć samemu, i wielu je przeżyło. Najstraszniejszego doznają wszyscy.

Ale nie z moimi rodzicami zastępczymi w roli głównej.

Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że rodzice zastępczy też są ludźmi.

To ja byłam ofiarą sytuacji, pulpecików śledziowych z koryntkami, murzyńskich głów i ulicy Angermannagatan 125.

Rozbieżne były nie tylko nasze oczekiwania wobec sytuacji; mieliśmy również odmienny gust i zero wspólnych zainteresowań, nie mieliśmy nic, co mogłoby nas połączyć. Oni nosili brzydkie ubrania, miesz-

253  
kali w brzydkim domu, gotowali niejadalne potrawy i interesowali się tańcem ludowym.

Mój gust i moje zainteresowania były prawidłowe i wspólne dla wszystkich, oprócz tych o złym smaku i nieodpowiednich zainteresowaniach.

Wiedziałam, że nie wolno pogardzać ludźmi tylko dlatego, że mają odmienny gust — nawet bardzo zły, ale byłam przekonana, że mam rację, chociaż nie wolno mi było tak myśleć, pycha prowadzi bowiem do upadku. To nie miało znaczenia, że momma została w domu, a ja mieszkałam teraz na Angermannagatan, tak czy owak — pycha zawsze prowadziła do upadku. Między dwunastym a szesnastym rokiem życia znajdowałam się nieustannie na skraju krachu moralnego.

W okresie mojej religijności było jeszcze gorzej. Jezus i Bóg osądzali mnie — o ile to możliwe — jeszcze surowiej niż ja sama.

Żadnej pomocy, żadnego zbawienia, żadnej pociechy.

Każde słowo rodziców zastępczych i każdy ich czyn odbierałam jako najgorsze z najgorszych.

Każda wypowiedź i każdy gest ubliżały mojemu istnieniu i wszystkiemu, co z nim związane.

A najgorsze było ich przekonanie, że chcą mojego dobra.

Chcieli jak najlepiej i nic nie dało się na to poradzić.

Gdyby nie dobre chęci, świat byłby o wiele przyjemniejszym miejscem dla jego mieszkańców, ale jest jak jest.

254

Pominę pierwsze trzy rozdziały o Angermannagatan, zatytułowane: „Prawdziwe masło”, „Krażek dla psa” oraz „Karta szkolna i kryształowa szklanka”.

Te rozdziały są czymś w rodzaju skargi na przeszłość, której nie da się naprawić. Moi rodzice zastępczy nie żyją, a ja nie jestem aż tak dziecinna, żeby obarczać innych winą za coś, czego nie są w stanie zmienić.

Muszę jednak udzielić kilku informacji.

Muszę zdementować mit o kaloriach ujemnych.

Na całym świecie nie ma wystarczająco dużo ogórków, żeby spowodowały schudnięcie choć jednej osoby.

Następna rzecz to bardziej rozkaz niż stwierdzenie.

Chodzi o pytania: „Jak mogłaś mi coś takiego zrobić?” i „Pomyśl... a gdyby wszyscy tak robili?”. Podobnych pytań jest sporo i należy się ich wystrzegać jak ognia.

Trzecią informację dość trudno przekazać w telegraficznym skrócie, choć nie jest mniej ważna niż pozostałe.

Moi rodzice zastępczy byli robociarzami. Gdybym spotkała ich na wcześniejszym etapie urzeczywistnienia państwa dobrobytu, byłiby dumni z przynależności do klasy robotniczej, ale gdy zamieszkałam w Valingby, sprawy wyglądały inaczej.

Klasa robotnicza wybrała dobrobyt zamiast solidarności i to stało się przyczyną jej śmierci.

Rozdział czwarty

o ulicy Angermannagatan

**DRZWI ZAMKNIĘTE NA KLUCZ**

Pewnego razu poszłam na wagary. Jeden jedyny raz. Ponieważ nie miałam się gdzie podziać (Kościelne Stowarzyszenie Młodzieży nie prowadziło zajęć dla wagarowiczów), wróciłam do domu.

Podobnie jak mówiąc „mój dom”, można mieć na myśli blok, którego właścicielem jest spółka mieszkaniowa Svenska Bostader, mówi się „wróciłam do domu”, gdy wraca się do czegoś, co wcale nie jest domem. Zawróciłam na ulicę Angermannagatan, wspięłam się na drugie piętro, otworzyłam mieszkanie i weszłam do środka.

Nie wiedziałam, co robić, w tamtych czasach telewizja nie nadawała żadnych programów przed południem, postanowiłam więc usiąść z książką na balkonie. To musiała być późna wiosna. Żeby wyjść na balkon, trzeba było przejść przez duży pokój, ale z niezrozumiałych względów nie mogłam się do niego dostać.

Pomyślałam: to na pewno moja wina, to dlatego, że zawsze zacynam się na punkcie drzwi. Nacisnęłam ponownie i szarpnęłam klamkę, ale bez powodzenia. Drzwi nie dały się otworzyć.

256

Zamknięte drzwi na Angermannagatan, w środku dnia!

Ogarnęła mnie przedziwna panika. Zaczęłam tłuc pięścią, nawoływać i krzyczeć. Przemknęło mi przez myśl, że muszę zadzwonić po straż pożarną, ale przecież telefon był po drugiej stronie, i coraz rozpaczliwiej targałam klamką.

Nie potrafię teraz wyjaśnić tego zachowania — albo oszalałam, albo zaczęłam podejrzewać powód, dla którego przekreślono klucz w zamku.

Upewniłam się, gdy otworzył mi wściekły, zażenowany i półnagi ojciec zastępczy i gdy na kanapie

dostrzegłam jego zasłaniającą się nieporadnie żonę.  
Miała płonące policzki.  
To było, co chyba zrozumiałe, najstraszniejsze  
przeżycie w moim życiu.

## ŚCIANA

Okno w jadalni wychodziło na ulicę Angermanna-  
gatan.

Po lewej stronie znajdowało się centrum Vallingby  
z ogromną, obracającą się wokół własnej osi literą V,  
która i nocą, i dniem przypominała, że ktoś, kto za-  
mieszkał w Vallingby, już nigdy go nie opuści.

Po prawej stronie widniały bloki i boisko sportowe,  
które zimą zamieniało się w lodową taflę i na którym  
młodzież nie należąca do Kościelnego Stowarzyszenia  
Młodzieży bawiła się w zabawę zwaną ścianą. Chociaż  
zabawa to chyba zbyt delikatne, niewinne i mylne  
określenie czegoś tak agresywnego jak ściana.

Najpierw młodzież dzieliła się na dwie grupy, na-  
wet jeżeli podział był bezsporny i oczywisty. Jedną  
drużynę stanowiły osoby mieszkające w blokach,  
drugą zaś — mieszkańcy domów szeregowych, któ-  
re wślawiły się tym, że właścicielem jednego z nich  
był Olof Palme\*.

\* Olof Palme (1927-1986) — szwedzki polityk, socjaldemokrata,  
aktywny również na arenie międzynarodowej, premier w la-  
tach 1969-1976 i 1982-1986. Zmarł, zastrzelony na ulicy przez  
nieznanego sprawcę.

258

Blokowisko też miało swoje pięć minut sławy, kie-  
dy o zamordowanie premiera Palmego podejrzewano  
szkolnego kolegę jego syna.

Kolega nie należał do najbardziej podejrzanych  
i pojawił się w dochodzeniu tylko na moment, ale po-  
nieważ od czasów dzieciństwa na ulicy Angermanna-  
gatan był wielokrotnie notowany w rejestrze karnym,  
posądzono go również o zamordowanie premiera.  
Pewna gazeta zamieściła później wywiad z tym  
mężczyzną. Zrezygnowawszy z kariery przestępcy,  
skończył szkołę gastronomiczną i dlatego media na-  
zywały go Kucharzem.

To właśnie z tego wywiadu dowiedziałam się, że  
dorastał w Vallingby i że był szkolnym kolegą Joakima  
Palmego, syna Olofa. Jednak żaden z nich nie mógł  
uczestniczyć w ścianach, które widywałam, gdy miesz-  
kałam na Angermannagatan, ponieważ byli zdecydo-  
wanie za młodzi. Olof Palme w tym czasie nie spra-  
wował nawet jeszcze urzędu ministra komunikacji.  
W wywiadzie Kucharz zapewnia, że z Joakimem  
w ogóle się nie znali, chodzili jedynie do tej samej  
klasy. On mieszkał przecież w bloku, a Joakim Palme  
— w domu jednorodzinnym.

Kucharz opisuje Vallingby jako nieomalże dwa od-

dzielne światy.

Dosłownie: nieomalże dwa oddzielne światy.

„Zawsze tak było”, mówi. „I teraz też tak jest”.

Od czasu wywiadu nic się nie zmieniło.

259

No, chyba że owe światy oddaliły się od siebie jeszcze bardziej.

Ściana polegała na tym, że drużyny ustawione po obu stronach lodowiska rozpędzały się na łyżwach i z szaloną prędkością i siłą ruszały przeciw sobie.

W zabawie brali udział i chłopcy, i dziewczęta.

Dziewczęta, w ciasno zasznurowanych figurówkach o płozach wyostrzonych mistrzowskimi piruetami, pędziły po lodzie ku przeciwnej drużynie równie zdecydowanie i szybko jak chłopcy.

Można by odnieść wrażenie, że dziewczęta z ulicy Angermannagatan, zarówno te z bloków, jak i te z domków jednorodzinnych, urodziły się w łyżwach do jazdy figurowej.

W przeciwnym razie nie mogłyby uczestniczyć w zabawie.

O tym, kto mógł brać udział w ścianie, decydowali chłopcy. Nawet jeżeli dziewczyny były równie dobrymi zawodniczkami — wyboru dokonywali chłopcy.

Można by wysnuć wniosek, że przynależność płciowa jest bardziej decydująca niż przynależność klasowa, ale czynniki rozstrzygające o uczestniczeniu czy nieuczestniczeniu w czymś są bardziej skomplikowane.

Ponieważ nigdy nie brałam udziału w ścianie, nie jestem pewna, czy obie drużyny faktycznie zaczynały

260

po przeciwległych stronach lodowiska i czy ruszały

ku sobie jednocześnie.

Mogło być tak, że jedna grupa rozpędzała się w kierunku drugiej, stojącej nieruchomo drużyny, której zawodnicy tworzyli ze swoich ciał solidną ścianę. Ścianę, od której zabawa przyjęła nazwę.

Celem było zburzenie owej ściany.

Wygrywała drużyna, w której po zderzeniu najwięcej zawodników utrzymało się na nogach. Sądząc z łoskotu towarzyszącego kolizji, można by pomyśleć, że wygrywali ci, którzy to starcie przeżywali. Huk był tak ogromny, że kojarzył się z wybuchami bomb w czasie drugiej wojny światowej. Jak w Hiroszynie, jak w Nagasaki.

Mieszkańcy Vallingby podskakiwali przed telewizorami, a ja podskakiwałam w swojej jadalni, gdzie siedząc pod murzyńską głową, czytałam Emily Dickinson.

Czas, kiedy rzucałam się w dół wąwozu na wyspie Frósón, pogardzając śmiercią jeszcze bardziej niż



obie drużyny na lodowisku przy Angermannagatan, wydawał się tak odległy, że trudno mi było uwierzyć w jego istnienie.

To było nie do pomyślenia. Ta dziewczynka na stoku narciarskim to nie ja.

Ona ciągle tam stoi, by za chwilę zjechać w szalonym tempie w dół wąwozu, podczas gdy ja idę dalej.

I całe szczęście.

## KLINICZNA CZĘŚĆ

### CZŁOWIEKA

Nie mam ani jednego pozytywnego wspomnienia z Vallingby.

Oprócz biblioteki.

Przez pewien czas pisałam nowele, by zaczarować tę zasadną pochurność, która tak często towarzyszyła mi w młodości. W jednej z tych nowel, powstałej z potrzeby pogodzenia się z Vallingby, napisałam, że biblioteka przy domu kultury była moim domem.

To najprawdziwsza prawda i śmiem twierdzić, że właśnie ta biblioteka uratowała mi życie. To że oddział intensywnej terapii w szpitalu Sodersjukhuset przejął pałeczkę, gdy w sensie klinicznym stanęłam w obliczu śmierci, nie umniejsza znaczenia biblioteki i zasług jej personelu w ratowaniu mojego życia.

Kliniczna część człowieka to mimo wszystko nie więcej niż pięćdziesiąt procent.

W bibliotece znalazłam prawdziwe schronienie.

W jasnym, przestronnym lokalu było miejsce na wysmakowane tekstylia, lampy oraz fotele z giętego drewna i lnianej plecionki.

W ówczesnej przestrzeni publicznej dbano, by tego rodzaju piękno kształciło i dzięki temu wyrówny-

262  
wało estetyczną niesprawiedliwość społeczną. Ale nawet to piękno nie miało wpływu na brzydotę domu moich rodziców zastępczych, ponieważ na tę brzydotę nic nie miało wpływu.

Na szczęście miałam bibliotekę.

Siedziska foteli w atrium budynku były zrobione z czarnej plecionki. Nie pamiętam stołów, ale chyba wykonano je z jasnego, giętego drewna, najpewniej z brzeziny.

Siedziałam przy nich, czytając gazety i książki, od rana do wieczora. W świetle wysmakowanych lamp zimą i w wiosennym słońcu wiosną.

Teraz godziny otwarcia są skrócone, a nakłady finansowe coraz mniejsze, ale mam nadzieję, że biblioteka w Vallingby nadal istnieje.

Mogłabym pojechać tam i sprawdzić, mogłabym zadzwonić albo wysłać mail z zapytaniem, ale każdy, kto przeczytał tę książkę choćby do tego miejsca, wie, że kontrolowanie nie jest moją pasją.

## AMFETAMINA

W pierwszym życiu przez pewien czas pracowałam w Londynie jako au pair, podobnie jak wiele innych młodych kobiet.

Pojechałam do Anglii już po Riwierze Włoskiej, ale jeszcze przed wizytą w biurze pośrednictwa pracy na Starym Mieście.

Wakacje we Włoszech w towarzystwie babci i dziadka to zaczarowane intermezzo, które — podobnie jak antrakt w Królewskim Teatrze Dramatycznym — trwało zdecydowanie za krótko w porównaniu ze sztuką. Ledwie człowiek zdążył się wysikać, a znów nadchodziła pora na madejowe łoża.

Kiedy zamieszkałam w Londynie u państwa Burnsów, zostałam towarzyszką Victorii, ich niepełnosprawnej córki, która miała szyny na nogach i była potwornie złośliwa.

Oczywiście zakochałam się beznadziejnie w panu Burnsie.

Pewnego dnia, gdy razem z panią Burns wietrzyłam jego garnitury, zapytałam, czy nie jest zazdrosna o te wszystkie młode pracownice w jego biurze.

Te wszystkie idealnie zbudowane sekretarki w nylonowych pończochach ze szwem. Widziałam je oczami

mi wyobraźni, jak robią notatki, siedząc na kolanach Mr. Burnsa.

— A któż by chciał tę tłustą starą torbę? — zapytała Mrs Burns. — Who would want that fat old bag?

Victoria czyniła, co w jej mocy, żeby mi uprzykrzyć pobyt w Londynie. Naigrawała się z mojej wymowy, szydziła z nieznamości sukcesji tronu angielskiego i atakowała za to, że nie znam na pamięć dramatów Szekspira.

Powiedziała, że brak mi wykształcenia, klasy i ogłady.

I że jestem gruba.

Bo byłam. Po latach życia w błędnym przekonaniu, że jestem gruba, w końcu faktycznie bardzo przytyłam. Teraz byłam tłusta.

Każda dziewczyna, która pracowała w Londynie jako au pair, wie, jak łatwo przybrać na wadze. Niezależnie od tego, czy jej rodzina przypomina moją, czy też terroryzuje ją i od świtu do nocy wykorzystuje do szorowania podłóg. W mieście takim jak Londyn nieśmiałej i stęsknionej za domem młodej kobiecie nie pozostaje nic innego, jak podjadać.

Jadłam wszystko, co mi wpadło w ręce: słodkie firmy Bassett, chipsy i popcorn, krakersy i herbatniki w kształcie zwierząt, nie gardziłam żadnym rodzajem ciasteczek i orzeszków. Pochłaniałam sandwiche i tarty jabłkowe w okropnej herbaciarni Wim-

py, tarty z wieprzowiną, tarty z baraniną i masę in-  
265

nych tart w pubach, w których wlewałam w siebie  
piwo.

Popadałam w coraz większą nieforemność i coraz  
głębszą depresję.

Pewnego dnia otwarłam swe serce przed Mr  
Burns, która zaproponowała mi tabletki odchudzające  
i zamówiła wizytę u lekarza w National Health. Opie-  
ka medyczna dla zwykłych ludzi była darmowa.  
Rodzina Burnsów miała własnego, prywatnego le-  
karza na Harley Street, of course.

W państwowej przychodni spotkałam życzliwe-  
go lekarza, który najpierw poprosił mnie, żebym się  
rozebrała, a później zaczął mi uciskać brzuch. W po-  
prawny — z medycznego punktu widzenia — sposób  
uchwycił fałdę tłuszczu między kciuk a palec wskazu-  
jący i postawił diagnozę: puppyfat.

— Szczenięcy tłuszcz — powiedział, i dodał, że  
te wałki wokół mojej talii noszą nazwę love handles  
— miłosne uściski. Nie był obleśny, tylko rzeczowy,  
widocznie nie uważał mnie za wystarczająco atrak-  
cyjną.

Nie omieszkał mnie poinformować, że szczenięcy  
tłuszcz z wiekiem zniknie sam z siebie.

Ale przecież nie po takie informacje tam przy-  
szłam! Nie ruszyłam się z miejsca, dopóki nie wypisał  
mi recepty na tabletki odchudzające. Pigułki o nazwie  
Preludin były bardzo atrakcyjne w kręgach narkoma-  
nów, ponieważ zawierały amfetaminę.

Lekarstwo miało mnie ożywić i wpłynąć na apetyt.

266

Ożywiło i wpłynęło.

' Zamieniłam się w żywe srebro. Nigdy nie czułam  
się tak aktywna. Układałam buty pod kątem prostym,  
ostrzyłam ołówki, czesałam frędzle dywanów i odku-  
rzałam puszkę na ciasteczka. Prałam ubrania w płynie  
do mycia naczyń, który nazywał się Yes.

Wszystko szło jak po maśle i na najwyższych ob-  
rotach; teraz jadłam dwa razy więcej bez popadania  
w jakąkolwiek depresję, a moje zachowanie było  
lekkomyślne, na granicy przestępstwa. Tak, dopuści-  
łam się nawet czynu karalnego.

Pewnego dnia weszłam do Fortnum & Mason,  
przymierzyłam szatańsko drogą sukienkę z krepy  
i zapisałam ją na konto Mrs Burns.

Krój sukienki z drapowanym przodem, dekoltem  
na plecach i obcisłym dołem nadawał mi wygląd da-  
my, wprawdzie bardziej Birgit Nilsson niż Sophii Lo-  
ren, ale to zawsze coś.

W tej właśnie sukience i z wysoko upiętymi wło-  
sami poszłam z całą rodziną na obiad do klubu pa-

na Burnsa; mam wrażenie, że klub nazywał się The Boodle Club, ale przecież to chyba niemożliwe. Przez cały wieczór wpatrywał się we mnie jakiś czerwonolicy jegomość siedzący przy stoliku obok. Oczy wystawały mu z twarzy jak przekrwione jajka. „Lord Birdie”, powiedział Mr Burns, „emerytowany pułkownik z Indii”.

— Jest pani kobietą jak gdyby z innej epoki —  
komplementował mnie przy kawie lord Birdie, śliniąc  
268

się, zapatrzony imperialistycznie w fałdy materiału  
okrywającego moje piersi.

Mr Burns szepnął mi do ucha, że mogłabym zro-  
bić świetną partię.

Gdy nadszedł czas powrotu do Szwecji, Mr Burns za-  
płacił za limuzynę do samego portu w Harwich.

Towarzyszyła mi Victoria. Gdy statek odbijał od  
brzegu, dziewczę płakało w swoje szyny, a ja roniłam  
łzy, machając chusteczką.

Nie zabrałam ze sobą tabletek odchudzających,  
ponieważ ich wywóz z kraju był nielegalny, przynaj-  
mniej tak twierdził lekarz.

Okres, w którym pozbywałam się preludinu z or-  
ganizmu, był najgorszym okresem w moim życiu,  
choć — jak przecież wykazałam — mam kilka ta-  
kich do wyboru.

BYŁAM TAM I WRÓCIŁAM,  
ŻEBY O TYM OPOWIEDZIEĆ

Kiedy w Vallingby nosiłam się z zamiarem samobój-  
stwa, celem nie była śmierć jako taka. Chciałam po-  
zbyć się życia w jego ówczesnej wersji.

Chciałam umrzeć, myślałam o umieraniu czę-  
sto i niestrudzenie, ale chciałam, żeby to była śmierć  
przejściowa i żeby owo przejście nie sprawiło mi bólu.

270

Pragnęłam śmierci, która zabrałaby mnie z rodziny  
zastępczej, ale nie postawiłaby mnie w innej, równie  
niemożliwej sytuacji, czyli niebycie.

Później, kiedy faktycznie spróbowałam odebrać so-  
bie życie i niemalże je straciłam, wystraszyłam się nie  
na żarty i bardzo żałowałam swego kroku.

Samobójstwo to jedna sprawa, ale zupełnie nie li-  
czyłam się z tym, że razem z życiem odbiorę sobie  
wszystko inne, że razem ze mną zginie cała moja rze-  
czywistość. Na zawsze przepadnie wszystko to, co zo-  
baczyłam i przeżyłam. Promienie słońca zagładające  
przez okno do szpitalnej sali, w której się obudziłam,  
ich migotliwy wzór na podłodze, żółty gofrowany koc  
i zapach linoleum. Moje ciało w szpitalnych ubraniach  
— zapinanej z przodu bawełnianej koszuli i ogrom-  
nych, meszkowatych majtkach w łososiowym kolo-  
rze. Białe podkolanówki, moje nogi w tych podkola-

nówkach, moje stopy i dziesięć palców, te praktyczne, szerokie stopy, tak bardzo niepasujące do modnych wówczas wąskich i szpiczastych butów. Moje żywe stopy. Gdybym poniosła śmierć, umarłoby wszystko, co wiązało się z moim życiem.

Asa, moja jedyna siostra, stojąca z przerażoną twarzą przy szpitalnym łóżku.

Dopiero wtedy, gdy podłączona rurkami i przewodami do różnych aparatów obudziłam się w szpitalu Södersjukhuset i zobaczyłam Ase, zrozumiałam, co mogłam stracić, gdybym umarła naprawdę. Do-

271

piero wtedy dotarło do mnie, że konsekwencje mojej próby samobójczej sięgały o wiele dalej niż sama śmierć. Moja śmierć byłaby niczym w porównaniu z całym tym światem, któremu odebrałabym życie, gdyby mi się powiodło. Gdyby mi się udało, straciłabym wszystko.

Od tamtego czasu zawsze się zastanawiam, nim powiem: „udało się”.

Gdybym mogła coś zrobić, by uzmysłwić młodemu, zdesperowanemu człowiekowi, jak bardzo niepotrzebne jest jego samobójstwo, zrobiłabym wszystko.

— Będziesz żałować — powiedziałabym.

— Znienawidzą cię twoje dzieci, które nigdy nie przyjdą na świat, odbierzesz życie rodzicom; nie możesz zniszczyć swojego życia ot, tak sobie.

Nie wolno ci tego zrobić.

Nie rób tego.

Życie załatwi to samo, powiedziałabym.

Ale ponieważ z każdym dniem, z każdym strzyknięciem w kościach, z każdym miligramem cholesterolu jest to coraz bardziej nieprzyjemna prawda, nie formułuję myśli w ten sposób.

Mówię więc każdemu młodemu człowiekowi, który znajduje się w nieznośnej sytuacji:

— Ani się waż! Nie myśl o tym! Cierp tak długo, jak musisz, jak długo to trwa, to minie, wiem, że to minie, wytrzymaj!

Rób, co chcesz, byle nie to.

272

(SAMOBÓJSTWO TO PRZESTĘPSTWO.  
MORDERSTWO. DLA KOGOŚ,  
KTO O TYM MYŚLI: NAWET O TYM NIE MYŚL!  
NIE WOLNO CI!)

Byłam tam i wróciłam, żeby o tym opowiedzieć.

W porównaniu z życiem to tylko jedno wielkie nic, zupełnie nic.

KIM MIAŁAM ZOSTAĆ,  
GDY DOROSNĘ

Ponieważ po powrocie z Londynu brakowało mi po-

mysłu na życie, poszłam do biura pośrednictwa pracy. To działo się w latach sześćdziesiątych, o których wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że były latami tysiącami.

W biurze pośrednictwa pracy potraktowano mój problem nadzwyczaj poważnie. Młody człowiek nie mógł trwać w niepewności, trzeba było podjąć odpowiednie działania.

Pakiety działań nadeszły znacznie później, wtedy wystarczały zwyczajne działania. Odesłano mnie do poradni zawodowej na Starym Mieście, gdzie odpowiedni specjaliści mieli zbadać moje predyspozycje zawodowe.

Byłam równie gruba jak w Londynie i miałam na tym punkcie równie potężną obsesję.

Nie mam żadnych fotografii z tamtego okresu.

Udokumentowano mój wygląd sprzed okresu obfitej tuszy i po nim, ale między nimi jest luka. Nie istnieje ani jedno zdjęcie, ani jeden dowód na to, że faktycznie byłam taka gruba, jaką się czułam.

Ale ponieważ wszyscy podkreślali, jak bardzo zeszczuplałam, gdy w końcu zeszczuplałam, nadwaga nie mogła być tylko wytworem mojej wyobraźni.

275

Od dnia, w którym jako jedenastolatka zaczęłam się odchudzać, nagle między mną a innymi oraz między mną a przyszłością stanęło moje ciało.

Zasłoniłam sobie świat samą sobą i nie byłam w tym odosobniona. Większość młodych kobiet — na jakiś czas albo na zawsze — ginie w cieniu swoich ciał.

Nadgorliwi dziennikarze twierdzą, że zaburzony obraz własnej osoby jest skutkiem zapatrzenia się kobiet w ideał szczupłej modelki.

Ale to nie jest tak.

Ani ja, ani żadna ze znanych mi kobiet, które pozwoliły swemu ciału przesłonić życie, nie zrobiła tego z powodu zdjęcia jakiejś fotomodelki.

I żadna z tych młodych kobiet piszących o obsesji na punkcie rzekomej czy rzeczywistej otyłości nie wspomina w swojej książce — a przecież takie książki zalewają rynek — że powodem nienawiści do własnego ciała są zdjęcia chudych modelek.

Pisarki, które mogłyby być moimi wnuczkami, opowiadają to samo co ja, tylko trafniej. Kiedy ja się głodziłam albo objadałam do wymiotów, nie istniała ani anoreksja, ani bulimia. Czułam się tylko ohydna, zżerał mnie wstyd i nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Moja siostra wychowała się pod wpływem tych samych doznań co ja i w tym samym środowisku, a przecież nie ubzduriała sobie, że jest gruba.

276

Oczywiście nawet jeżeli nie dorastałyśmy w identycznych warunkach—jako pierworodna znajdowałam się pod większą presją. To nie znaczy, że ktoś wierał na mnie presję, nie! Ale ona zawsze istniała. Pierworodne dziecko jest tą świnką morską, na której rzeczywistość dokonuje eksperymentów. Jeżeli mimo wszystko moją siostrę też opętałaby myśl o nadmiernej tuszy, zachowałaby to dla siebie. O tym, że kolejność narodzin — w naszym wypadku byłyśmy tylko dwie, ponieważ przyrodnie siostry albo bracia nie wchodzili w grę — ma tak ogromny wpływ na kształtowanie się osobowości, człowiek nie ma pojęcia, dopóki nie przyjdzie na świat. Czy będzie rywalizował — tak jak ja, czy dzielił się z innymi — tak jak Asa, zależy od tego, czy urodził się jako pierwszy czy jako ostatni. Ale niezależnie od kolejności narodzin i wszystkiego, co z tym związane, Asa i ja dla wielu innych byłyśmy i jesteśmy przede wszystkim rodzeństwem. Żaden z psychologów, z którymi zetknęłam się w młodości, nigdy nie zanotował tego faktu, a przecież co dwie osoby przeciwko światu, to nie jedna. Rozdzielono nas, gdy Asa miała dziewięć, a ja dziesięć lat, i byłyśmy zupełnie bezradne wobec konsekwencji naszej rozłąki. Najpierw we wszystkim rywalizowałam — spałam w halce i skarpetach, żeby szybciej zdążyć na śniadanie — a później nagle nie miałam z kim stanąć w szranki.

277

Spałyśmy w piętrowym łóżku — Asa na górze, bo była najważniejsza. Gdziekolwiek szłyśmy i cokolwiek robiłyśmy, robiłyśmy to razem. Co drugi rok uczyłyśmy się nawet w tej samej szkolnej sali. I nagle wszystko się zmieniło. Nagle Asa musiała się przeprowadzić, a ja zostałam w domu. Mama przyjęła propozycję pracy na wybrzeżu, w Halsinglandii, niedaleko Bollnas, co za niepotrzebna nazwa miasta! Nie pojechałam z nimi, ponieważ zostałam przyjęta do pierwszej klasy w pięcioletniej szkole realnej w Östersund. Nie wszystkim dane było dostać się do tak renomowanej szkoły. Jeżeli więc ktoś w naszych stronach zaczął do niej chodzić, nie przeprowadzał się w pierwszym porywie. Na drugi poryw nie miałam wpływu. To on sprawił, że znalazłam się w rodzinie zastępczej pod Sztokholmem. Rodzice zastępczy tańczyli w zespole tańca ludowego i udzielali się w Szwedzkim Kole Młodzieży na rzecz

Lokalnej Kultury.

Najpierw zainstalowali mnie na Angermannagatan, a później natychmiast wysłali na kurs tańca ludowego. Jak najszybciej miałam opanować schottis i hambo, wołowego i zwariowańca.

278

Nie przejęli się moimi zapewnieniami, że oprócz szczególnych zdolności brakuje mi też poczucia rytmu. Ani się obejrzałam, a stałam na jednej nodze w rozświetlonej jarzeniówkami piwnicy w centrum Vallingby i — wypadając ciągle z rytmu — tańczyłam zwariowańca, kręciłam się jak fryga i podskakiwałam — raz, dwa, trzy — hop, raz, dwa, trzy — hop!

Kilka dni temu wpisałam w Google hasło „zwariowaniec” i przeczytałam opis tego tańca po angielsku. Dowiedziałam się, że ma recreational function, a jego charakter jest sprightly and with humour.

Po angielsku zwariowaniec nazywa się good humour dance.

Zwariowaniec wcale nie nastrajał mnie pozytywnie, zmuszanie się do radosnych podskoków było gwałtem zadany naturze i mojej osobie.

Kiedy przeczytałam angielski opis zwariowańca, opanowało mnie podobne uczucie jak wtedy, gdy nauczycielka zapewniała, że Bóg widzi przez ścianę, czy przed snem złożyłam ładnie ubranka na krześle. Coś wszechogarniającego, na co nie ma rady.

Każdego roku Szwedzkie Koło Młodzieży na rzecz Lokalnej Kultury obchodziło rocznicę swego istnienia, uroczystości odbywały się w Skansenie; kiedyś deklamowałam wiersz na Solliden, tej ogromnej estradzie na wolnym powietrzu, na której później Lasse Berghagen prowadził imprezę „Cały Skansen śpiewa”.

279

Wiersz autorstwa Gunnara Mascolla Silfverstolpego nosił tytuł Piecuszek i chociaż nie pamiętam ani słowa z tego, co sama napisałam, ten wiersz znam na pamięć do dzisiaj.

Piecuszek szczebiocze wciąż w listowia kryjówce,  
Gdy srebrnym światłem letnia noc się zbliża.

Rodzice zastępczy zmuszali mnie do uczestniczenia w spotkaniach Szwedzkiego Koła Młodzieży na rzecz Lokalnej Kultury i nazywali Botildą.

Zapominając, że pojawiłam się u nich jako dwunastolatka, opowiadali na prawo i lewo, jakim byłam słodkim i tłusciutkim bobasem.

Pewnego razu jakaś kobieta w sórmlandzkim stroju ludowym, obejmując mnie ramieniem, powiedziała do piegowatej i tłustej mamy zastępczej:

— Ależ ta córka to wykapana matka!

Kiedy miałam piętnaście lat, wysłano mnie do poradni psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży.



Rodzice zastępczy zaopiekowali się mną, ponieważ byłam wesoła, pulchna i piegowata. A tu nagle przestałam być wesoła.

Nie mieli pojęcia, co począć z posepną piętnastolatką, która przechodzi kryzys religijny i ma obsesję na punkcie tłuszczu. W ten sposób zaczęła się moja dozgonna przygoda z psychiatrią w regionie sztokholmskim.

280

W poradni psychiatrycznej poddano mnie testowi Rorschacha i innym testom z obrazkami przedstawiającymi różne sytuacje, na których temat miałam wymyślać własne historie.

Z tego, co pamiętam, siedziałam za szybą, tak jak w serialu kryminalnym siedzi ofiara przestępstwa, która w trakcie tak zwanego okazania spośród wielu osób ma wskazać złoczyńcę. Szyba przepuszczała światło tylko w jedną stronę.

Nie wiem, skąd mi się to wzięło, że w poradni psychiatrycznej w Vallingby korzystano z lustra fenickiego; w ówczesnej telewizji pokazywano głównie programy „Kącik Hylanda” i „Cyrk Siggego”<sup>\*</sup>.

Nad i pod żaluzjowymi półkami regału na książki, na którym na Angermannagatan znajdował się telewizor, było zatrzęsienie trolli z kamienia i statuetek nagich Murzynów. Na podłodze stał ptak wykonany z rogu. Wszystkie rodziny w Vallingby miały takie ptaki z rogu, nie tylko moja, ale żadna nie miała tyle kamiennych trolli. Trolle z kolczykami w uszach i bez kolczyków, trolle z omszoną głową, trolle z wymalowaną z boku nazwą miejscowości i trolle bezimiennie.

W poradni psychiatrycznej w Vallingby rozmawiałam o swoich problemach z psycholożką, której \* „Kącik Hylanda” (Hylands hörna) i „Cyrk Siggego” (Sigges cirkus) — popularne programy rozrywkowe dla całej rodziny, nadawane w szwedzkiej telewizji w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

281

nazwisko zaczynało się na Ros. Rosenkvist? Rosenberg? Rosen? Pamiętam jej przenikliwy śmiech, który pojawiał się w najmniej oczekiwanym momencie, przeszywał do szpiku kości i ranił równie dotkliwie jak ostre kamyki.

Marzyłam wtedy o karierze aktorskiej.

Wszyscy nieustannie powtarzali, że świetnie deklamuję.

Marzyłam więc, żeby zostać aktorką, i powiedziałam o tym psycholożce, tej o nazwisku zaczynającym się na Ros.

— Chciałabym zostać aktorką — powiedziałam.

— Gdyby nie to, że jestem taka gruba.

Nie wiem, czego od niej oczekiwałam. Zachęty?  
Przestrogi? Odradzania? Porady?  
Tego, że powie: „Ale przecież wcale nie jesteś taka gruba” albo: „Grube aktorki też są potrzebne”?  
Nie oczekiwałam w każdym razie jej przenikliwego śmiechu, takiego, który przeszywał do szpiku kości. Oczekiwałam jakiejś odpowiedzi. Bo wtedy — zresztą tak jak dzisiaj — liczyła się sama odpowiedź, a nie jej sens.

Najważniejszy jest odzew, niekoniecznie werbalny. Tak jest wszędzie, zawsze tak było i tak pozostanie. Rok później targnęłam się na swoje życie.

Usłyszałam niedawno, że w związku z ostatnim kryzysem opieki psychiatrycznej w regionie sztokholmskim na wszystkie szkoły w stolicy przypada 282

tylko jeden szkolny psycholog. Tysiące dzieci i nastolatków z myślami samobójczymi i jeden jedyny psycholog.

Zważywszy na moje doświadczenia z psychologami dziecięcymi, ktoś może pomyśleć, że uważam to za świetne rozwiązanie, ale wcale tak nie jest. Mam nadzieję, że po prostu się przesłyszałam.

Tak więc na początku lat sześćdziesiątych biuro pośrednictwa pracy odesłało mnie do swoich specjalnych lokali na Starym Mieście, by sprawdzić, do czego się nadaję.

Musiałam odpowiedzieć na pytania, wypełnić formularze, objaśnić znaki.

Bardzo lubię wypełniać formularze. Gdy tylko zobaczę przed sklepem ankietera, który prosi klientów o zaznaczenie krzyżykiem, z czego są zadowoleni, a z czego nie, od razu zgłaszam się na ochotnika. Można odpowiadać anonimowo, ale ja nie chcę być bezimienna.

Wypełniając te ankiety, czuję, że jestem i że ktoś się ze mną liczy.

Podobnie rzecz się miała z kwestionariuszami na Starym Mieście. Nie pamiętam, czego dotyczyły, ale wiem, że stawiałam krzyżyki — jak to się mówi — z całego serca.

Zręczność manualną badano za pomocą zmyślnego labiryntu, przez który trzeba było przetoczyć metalowe kółeczka; oczywiście je przetaczałam. Miałam 283

wrażenie, że gram w krowiaka albo minigolfa, czyli w gry, które uwielbiam, ale niestety w ogóle nie mam do nich zdolności.

Był też test, w którym należało dopasować drewniane klocki do odpowiednich otworów. Nawet jeżeli nie byłam gwiazdą w przetaczaniu metalowych kółeczek przez labirynt, to samo przetaczanie sprawiało

mi radość.

Z dopasowywaniem klocków było zupełnie inaczej. Z jakiejś przyczyny, której wyjaśnienie wymagałoby kilkudziesięciu lat psychoanalizy, na widok klocków i otworów wpadałam w panikę. Czułam kołatanie serca i suchość w ustach, drętwiały mi nogi, a przed oczami zaczynały latać mroczki. To było oczywiste, że trójkątnego klocka nie da się przepchnąć przez czworokątny otwór szablonu, ale mój mózg odmawiał wysłania ręką odpowiedniego impulsu. Po dwóch minutach w towarzystwie klocków i otworów stawałam się psychicznym wrakiem.

Na szczęście zwolniono mnie z tego zadania. Odpowiedzialni za testy na Starym Mieście byli poczciwymi ludźmi i nie chcieli mi wyrządzić krzywdy. Po wykonaniu testów czekałam na podsumowanie rezultatów i wynikające z nich propozycje najodpowiedniejszych dla mnie zawodów.

Plany kariery aktorskiej nie były już wtedy aktualne, ale ciągle myślałam o czymś związanym ze sztuką.

284

Wujek był plastykiem, dziadek tworzył wzory tkanin i tapet tak piękne, że jednym z nich ozdobił okładkę tej książki, mama tkła dywaniki z gałganeków i robiła abażury, tato malował akwarele, a moffa był niezrównany w rysowaniu koni. Ja sama miałam dyplom z klubu malarskiego Szwedzkiego Radia, który przyznano mi za rysunek przedstawiający zaklinacza węży grającego na flecie. Do plastyki miałam więc i predyspozycje, i talent.

To że ze wszystkich sztuk pięknych najbardziej kocham muzykę, nie znajduje niestety potwierdzenia w mojej szczątkowej muzykalności, nie mam za grosz słuchu ani poczucia rytmu. Co nie przeszkadzało mi śpiewać i grać na trąbce Summertime z opery Porgy and Bess.

Ukończyłam kurs gry na trąbce zorganizowany przez Stowarzyszenie Oświatowe Robotników w Vallingby; nie pamiętam, czy zapłacił za niego dziadek, czy rodzice zastępczy, nie pamiętam ani wyglądu nauczyciela, ani tego, czy mnie zachęcał do gry, czy mi ją odradzał, nie pamiętam prawie nic.

Jedyne, co pamiętam, to skale ćwiczone w kotłowni na Angermannagatan, skale i negro spirituals. Nie wiem, czy później naprawdę każdy kaloryfer w każdym mieszkaniu w Vallingby i Racksta z przyległościami śpiewał „Nobody knows the trouble I've seen, nobody knows but Jesus”. Wiem, że tak twierdziłam. W dobrej wierze, ale oczywiście ta zazwyczaj nie wystarcza.

285

Dwa razy w tygodniu, po lekcjach, brałam udział w próbach orkiestry szkolnej w Blackeberg. Grający w tym samym zespole chłopak, w którym byłam wtedy nieszczęśliwie zakochana, miał na imię Staffan. Jeździliśmy do szkoły na rowerach tą samą drogą, zaczynałam się więc na Staffana przy arkadzie w Racksta, by później na jego widok udawać zaskoczoną. A jeszcze później, ryzykując życie, jechałam obok ukochanego przez rondo przy Bergslagsvagen i pod górę, w kierunku Blackeberg.

Pewnego dnia, w trakcie strojenia instrumentów, zdarzyło mi się puścić bąka.

Długo wmawiałam sobie, że nauczyciel wykrzyknął „ojej!” tylko dlatego, że — kiedy nadeszła moja kolej — zagrałam nadzwyczaj fałszywie, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że nie chodziło mu o nieumiejętność trafienia w ton.

Z okazji matur orkiestra grała „Zaśpiewajmy o szczęśliwym dniu studenta”, ja też, nawet jeżeli nigdy nie było mi dane zagrać całej melodii. Razem z pużonami miałam powtarzać ciągle ten sam monotony dźwięk trzeciego głosu. Później już nigdy nie pokuśiłam się o naukę gry na jakimś innym instrumencie.

Kiedy Asa i ja miałyśmy siedem, osiem lat, do naszej wsi przyjechał nauczyciel muzyki. Objeżdżał gminę i uczył dzieci grać na pianinie albo na organach, wtedy często w reprezentacyjnych wiejskich izbach stały organy. U nas było niebieskie pianino, ozdobione przez wujka plastyka, zresztą do dziś tam stoi.

286

Teraz słucham płyt kompaktowych na jasnoniebieskim boomboksie, który przenoszę z pokoju do pokoju.

Gdy rezultaty testów były gotowe i gdy ponownie poszłam do poradni zawodowej na Starym Mieście, z nadzieją na potwierdzenie mojego powołania artystycznego — choć byłam też w stanie wyobrazić sobie siebie w otoczeniu książek, jako bibliotekarkę albo ekspedientkę w księgarni — poniosłam kolejną porażkę, najwyraźniej z porażek składa się całe moje życie.

W tamtych czasach w Szwecji wiele osób uważało niepowodzenia za coś pozytywnego. Przeciwności losu miały hartować, wzmacniać i uszlachetniać człowieka, były czymś w rodzaju procesu chemicznego, w którego wyniku pozostaje tylko to, co najlepsze. Nauczona doświadczeniem, twierdzę, że jest dokładnie odwrotnie.

Po podsumowaniu wyników moich testów okazało się, że jedynym zajęciem, do którego się nadaję, jest zarządzanie domem starców.

Że też ktoś, kto nie potrafi dobrać klocka do odpowiedniego otworu, może opiekować się staruszką-

mi... No tak, ale widocznie wypadłam lepiej w testach z krzyżkami i labiryntem.

Kilka lat później spotkałam kobietę w moim wieku, która mniej więcej w tym samym czasie, czyli na początku lat sześćdziesiątych, poddała się mniej więcej tym samym badaniom.

287

Poznałyśmy się w Szkole Plastycznej Idun Loven.

Łączyło nas pragnienie rysowania i malowania, ale oprócz tego w ogóle nie byłyśmy do siebie podobne. Jeżeli nie liczyć lekkiej nadwagi. Kobieta nie dorównywała mi tuszą, ot, w porównaniu ze średnią była raczej pulchna niż szczupła. Ale, jak już zaznaczyłam, stanowiła zupełnie inny typ człowieka.

Gdy poznała rezultaty swoich testów, otrzymała tę samą informację co ja — byłaby świetną kierowniczką domu starców. A to musiało oznaczać, że:

1. Wyniki testów faktycznie wykazywały zarówno nasze predyspozycje do zarządzania taką instytucją, jak i umiejętność opieki nad osobami w podeszłym wieku.
2. W owych czasach Szwecja cierpiała na brak takich kierowniczek.

Cóż za oszałamiająca myśl!

Już samo to określenie, sam fakt, że mówiono:

„dom starców”, a nie na przykład „ośrodek jesieni życia”. Jak ten, w którym momma spędziła swoje ostatnie lata, a który nazywał się po prostu Dom Starców w Faker i nie zawierał w nazwie care, w przeciwieństwie do dzisiejszych firm, opiekujących się starszymi osobami z chęci zysku. Wtedy jeszcze władze gminne i wojewódzkie nie zrzucały z siebie odpowiedzialności za opiekę nad zniedołężniałymi. Nie wyprzedawały swoich placówek, posługując się przy tym eufemizmami, tym licencjobiorcom, którzy złożą najtańszą ofertę usługową.

288

Twierdzę zdecydowanie, że „piecza nad starszymi” jest eufemistycznym określeniem, ponieważ wyprzedający nie dość, że mają czelność nazywać swoje brutalne traktowanie starych ludzi „pieczą”, to jeszcze kupno i sprzedaż ostatnich chwil w życiu człowieka określają bezwstydnym mianem „produktu”.

Te skandale wybuchające raz w tygodniu wokół zaniedbań w ośrodkach opiekuńczych nie są jednostkowymi wypadkami przy pracy. One są wynikiem tej pracy, skandale w sektorze opieki i służby zdrowia są produktem końcowym zgniłego i nieprzyjaznego człowiekowi systemu.

Gdy byłam dzieckiem, dom starców w Faker stanowił miejsce, do którego najstarsi mieszkańcy mieli prawo się wycofać bez poczucia, że lądują na wysy-

pisku śmieci.

Nazywaliśmy ten dom „rodzinnym gospodarstwem”, i nie był to eufemizm.

Właśnie gdy — jak zwykle z mozołem — piszę te słowa, dzwoni do mnie znajomy ze Sztokholmu.

Człowiek w podeszłym wieku opowiada o tym, jak w stolicy, po cichu i dyskretnie, likwiduje się jeden dom seniora za drugim.

Ludzie, którzy wyglądali własnego pokoju w takim domu ze wspólną jadalnią, salą telewizyjną i chińczykiem, ludzie, którzy oczekiwali, że starość upłynie im w poczuciu bezpieczeństwa i nieosamotnienia, mają prawo czuć się oszukani.

289

Każdy z nich spędzi swoje ostatnie lata we własnym mieszkaniu — pod warunkiem, że takie posiada, a jeżeli nie, to wina leży tylko i wyłącznie po jego stronie. Tak więc każdy będzie siedział samotnie w domu, w oczekiwaniu na codzienny pojemniczek z zimnym obiadem, który przywiezie mu mobilny team, czyli odchudzony do granic możliwości zespół wypalonych ludzi, zatrudnionych przez któregoś z tych franczyzobiorców mających zawsze w nazwie care.

Kiedy wracam myślą do doradztwa zawodowego, gdy tak myślę o tych dwóch kobietach, które spotkały się w Szkole Plastycznej Idun Loven, a które wcześniej uznano za szczególnie predysponowane do zarządzania domem starców, kiedy wspominam powagę, z jaką poradnia zawodowa traktowała swoje zadanie, dochodzę do wniosku, że zachowałyśmy się strasznie nieodpowiedzialnie. Zamiast malować bohomy, powinnyśmy były wykorzystać nasze udowodnione zdolności w dziedzinie opieki nad starszymi.

Ile domów starców w Szwecji musiało pozostać bez kierowniczek z powodu takich jak my, które nie poszły drogą wytyczoną przez biuro pośrednictwa pracy?

Ile domów starców musiało zamknąć podwoje?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ponosimy winę za kryzys w służbie zdrowia i opiece socjalnej.

To moje cholerne pokolenie, które sądzi, że odpowiedzialnością i podejmowaniem decyzji można obarczyć kogoś innego, to pokolenie, które uważa,

290

że do prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa wystarczy raz na cztery lata oddać głos na innych nieodpowiedzialnych egoistów z tego samego pokolenia.

Podobno mamy taką demokrację, na jaką zasługujemy. Mamy ją, i ja, i moja koleżanka ze Szkoły Plastycznej Idun Loven. To nasza wina. Zawiodłyśmy. Ale czym zawiniły te wszystkie starsze osoby

w Sztokholmie, w całej Szwecji, ci wszyscy obowiąz-  
kowi i lojalni pracownicy, wyznający niegdysiejszy  
etos pracy? Dlaczego zostali ukarani starością w sa-  
motności i w głodnym oczekiwaniu na pojemniczki  
z zimnym obiadem?

#### OCZYWISTOŚCI

Pomyślałam, że za motto tej książki o dzieciństwie po-  
służą mi słowa ojca Kościoła, świętego Augustyna.

Wykorzystanie cytatu z literatury klasycznej jest  
sposobem na przypodobanie się wieczności i zyskanie  
szacunku u osób, których się nie szanuje.

Jak gdyby książka sama w sobie nie była wystarcza-  
jąca, dopóki nie udowodnisz, że to, co chcesz w niej  
powiedzieć, już zostało powiedziane.

Jak gdyby jakaś oczywistość była bardziej warto-  
ściowa tylko dlatego, że tysiąc sześćset lat temu wypo-  
wiedział ją ojciec Kościoła, a nie ty wczoraj albo trochę  
wcześniej — twoja mama.

(„MOJE DZIECIŃSTWO, KTÓREGO JUŻ NIE MA,  
SPOCZYWA W CZASIE PRZESZŁYM; KTÓRY JUŻ  
TEŻ NIE ISTNIEJE. ALE OBRAZ DZIECIŃSTWA,  
KIEDY GO PRZYWOŁUJĘ I OPISUJĘ, OGLĄDAM  
W CZASIE TERAŹNIEJSZYM, GDYŻ OBRAZ  
TEN JEST NADAL W MOJEJ PAMIĘCI OBECNY”.  
ŚW. AUGUSTYN, CA. R. 397 N.E. COŚ TAKIEGO!  
[Wyznania, przel. Zygmunt Kubiak]).

#### KOŃ ZE ŚNIEGU

Pewnej zimy w latach pięćdziesiątych moffa ulepił ze  
śniegu konia, konia nie mającego sobie równego, ko-  
nia o lodowych podkowach i oczach z węgielków.

Moffa budował śniegowe domki wyglądające jak  
pałace, budował lodowe groty, które stały miesiącami  
i których wyszukane portale zdobiły śnieżne lampki,  
groty trwałe jak skała i świetliste jak kryształ.

Mój dziadek był mistrzem rzeźby w śniegu.

Ale to drugi dziadek, ten ze Sztokholmu, zyskał  
sławę jako architekt, to jego meble stanęły w Złotej  
Sali stołecznego ratusza i to jemu nadano tytuł pro-  
fesora. Jaskrawy przykład społeczeństwa klasowe-  
go, które moffa chciał — jeżeli nie zlikwidować — to  
przynajmniej zniwelować.

Ludzie w dzisiejszej Szwecji, którzy twierdzą, że  
różnice klasowe zostały nie tylko zniwelowane, ale  
i zlikwidowane, są dowodem na to, że jednak ludz-  
kość z czasem nie mądrzeje. Może też i nie głupieje,  
ale w każdym razie drepce w miejscu nad skrajem  
przepaści, podczas gdy ktoś pokroju moffy od czasu  
do czasu próbuje tę przepaść zasypać. Ktoś, kto ma  
wystarczająco dużo wiary w sens śniegowego rzeź-  
bienia.

#### MOJE DZIECIŃSTWO PAMIĘTAM

Pewnego razu napisałam wiersz dla tak zwanego cza-

sopisma kulturalnego z Norlandii. Tak zwanego, żeby nie pomylić z pismami „Boże Narodzenie w Jamtlandii” czy „Kronika Nas”.

Poproszono mnie o napisanie czegoś o moim norlandzkim pochodzeniu.

Ale gdy tylko to coś wysłałam — wtedy, pod koniec lat osiemdziesiątych, korzystano z faksu albo poczty konwencjonalnej — gdy tylko wrzuciłam kopertę z wierszem do skrzynki, momentalnie zmieniłam zdanie. Rzuciłam się do telefonu — telefony istniały — i poprosiłam redaktora o natychmiastowe odesłanie wiersza.

Obnażyć się ze swoimi rymowanymi, wiejskimi wspominkami w czasopiśmie kulturalnym pod koniec lat osiemdziesiątych! Co też mi przyszło do głowy. Rozmawiając z redaktorem norlandzkiego czasopisma kulturalnego, gdzieś w głębi duszy miałam nadzieję, że mężczyzna zbeszta mnie za próżność i tchórzostwo. Że wygarnie mi te sztokholmskie fanaberie, które nakazują ślepe posłuszeństwo duchowi czasów. Że przekona mnie do opublikowania wiersza, co z pewnością nie zajęłoby mu wiele czasu.

295

Nic z tego, nawet nie zaczął mnie przekonywać i najzwyczajniej w świecie przesłał mi wiersz odwrotną pocztą.

Jeszcze nigdy nie napisałam ani słowa, którego nie chciałabym cofnąć.

Moje dzieciństwo pamiętam

Coraz bardziej pamiętam księżyc i śnieg rażący bielą,  
równy rytm dojarki i taniec wirówki,

woń obory, woń świń i woń cieląt,

coraz cięższą, spokojną i słodką jak krówki.

Coraz bardziej pachnące świeże klocki drewna,  
które prosto z luparki kładłam na stos, na zimę.

Miałam osiem, może dziewięć lat i jestem pewna,  
że żadna szczapa nie spadła mi na ziemię.

I miękkie podpłomyki, ciepłe jak piec rozżarzony,  
i kobierce przez babcię z brzozy plecione,  
świętojańskie kwiecie i ziemniaków zagony  
w noc Świętego jana przez mróz zwarzone.

Tak pamiętam dzieciństwo, jedyne dzieciństwo,  
linnea pyroła, niezapominajki dwie,  
niezapominajki, bo to nie ja dzieciństwo,  
ale to ono coraz bardziej pamięta mnie.

LAPOŃSKIE ŁAPCIE

Stoję przy moim oknie i przyglądam się lekkiej śnieżycy.

Śniegowe płatki w Finistere z nieba nad Finistere.

To niezwykły widok; przypatruję się tak uważnie,  
jak potrafię.

Tutejsze domy nie są budowane z myślą o mrozie



— mam na sobie spodnie i spódnice, wełniany sweter, kaftan, szal i grube skarpety.

297

Tam, gdzie spędziłam dzieciństwo, w domu było równie gorąco, jak zimno na dworze. Drewniane ściany miały podwójną izolację — z trocin i z włókna karłatki, skrzynia na drewno była zawsze pełna brzo-zowych polan i smolnych szczap, a wszystkie szpary były uszczelnione. Im bardziej zawodził wiatr, im bardziej spadała temperatura na zewnątrz, tym przyjemniej było w ciepłe kuchni.

Tutaj jest inaczej. Właśnie przymierzam się do dłuższego marznięcia, gdy nagle wychodzi słońce.

Płatki śniegu ledwo zdążyły zatrzymać się na rosnącej w sąsiedztwie kamelii, a już zaczynają topnieć. Żółte kulki mimozy parują, a tulipanowiec rozchyła kwiaty o purpurowych i różowych smugach. Tulipanowce należą do rodziny magnoliowatych i kwitną tutaj w lutym. To potężnie zbudowane, wysokie drzewa z kwiatami przypominającymi tulipany, cudowne drzewa tulipanowe w Finistere.

Jeszcze przed chwilą niebo było mięsiste i szare, znad Atlantyku wył wiatr, fale chłostały przybrzeżne skały.

W Morbihan, departamencie graniczącym z Finistere, spadło pięćdziesiąt centymetrów śniegu.

Śnieżny chaos w Morbihan, poinformowano w radiu.

W języku celtyckim, którym jeszcze do niedawna tutaj mówiono, Morbihan znaczy „małe morze”. Małe morze sparaliżowane z powodu śniegu.

298

Ciężarówka wpadała w poślizg i lądowała w rowach, liczne stłuczki były przyczyną nie kończących się korków. Policja i służby drogowe nie potrafiły sobie poradzić z zaistniałą sytuacją. Tysiące gospodarstw domowych bez elektryczności, rozmrażające się produkty spożywcze w zamrażarkach, ludzie zbierający chrust.

Śnieżny chaos, powtarza spiker radiowy.

Po pięciu minutach śnieżny chaos zostaje zastąpiony jakimś innym chaosem — na tym polega tutejsze życie. Trudno potraktować to poważnie, pogoda jest jak reszta temperamentu — przelotna i na wyrost.

O wielkim natężeniu, ale szalenie niestała. Jedna intensywność przechodzi w drugą. Wszystko toczy się kołem, żywo, ale nietrwale, sztorm nadciąga i zaraz cichnie.

Tak jest i z pogodą, i z klimatem społecznym.

Bardzo mi to odpowiada, ale nie potrafię traktować tego poważnie.

Bo to nie jest naprawdę.

Jedyne, co istnieje naprawdę, to pogoda tam, gdzie byłem dzieckiem, i związany z tą pogodą temperament.

Jedyne, co naprawdę się liczy — to trwałość. Stałość zmarzliny, lemiesz pługu śnieżnego, zwały śniegu po obu stronach drogi, te nagromadzone masy śniegu nie do pokonania, kaskady śniegu w smudze reflektora. Pług tryskający ciężkim białym światłem.

299  
Jego nieuchronność, gdy sunie jak śmierć we własnej osobie.

Twardość szreni między zagrodami; trzeba biec wystarczająco szybko, żeby się nie zapaść. Renifery i sarny zostawiają krwawe ślady, światło księżyca odbija się refleksem od zlodowaciałego śniegu.

Liliowe płomienie zorzy polarnej, czerń i niebieskość. Gwiazdy nad borem, siarkowożółta poświata, tam gdzie Óstersund styka się z niebem.

Nieskończoność.

Zupełnie inny rodzaj nieskończoności niż ta w Finistere.

Nawet jeżeli w Finistere też świecą gwiazdy, wielkie, wyraźne i migoczące, to w porównaniu z gwiazdami mojego dzieciństwa brakuje im tego ostatecznego zagęszczenia i substancji. Nawet jeżeli gwiazdy są cudowne, nawet jeśli urzekają przepychem, to bez tej specyficznej namacalności stanowią jedynie element dekoracji.

A to, co namacalne, zdarzyło się w moim dzieciństwie. Znikająca tam teraźniejszość i wystrzające ją poczucie przemijania. Świadomość krótkotrwałości i ta szczególna czujność, niezbędna do spożytkowania chwili.

Dlatego nic nie wyrzucano. Zachowywano wszystko.

Ubrania, które — zawsze kupowane na wyrost — już nigdy nie będą modne. Słoiki z zapleśniałą konfiturą i słoiki eksplodujące jak konserwy w ziemian-

300  
ce przesyconej wonią ziemniaków i jałowca, którego gałązki wyścielały podłogę. Nanizane na sznurki smardze, suszące się na strychu chaty. Owczę skóry, przechowywane tam w lecie, gałki antymolowe. Wszystkim trzeba było gospodarować oszczędnie, bo przecież wszystko mogło się skończyć.

Reprezentacyjne ręczniki mommy i odświeżone fartuchy, srebro. Przechowywane na nadchodzące okazje, te nadchodzące okazje, wobec których momma czuła ogromny respekt, owo zaoszczędzone życie.

Z którego ja teraz czerpię pełnymi garściami.

Moje życie w Finistere to wynik mozolnego oszczędzania mommy, jej nadchodzące okazje są moimi obecnymi okazjami, moje teraz jest jej odłożonym na

później. Bo nawet jeżeli oszczędzanie mam we krwi, nawet jeśli w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach składam się z krwi, nawet jeśli to moje niemodne zimowe okrycia zalegają strych i moje słoiki z konfiturą fermentują na moich półkach, niezależnie od tego, jak bardzo oszczędzam i jak duży dług mam do spłacenia, niezależnie od tego wszystkiego — trwonię owo teraz, które zachowała dla mnie momma. Korzystam z niego, więc jestem rozrzutna.

I mogę taka być tylko dlatego, że ono istnieje.

Stoję na gruncie mommy, stoję na zamarzniętej skale, na iskrzącym się śniegu.

To z jej umiejętności gospodarowania czerpię teraz korzyści. Gdyby nie zarządzała rozsądnie tym, co było jej dane, wszystko by się zmarnowało — ale tak 301

się nie stało. Gdyby momma nie była dla mnie wzorem, nigdy nie nauczyłabym się sztuki korzystania z chwili, z tego co teraz. Kiedy na przedleciu stopniał śnieg i można było usiąść w zaciszu przed domem, kiedy na moment ustawał zimny wiatr z północy, wtedy nadchodziły te chwile — przelotne jak śnieżycyca w Finistere — chwile, które potrafiła uchwycić tylko momma. Zdarzały się chwile tak krótkotrwałe, że tylko ona dostrzegała ich wartość, tylko ona wiedziała, jak są cenne i jak ważne jest ich wykorzystanie, te chwile w zaciszu, w towarzystwie moffy, z filiżanką kawy. Zdarzały się chwile tak wyraziste i niezniszczalne, że jeszcze dziś obejmują swym zasięgiem i Bjarme, i Finistere, chwile, które nie umrą wcześniej niż ja. A ja nie zamierzam umierać.

Na temat śmierci rozmyślałam wystarczająco długo, żeby teraz nie musieć o niej myśleć. A to, czego nie dopuszczasz do świadomości, nie istnieje.

Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal.

Na początku była chata. Później przebudowano i zmodernizowano dom mieszkalny. Obok pieca na drewno pojawił się piec elektryczny. Na górze kominek, ten, który strasznie kopał. Pociągnięto rury, zainstalowano kanalizację i zlewozmywak.

Później przeniesiono spichlerz z koleby i rozebrano stodołę.

Zagroda się zmieniała, jedynie chata stała na swoim miejscu. Kwiaty malowane mrozem na jej oknach 302

to największe i najbardziej dzikie kwiaty, jakie widziałam w swoim życiu. I najbardziej trwałe.

Chata stoi na swoim miejscu i niszczeje. Wszyscy mają z tego powodu wyrzuty sumienia, ale ponieważ każdy jest zajęty swoimi sprawami, nikt nie może nic zrobić.

Chata jest zabytkiem kultury w kulturze, której nie

stać na kulturę.

Nie ma na świecie piękniejszej budowli niż ta stara, marniejąca chałupa w zagrodzie Ol Ers. Powinno się ją wynająć, zainstalować elektryczność i wodę, zrobić pokoje dla gości, ale kto ma się tym zająć, skoro nikt z nas już tam nie mieszka?

Rozproszyliśmy się po świecie, każdy ze swoim długiem wobec tego domu.

303

Na piętrze chaty, przy północnej ścianie, była izba z niewielkim, czarnym od sadzy kominkiem, podniszczoną tapetą i podłogą z surowego drewna. Żadnych zespolonych okien, tylko jedna stara szyba z zielonymi bąbelkami powietrza. Pokryta zimą lodowymi kwiatami.

A przecież kiedyś w tej chłodnej izbie przy północnej ścianie mieszkali ludzie. Samotni starzy kawalerowie albo całe rodziny. To oni, biegając latami po schodach, zostawili na nich swoje ślady. To ich stopy, obute w lapońskie łapcie, wyłobiły drewniane stopnie i wypolerowały szerokie deski na poddaszu.

Lapońskie łapcie, szyte przez Lapończyków z reniferowej skóry, sprzedawano na targu lapońskim w Oviken. Po dziś dzień pamiętam jedną jedyną poważną reprimendę od moffy. Oznajmił mi wtedy z powagą, że nie wolno mówić „Lapończyk”. Można było mówić „lapońskie łapcie”, ale nie „Lapończycy”. „Ci ludzie nazywają się Sarnowie”, powiedział dziadek. Nigdy o tym nie zapomniałam.

Niezależnie od tego, jak często moi rodzice zastępczy używali określeń „murzyńskie kulki” i „palce Murzyna” oraz wieszali na ścianach czarne porcelanowe głowy.

Moffa nauczył mnie dbałości o precyzję wypowiedzi. Uświadomił mi wagę słów i ich konsekwencje. Nie można wyrzucać z siebie wszystkiego, co ślina na język przyniesie.

304

Słowa są jak skała — trwałe. Ludzie umierają, ale skały żyją wiecznie.

Słowa też. Tak to już jest.

Ale lapońskie łapcie nazywano lapońskimi łapciami.

Miały czerwone pomponiki i miękkie spody, w odróżnieniu od twardych podeszew pionierek. W lapońskich łapciach można się było ślizgać po śniegu i nie załamywała się pod nimi szreń. A jeżeli się załamywała, to nie z winy butów.

Ileż trzeba było kroków i ileż lapońskich łapci, żeby podłódze na poddaszu nadać gładkość i miękkość drewna dryfującego w Atlantyku, które wyrzucone na

brzeg w Finistere suszy się później w słońcu.

305

Ileż wnoszenia bierwion i wody, ileż płaczących niemowląt, które uspokajano umoczoną w samogonie i owiniętą w gałganek kawałkiem chleba. Ale bimbrowo używano bardzo dawno temu, zanim nastał moffa, w czasach demonów domowych, czyhających za ziemianką i pod fundamentem chałupy. Dopóki nie tupnęło się porządnie w ziemię, dopóty nie wolno było wylewać wody pod węgiel domu.

W kuchni gospodarstwa Ol Ers było zawsze ciepło.

Między jedną a drugą szybą okien leżał mech, który na Boże Narodzenie mama dekorowała czerwonymi jagodami i niejednym krasnoludkiem.

To mama paliła w piecu, zanim Asa i ja wstawaliśmy z łóżka. Mama nigdy nie spała, pilnowała ognia. Uszczelniała szpary wokół wywietrzników.

Robiła abażury na sprzedaż i tkala dywany z gałganeków. Gręplowała wełnę i tkala z niej koce. Mój szary koc, którym nie wolno mi było przykrywać łóżka na Angermannagatan.

— Szary koc? To będzie wyglądało jak w więzieniu — powiedzieli rodzice zastępczy.

W soboty Asa i ja kapałyśmy się w kuchni w drewnianej balii. Najpierw na piecu podgrzewało się wodę ze śniegu, który wygarniałyśmy z zasp pod oknami. Przed domem robiłyśmy też orły, wykorzystując tę krótką chwilę za dnia.

Ledwie co zdążyłyśmy położyć się na plecach, zrobić orła, otrzepać ubrania ze śniegu, i już robiło się

306

ciemno. Ciemno i zimno. A nad nami gwiazdziste niebo.

Mama paliła w piecu tak intesywnie, że płytki rozgrzewały się do czerwoności.

Po cioci Reginie została lokówka. Kładło się ją na piecu, a później na rozżarzoną — nawijało włosy. Zawsze czuć było spalenizną i rzadko wychodziły ładne loki.

W domu nigdy nie marzliśmy.

W sypialni mieliśmy grzejnik ze steatytu, który w dalszym ciągu istnieje i działa. Jest ciężki, ale piękny jak marmur, i w ciągu kilku godzin potrafi ogrzać pomieszczenie, niezależnie od siły napierającego wiatru.

Kiedy zbliżała się pora snu, Asa i ja wbiegałyśmy na górę, by włączyć grzejnik. Zazwyczaj było tak, że albo żadna z nas nie miała na to ochoty, albo byłyśmy się, która ma to zrobić.

Od schodów i w sieni ziało chłodem.

W przedsionku było równie lodowato, jak na zewnątrz. Szyby malowane mrozem.

Wystawiony w przedsionku nocnik zamarzał w ciągu minuty. Asa i ja zakładałyśmy więc Japońskie łapcie, by w okamgnieniu opróżnić jego zawartość za węglem chaty. Szybciutko, żeby nie natknąć się na trolla. Wysypywano tam też popiół z popielnika i dlatego właśnie za chałupą tak okazałe rósł wrotycz. Nie potrafię jednak wyjaśnić, skąd roślina brała swą intensywną woń.

307

Ze wszystkich rosnących dziko kwiatów wrotycz miał najostrzejszy zapach, ale najpiękniejszy był bez wątpienia tojad. Ciemnoniebieskie kwiaty i dłoniaste liście, wsparte o ścianę chałupy.

Zanim wawrzynek wypuścił liście, zakwitał wcześniej drobnymi, liliowymi kwiatuśkami. Gałązki były tak zdrewniałe i łykowate, że trzeba było piły, aby je ściąć, zebrać i wziąć do domu; nikt tego nie robił. Wawrzynek wilczczyko to roślina trująca i pachnąca mokradłem. Daleko jej do słodkiego i uwodzicielskiego zapachu bzu. Ale najpierw zakwitała czeremcha, rozbuchana i szalona, upajająca cierpko jak panna młoda w bieli.

Prymulki, które Asa i ja tak pospiesznie rwałyśmy naręczami.

Całe moje dzieciństwo w zapachu bardzo żółtych pierwiosnków o bardzo zielonych liściach. Ja z siostrą na czerwonych rowerach; jeszcze niedawno było minus trzydzieści pięć stopni mrozu, a teraz pędzimy na wyścigi do pierwiosnkowego wzgórza. Tak nam spieszo, by zebrać drogocenne skarby po długiej ziemi. Musimy je zebrać.

No, bo po co całe wzgórze pokrywa się prymulkami? Znikają równie szybko, jak podbiał na nasypie kolejowym, przyłaszczki na skraju lasu, bazie na wierzbie. Trzeba nacieszyć się wszystkimi po kolei.

Rowery rzucone do rowu; musimy zebrać pierwiosnki, zanim nadejdzie przymrozek.

I zanim zakwitną konwalie.

308

Zbieramy tak ogromne bukiety, że nie mieszczą się nam w dłoniach. I ten pośpiech, żeby zdążyć. I jednocześnie jakaś elementarna trwałość.

Nie potrafię powiedzieć, czy zapachy w środkowej Norlandii i tamtejszych górach są bardziej intensywne niż zapachy nad brzegiem Atlantyku. A mimo to wydaje mi się, że tutejsze pływy, słoność powietrza i stężenie jodu tłumią wonność, czynią ją bledszą niż ta w domu.

Mówię „w domu”, chociaż od pięćdziesięciu lat już tam nie mieszkam.

W domu.

Asa i ja zawsze miałyśmy podobne ubrania, ona —

czerwone, a ja — niebieskie. Moje letnie sukienki były równie sinoniebieskie jak moje nogi i ramiona, latem marzłam dwa razy bardziej niż zimą. Częściowo z powodu lodowato rześkich, górskich wiatrów, a częściowo z powodu ubrań. Tych bajecznych letnich ubrań, które mama, korzystając z wykrojów, szyła na maszynie w kuchni. Batystowe bluzeczki z bufkami, sukienki z kory na co dzień i sukienki z nylonu na szczególne okazje.

Jeżeli ktoś chciał ładnie wyglądać, musiał się pomęczyć, to tak jak z tą starą lokówką — cierpiałymy katusze, ale byłyśmy piękne. Przynajmniej chwilowo. Trzęśliśmy się z zimna do dnia, w którym znów trzeba było wyciągnąć lapońskie łapcie i czapki z królika.

309

I tak to się kręci.

Wkrótce z okna w Finistere nie będą mogła zobaczyć morza. Zasłonią mi je liście, gęstniejąca zielenie, kwiaty czereśni i jabłoni. Wszystko kwitnie i zielenieje w tak szalonym tempie, że zanim człowiek zdąży mrugnąć, zniknie morze, poczucie czasu i perspektywa.

Po drugiej stronie listowia równie dobrze mogłyby się kryć góry Oviksfjallen.

Odpływam, przebijam czas niczym pocisk, krążę między Bjarme a Finistere jak sputnik, jak pokonujący czas i przestrzeń wehikuł, którego prędkość mogłaby uregulować tylko jakaś nadprzyrodzona siła. Ale nie ma żadnej innej siły nadprzyrodzonej oprócz pogody i śmierci, tej nieokielznanej śmierci.

Chodzi o to, żeby umieć wstrzymać bieg czasu, zatrzymać chwilę, zebrać ją do kupy.

Powstrzymać śmierć filiżanką kawy, kostką cukru — w zaciszu przed domem, z moffą — korzystać z chwili, tak jak to czyniła momma, właśnie tak.

## URODZIŁAM SIĘ TU

### RAZ NA ZAWSZE

Pewnej wiosennej nocy, w czasach, gdy byłam zakwaterowana na wyspie Frósón, pojechałam na rowerze do rodzinnej wsi.

Wymknęłam się, gdy wszyscy spali, założyłam buty, które wcześniej zostawiłam za drzwiami, i odpiąwszy rower, ruszyłam w drogę.

Trzydzieści kilometrów do znajomej zagrody i drugie tyle z powrotem.

Kiedy myślę o tej wyprawie, widzę lato, ale to nie mogło być w lecie, najwyżej pod koniec wiosennego semestru.

Biała noc i biała trybula. Welony trybuli jak koronkowe kwiaty Queen Anne's Lace, jak zwiewne firanki

ciotki Reginy. Załamane światło.

Pędzę, jak gdyby chodziło o życie, bo przecież chodzi o życie.

Nie mam pojęcia, jak poradziłam sobie z promem w Vallsundet.

Jechałam do domu Ol Ers, właśnie tak — ta zagroda była moim domem.

Już na miejscu nie miałam odwagi zapalić lampki. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem włamywaczem.

312

Weszłam do przedsionka, do sieni. Do kuchni.

Plama po łosiu ciągle zdobiła sufit nad piecem, zresztą jest tam do dzisiaj.

Drzwi do salonu wypaczyły się trochę, pomogłam sobie ramieniem i weszłam do środka.

Zagrałam jakiś akord na pianinie, jak zwykle nie-nastrojonym.

Zamknęłam wieko.

Nie napaliłam w kominku.

Weszłam po schodach do izby, w której przyszłam na świat.

Urodziłam się tu raz na zawsze, ot co.

(PARAFIA NAS. SKALA 3:375 000: JEZIORO NAKTEN, KYRKAN — KOŚCIÓŁ, MOFFA PA MOPPEN — MOFFA NA MOPEDZIE, MACKEN — STACJA BENZYNOWA, RALSBUSSEN — SZYNOBUS, BLINDTARMSKURVAN — ZAKRĘT ŚLEPEJ KISZKI, MOFFAS — ZAGRODA MOFFY, STORFOUSE — STÓDUŁA)

Posłowie:

MOJE KOLEJE ŻYCIA

Zdobywca Oscara czy Złotego Żuka nie zadowala się otrzymaną właśnie nagrodą. Musi jeszcze podziękować. Wymienia więc istotne dla nagrody nazwiska, dziękuje mamom i producentom.

Ja też podziękowałabym mojej mamie.

Dziękuję, mamusiu!

Nie tylko za to, że powołałaś mnie na świat — ogromnie ci za to dziękuję — ale też za to, że dzielnie znosiłaś wszelkie następstwa tego czynu, moje piarstwo i wszystko, co się z nim wiąże.

Zawsze można napisać o tym, co już zostało napisane. Ale o wiele trudniej pisać o kakao i chlebie z serwatkowym serem, o bezustannej trosce, o wszystkich kamieniach ogrodu, o praniu, ścieleniu łóżek i gotowaniu.

To dzięki tobie wyszłam na ludzi, a przynajmniej na człowieka.

Moja mama jest jedną z tych kobiet, bez których od razu można by skończyć ze sztuką przedstawiającą i sztukami plastycznymi w ogóle i bez których Muzeum Narodowe razem z innymi muzeami natychmiast musiałyby zamknąć podwoje. Jeżeli komukol-

315



wiek w czasie każdej uroczystości wręczania Oscarów powinno się składać podziękowania, to właśnie mojej mamie.

Nie dziękowałabym żadnej innej osobie, nawet sobie samej — podziękowałabym raczej okolicznościom, które przyczyniły się do mojego istnienia.

Spotkaniu rodziców, które w 1944 roku zaowocowało moimi narodzinami w Bjarme.

Latom pięćdziesiątym w Vallingby, które było pierwszym światowym przedmieściem.

Temu, że moffa wierzył w socjaldemokrację, że dziadek mojego dziadka ze Sztokholmu nazywał się Regis Cadier, że momma śpiewała „Ciut stulki śtyry pięć”.

Bez końca wyrażałabym wdzięczność tym czynnikom, które wpłynęły na ukształtowanie się mojego losu. Organizatorzy musieliby przemocą odrywać mnie od mikrofonu, trzeba by dźwigu, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.

Podkreślałabym swoje koleje losu nie dlatego, że są moje, ale dlatego, że są takie interesujące.

Jestem skrzyżowaniem tak wielu skrajności, że wystarczyłaby za ledwie połowa. Co oczywiście nie byłoby już tak interesujące. Stwierdzenie, że skrajności się przyciągają i nawzajem stymulują, w moim przypadku potwierdza się w stu procentach.

Dość długo żyłam w przekonaniu, że jako niewinnie poszkodowanej przez skrajności, na które nie mia-

316  
łam wpływu, należy mi się współczucie. Los igrał sobie ze mną, czynił ze mnie coraz większą ofiarę.

Sądziłam, że jako ofiara jestem automatycznie upoważniona do okazywanego mi współczucia i sympatii. To był błąd.

Ukształtowane przez skrajności dzieciństwo i młodość nie powinny budzić w ludziach litości, ale zazdrość.

Gdyby dotarło do mnie, że mogę być powodem zazdrości, byłabym zarozumiała, i pewnie dobrze by się stało.

Pycha nie prowadzi prosto do upadku.

W młodości sądziłam, że moje pochodzenie jest czymś godnym potępienia.

Teraz, już jako znacznie starsza osoba, uważam, że godna potępienia była sama młodość.

Jedyną nie zaznaną przeze mnie skrajnością jest zmiana płci. Chociaż w pewnym sensie jej doświadczyłam. Przez siedem lat żyłam jako mężczyzna. Pisałam wtedy powieść, w której główny bohater — książkowe ja — był bezsprzecznie i bez najmniejszej wątpliwości mężczyzną.

Dużo można by mówić o przynależności płciowej,

gdyby to mówienie było możliwe.

Ze wszystkich tajemnych, mrocznych i niewysłowionych elementów, z których składa się człowiek, płeć jest czynnikiem najbardziej osobliwym. Na szczęście

większość ludzi nie ma czasu, by to roztrząsać. Pozostaje nam pogodzić się z tym, że jesteśmy w równej mierze kobietami, jak mężczyznami.

Ta książka nie zawiera wyznań związanych z seksem, z tej prostej przyczyny, że w ogóle nie zawiera żadnych wyznań.

Ja nie wyznaję, tylko opowiadam.

Ci, wobec których dopuściłam się przestępstwa, wiedzą o tym, i niech to wystarczy.

To, co tutaj opowiedziałam, nie jest ani prawdą, ani kłamstwem. To jest dictum i ono jest moje.

W przypadku niezgodności faktów pozwoliłam sobie tych faktów nie kontrolować.

Wybrałam to, co pamiętam, a resztę dośpiewałam.

Gdy między moją pamięcią a rzeczywistym stanem rzeczy zachodziła zbyt ostra sprzeczność, prosiłam o kontrolę Lovę.

Za wszystko, co w tej książce prawidłowe, chcę podziękować Lovie, wyszukiwarce Google i Kjellowi.

Za nieprawidłowości muszę obwinić socjaldemokratów, bo w przeciwnym razie wyjdę na zbyt niekonsekwentną.

Opieka redakcyjna

Waldemar Popek

Redakcja

Anna Milewska-Grzyb

Korekta

Ewa Kochanowicz, Małgorzata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych

Marek Pawłowski

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autorki.

Na wewnętrznych stronach okładki wykorzystano wzór zaprojektowany przez Carla Malmstena, dziadka autorki.

Redaktor techniczny

Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze: Ecco Book Cream 70 g, vol. 2,0

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2009

ul. Długa 1,31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 %

tel.: (+48-12) 61927 70

Skład i łamanie: Infomarket

Druk i oprawa: Opolgraf S.A.